

RACHEL COHN, DAVID LEVITHAN

# NICK i NORAH



PLAYLISTA DLA DWOJGA



BUKOWY LAS

MYŚL  
- NIK

- Powiedz mi - zaczynam z wahaniem - który kawałek ze składanki dla Tris podobał ci się najbardziej.

Dziewczyna przeżuwa kielbasę. Przetyka. Popija wodą.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Tak na rozgrzewkę.

- Szczerze?

- Tylko.

Nie musi się zastanawiać. Recytuje, jakby znała odpowiedź na pamięć.

- Piosenka o zauważaniu. Nie znam tytułu.

Łał. Byłem pewien, że wymieni Patti Smith, Fugazi, Jeffa Buckleya albo Where's Fluffy. Ewentualnie coś Bee Geesów, których dorzuciłem dla żartu. Nie spodziewałem się, że wybierze coś, co sam napisałem i zaśpiewałem. Początkowo nie chciałem nawet wrzucić tego na składankę. Pamiętam, że pewnego wieczoru czułem się wyjątkowo zmęczony związkiem z Tris. I tak trudna noc zmieniła się w piosenkę. Zgrałem ją na komputer i umieściłem jako ukryty numer na składance, którą wręczyłem jej następnego dnia.

Tris nigdy o niej nie wspomniała.

Ani razu.

## **Spis treści**

Karta tytułowa Karta redakcyjna Lista wspaniałych 1. NICK 2.  
NORAH 3. NICK 4. NORAH 5. NICK 6. NORAH 7. NICK 8. NORAH  
9. NICK 10. NORAH 11. NICK 12. NORAH 13. NICK 14. NORAH 15.  
NICK 16. NORAH 17. NICK 18. NORAH 19. NICK 20. NORAH  
Wydawnictwo Bukowy Las poleca Okładka

RACHEL COHN, DAVID LEVITHAN

# NICK i NORAH



PLAYLISTA DLA DWOJGA

przełożyła  
Ewa Pater-Podgórna

BUKOWY LAS

Tytuł oryginału: *Nick & Norah's Infinite Playlist*

Copyright © 2006 by Rachel Cohn and David Levithan  
All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem do reprodukcji w całości lub we fragmencie w jakiegokolwiek formie.

Copyright © for the Polish edition and translation by  
Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o., 2016

ISBN 978-83-8074-026-6

PROJEKT OKŁADKI: Sylwia Szyrszeń  
REDAKCJA: Olga Gitkiewicz  
KOREKTA: Iwona Gawryś  
REDAKCJA TECHNICZNA: Adam Kolenda

WYDAWCA:  
Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o.  
ul. Sokolnicza 5/76, 53-676 Wrocław  
[www.bukowylas.pl](http://www.bukowylas.pl)



WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR:  
Firma Księgarska Olesiejuk  
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością Sp.j.  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. 22 721 30 11, fax 22 721 30 01  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl), e-mail: [fk@olesiejuk.pl](mailto:fk@olesiejuk.pl)

Skład wersji elektronicznej: [pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

*Dla Marthy i prawdziwego Nicka*

## Lista wspaniałych

Tina Turner, *The Best* (dla Jennifer Rudolph Walsh, Lisy Grubka i Katie Glick)

Ray Charles, *You Are My Sunshine* (dla Alicii Gordon i Bari Zibrak)

Lucinda Williams, *2 Kool 2 Be 4-Gotten* (dla Lorene Scafaria)

Belle and Sebastian, *Wrapped Up in Books* (dla Jacka Martina)

Prince, *Nothing Compares 2 U* (dla Joego Montiego)

Elvis Costello, *Alison* (dla Alison Wortche)

The Cure, *Pictures of You* (dla Melissy Nelson i Isabel Warren-Lynch)

Louis Armstrong, *A Kiss to Build a Dream On* (dla wszystkich dobrych ludzi z wydawnictwa Knopf)

The Beatles, *Paperback Writer* (dla naszych przyjaciół pisarzy)

Julie Andrews, *The Sound of Music* (dla naszych kochających rodzin)

Rufus i Chaka Khan, *You Got the Love* (dla Stephanie i Ala)

Kylie Minogue, *Can't Get You Out of My Head* (dla Billy'ego i Nicolicious)

Jens Lekman, *You Are the Light (By Which I Travel into This and That)* (dla Nicka)

Kelly Clarkson, *Miss Independent* (dla Anny)

Q and Not U, *Wonderful People* (dla Marthy)

The Magnetic Fields, *How Fucking Romantic* (dla Nancy)

## 1. NICK

Dzień zaczyna się w środku nocy. Interesuje mnie wyłącznie gitara basowa, którą trzymam w dłoni, i hałas, który słyszę. Dev się wydziera, Thom wymachuje rękami, a ja, niczym dobrze naoliwiony mechanizm, łączę to, co nazywamy melodią, z tym, co nazywamy rytmem. Tykam jak zegar, pulsuję. Tworzę podstawę tej chwili, od początku do końca. Nie mamy perkusisty. Dev zrzucił koszulkę, a Thom śpiewa coś w tle. To ja wyznaczam kierunek, ja jestem generatorem. Słucham i nie słucham jednocześnie, nie zastanawiam się nad tym, co gram – czuję to całym sobą. Wszyscy na nas patrzą. A przynajmniej tak to sobie wyobrażam, bo niewiele widzę oślepiiony reflektorami na scenie. Sala jest niewielka, a my robimy spory hałas. Jestem heteroseksualnym basistą kapeli queercore'owej; wypełniam pomieszczenie niskim brzmieniem, podczas gdy Dev śpiewa-krzyczy:

*Fuck the Man, Fuck the Man*

*I really want to*

*Fuck the Man.*

Nadaję rytm, przebijam rozedrgane powietrze, przyciskam palce do strun. Wylewają się ze mnie pot, zjadłość i głód. Co za ulga. Dev zawodzi, Thom uderza w gryf, a ja lecę, choć stopami stoję twardo na ziemi. Wyglądam poza reflektor i widzę ludzi – przepychają się i skaczą jak dzicy. Z zachwytem patrzą, jak Dev wsadza sobie mikrofon do ust, nie przerywając krzyku. Zalewam tłum akordami, nasączam go falami dźwięku, sprawiam, że czas jest tak głośny, że są zmuszeni go usłyszeć. Jestem mocniejszy niż słowa, większy niż ta sala – i wtedy dostrzegam ją. Widzę ją i rozpadam się na kawałki.

Przecież mówiłem jej, do cholery, żeby nie przychodziła. Gdy na jej oczach rozpadałem się na kawałeczki, błagałem o tę jedną jedyną rzecz: „Proszę, nie przychodź na koncerty. Nie chcę cię oglądać, kiedy



gramy”. Obiecała mi to i chyba nie ściemniała. Widocznie jednak zmieniła zdanie, bo oto stoi przede mną, a moje palce zaczynają się gubić, granie traci pazur, a zamiast wrzasku pojawia się rozdarcie – wszystko to w sekundzie, w której rozpoznałem kształt jej ust. Zaraz potem dostrzegam, że – ja pieprzę – nie przyszła sama. Jest z nią jakiś facet i choć będzie zapewniać, że przyszła tylko posłuchać, to dobrze wiem, że chciała mi się pokazać. „To koniec” – mówiła przecież i to było największe kłamstwo ze wszystkich. Rozdygotany zerkam w nuty, Dev ciągnie już kolejną zwrotkę, a Thom gra trochę szybciej, niż powinien, więc muszę go gonić. Ona przytula się do tego gościa i kiwa głową, jakbym grał tylko dla niej. Gdybym mógł, rzuciłbym gitarę i poczęstował ją ciszą tak dojmującą jak krzywdą, którą mi wyrządziła.

Staram się dotrzymać kroku Devowi i Thomowi. Nazywamy się Odpały, przynajmniej dziś wieczorem – to nowa nazwa. Pewnie starczy na jakieś trzy koncerty, a potem Dev wymyśli coś innego. Wczoraj graliśmy jako Porno, a wcześniej Czarne Chusteczki do Nosa, Mściwi Fryzjerzy i Nie Twój Interes. Rzadko korzystam ze swojego prawa do sprzeciwu w dyskusjach z Devem, chyba że wymyśli coś naprawdę durnego. („Stary – powiedziałem kiedyś – naprawdę nikt nie chce słuchać Kanapki z Gównem”). Dev wzruszył tylko ramionami. Wie, jak działa na zblazowanych punkowych typków, którzy przychodzą na występ, nie wiedząc, że za chwilę będą pragnąć chłopaka, który rzuca im ze sceny wyzywające pytanie: „Jak duży jest twój łobuziak?”. Dev pochodzi z Lodi, miasta w Jersey. Lepiej nie mógł trafić, bo Lodi czytane od tyłu to idol. Pasuje jak ulał. Thom jest z South Orange – dodatkowe „h” w jego imieniu pojawiło się dwa miesiące temu. Ja mieszkam w Hoboken, blisko Nowego Jorku, a jednak nie do końca w mieście. W noc taką jak ta, kiedy mamy okazję zagrać przed kimś innym niż grupa znajomych, pokonałbym rzekę Hudson wplaw, żeby tylko dotrzeć do nory, w której gramy. Przynajmniej gdybym nie wiedział, że pojawi się tu Tris i zacznę niewidzialnie krwawić ze sceny.

*Take the Power*

*Fuck the Man*

*Take the Power*

*Fuck the Man.*

Dev prowadzi nasz kawałek w przestrzeń, której do tej pory nie znałem: w czwartą minutę trwania. Brnę niezgrabnie, czekam na finał. Thom chyba ma ochotę na solówkę, a to w jego przypadku nigdy nie jest dobry pomysł. Przesuwam się i odwracam, udaję, że wcale jej tu nie ma. To przekomiczne, chociaż wcale nie jest mi do śmiechu. Staram się złapać spojrzenie Deva, ale jest zbyt zajęty ocieraniem potu z klaty. Na szczęście chwilę potem doznaje kosmicznego zastrzyku energii i kończymy przedstawienie. Wyrzuca ręce nad głowę i drze się jak opętany, a ja sprowadzam nas na ziemię. Atakuje nas wycie zachwyconej widowni. Próbuję rozpoznać jej głos, wyróżnić jego brzmienie wśród wrzawy i oklasków. Nie udaje mi się, nie ma jej, tak jak nie było jej tej nocy, gdy płakałem. Nie została, żeby zapytać, czy wszystko ze mną w porządku. Minęły trzy tygodnie, dwa dni i dwadzieścia trzy godziny, a ona już jest z kimś innym.

Do wejścia na scenę szykuje się kolejna ekipa. Właściciel klubu pogania nas gestem. Nasz czas minął. Nie odleciałem tak daleko, żeby nie poczuć się mile połączony, kiedy ludzie zaczynają domagać się bisu. Tuż po tym, jak zapalają się światła – ma to ułatwić trafienie do baru – rozlega się wyraźny pomruk niezadowolenia. Pełnię rolę technicznego, więc kiedy Dev miesza się z tłumem w poszukiwaniu najbardziej napalonego fana, a zawstydzony Thom wraca do swojego wyrozumiałego-ale-emo chłopaka, ja muszę szybko się otrząsnąć i spakować sprzęt. Zwijam kable, pakuję przestery, a sympatyczny gość z zespołu, który ma grać po nas, pomaga mi wytaszczyć futerały schowane w głębi sceny. Ale instrumentów dotykam tylko ja – z troską kładę je spać do ich wyściełanych aksamitem łóżek. Proponuję chłopakom pomoc w rozstawianiu gratów. Cieszę się, gdy się zgadzają, bo dzięki temu mogę skupić się na podłączaniu kabli, a nie myśleć o wiadomo-kim.

Bezwiednie szukam jej wzrokiem. Wzdycham, kiedy ją widzę w tłumie – światło pada na nią pod najlepszym z możliwych kątów. Moje ciało nie odwykło jeszcze od bycia tuż obok niej. Dystans między nami – wszystko, co nie jest bezpośrednim kontaktem – jest dla mnie jak

stan permanentnego odrzucenia. Byliśmy ze sobą przez pół roku, a moje pożądanie rozpalało się wciąż na nowo. Słowa: „To koniec” nie były w stanie go zdusić. W głowie miałem tyle piosenek, a wszystkie dla niej. Teraz wróciły, jedna po drugiej, nie mogłem ich powstrzymać. Ścieżka dźwiękowa filmu o niczym. „Jestem zmęczona” – powiedziała, a ja odparłem, że też to czuję i że możemy zrobić sobie małą przerwę. „Ty mnie męczysz, nie my” – odparła i wpadłem w surrealistyczny-a-jednak-prawdziwy świat równoległy, w którym nie byliśmy już razem, a ja nie potrafiłem się z tym pogodzić. Świat, w którym ona była wszędzie, tylko nie tutaj, nie ze mną.

Dopóki pakowałem sprzęt i instrumenty, stałem odwrócony plecami do widowni. Przychodzi jednak moment, w którym muszę się obrócić, bo jak długo można wpatrywać się w ścianę i nie wyglądać na idiotę? Ratuje mnie następny zespół – wchodzi na scenę, podkrecają głośność i po chwili wszyscy płyniemy razem w pięknym chaosie. Nazywają się Are You Randy?, a wokalista naprawdę śpiewa, zamiast jęczeć i wrzeszczeć. Pozwalam sobie na rzut oka na ludzi, ale jej nie dostrzegam. Pod sceną w ogóle nie ma zbyt wielu dziewczyn; teraz również kłębi się tam morze samców, którzy wpadają i napierają na siebie, wsłuchani w prorocze słowa płynące z ust wokalisty. Gość wykonuje autorską wersję tańca siedmiu welonów, przemieszaną z fragmentami hitów takich jak *I Want You to Want Me*, *Blue Moon* czy *All Apologies*.

Tris na pewno kapela się podoba i ta myśl przeszywa mnie jak ostrze, bo jest przecież kompletnie bezużyteczna. Zastanawiam się, kim jest ten koleś. Znają się najwyżej od trzech tygodni i trzech dni. Cieszę się, że nie widziałem go zbyt dokładnie, bo wówczas na pewno wyobrażałbym ich sobie nago. A teraz wyobrażam sobie w ten sposób tylko ją. Wspomnienie jej dotyku jest tak żywe, że bezwiednie poruszam palcami. Przekrzywiam głowę, jakby faktycznie stała przede mną, i kątem oka dostrzegam Thoma z jego chłopakiem Scotem – całują się wsłuchani w muzykę, zamknięci we własnym, prywatnym skrawku wszechświata. Podejrzewam, że Dev kontynuuje swój występ przy barze. Jesteśmy niepełnoletni, ale w tym miejscu nikt się tym nie przejmuje. Większość gości klubu jest od nas starsza – to studenci

i niedoszli studenci – i zdaję sobie sprawę, że nie do końca tu pasujemy. Niektórzy starsi goście taksują mnie wzrokiem bez śladu skrępowania, z uznaniem kiwając głową. Nie obnoszę się tu ze swoją heteroseksualnością. Czasem, kiedy wydaje mi się, że patrzą na mnie tylko dlatego, że dobrze zagrałem, i nie chcą ode mnie nic więcej, odwzajemniam ich spojrzenia skinieniem głowy. Staram się też za długo nie stać w jednym miejscu.

Przy barze faktycznie spotykam Deva. Gada z jakimś gościem, który chyba jest bardzo w jego typie. Podchodzę do nich i zostajemy sobie przedstawieni: on jako „Hunter z miejscowości Hunter”, a ja jako „Nick, bóg gry na basie”. Dev dziękuje, że zająłem się sprzętem, ale rozmowa się nie klei – czuję, że im przeszkadzam. Thom pewnie zauważyłby, że jestem rozbity, ale Dev jest raczej gruboskórny. Zresztą nie mam ochoty o tym gadać. Mówię mu więc tylko, gdzie zostawiłem sprzęt, i odchodzę, udając, że chcę dostać się bliżej baru i coś zamówić. Czy na pewno udaję, czy to po prostu prawda? Tris wciąż nie widać, a ja zaczynam się zastanawiać, czy to na pewno ją widziałem na widowni. Może to była inna, podobna do niej dziewczyna? To wyjaśniałoby obecność chłopaka – niepodobnego do nikogo, kogo znam.

Instrumenty chłopaków z Are You Randy? milkną jeden po drugim, nadchodzi finał. Wreszcie w powietrzu pozostaje tylko głos wokalisty, wibrujący pojedynczą nutą. Chciałbym móc powiedzieć, że w klubie panuje całkowita cisza, lecz niestety – część ludzi pogrążona jest w rozmowach. Jest ich jednak i tak stosunkowo niewielu – ekipa dostaje gromkie brawa. Ja też zaczynam klaskać. Obok mnie stoi dziewczyna: wsadza do ust dwa palce i gwizdże przeciągle jak dzieciaki na podwórku. Gwizd jest czysty i pełen animuszu; przywodzi mi na myśl treningi w szkolnej drużynie piłki nożnej. Dziewczyna ma na sobie flanelową koszulę w kratę – nie wiem, czy włożyła ją dlatego, że to jedyny ze strojów popularnych w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat, który jeszcze nie stał się znowu modny, czy dlatego, że koszula jest po prostu tak wygodna, na jaką wygląda. Nieznajoma ma bardzo jasną cerę i fryzurę, która wyraźnie sugeruje, że jej posiadaczka uczęszcza do szkoły prywatnej – choć roztrzepała włosy, próbując to ukryć. Następna kapela supportowała Le Tigre podczas ich ostatniej trasy. Podejrzewam,

że dziewczyna przyszła tu dla nich. Gdybym był kimś innym, pewnie spróbowałbym do niej zagadać. Bez podtekstów, przyjaźnie. Moglibyśmy się zakumplować. Czuję jednak, że jeśli w tej chwili otworzę usta, wypłynie z nich tylko bezładny potok słów.

Thom i Scot pewnie są gotowi wracać do domu, ale jestem przekonany, że Dev jeszcze nie ustalił, czy wraca z nami, czy nie – nie jestem dupkiem, nie będę pytał go o to w tej chwili. Utknąłem tu, wiem. Z tą myślą zerkam w prawo i widzę Tris z jej nowym facetem: podchodzą do zalanego piwskim baru, żeby zamówić coś, czego ja na pewno nie piję. Mam pewność, że to ona, i już wiem, że jestem udupiony. Dlaczego? Napływ ludzi spod sceny po skończonym koncercie pcha mnie w stronę baru. Jeśli chcę się wymknąć, to muszę przepchnąć się przez nich siłą. Jeśli spróbuję, Tris na pewno zauważy, że uciekam, że sytuacja mnie przerosła. Nawet jeśli to prawda, nie zamierzam dać jej tej satysfakcji. Ona wygląda bosko, ja czuję się jak pokraka, a facet, z którym przyszła, to na pewno nie jakiś znajomy gej – opiera rękę na jej ramieniu w sposób niepozostawiający wątpliwości co do natury ich relacji. Wymieniła stary model na nowy; mógłbym spędzić rok, grając na basie, i to nie zmieniłoby absolutnie nic.

Krzyżujemy spojrzenia. Nie może udawać zaskoczonej, bo przecież, do cholery, dobrze wiedziała, że tu będę. Uśmiecha się lekko, szepce coś na ucho nowemu modelowi i po ich minach widzę, że kiedy tylko odbiorą drinki, które właśnie nalewa dla nich barman, podejda do mnie, żeby powiedzieć: „Cześć” i „Świetny koncert” albo – to głupota czy po prostu okrucieństwo? – zapytać: „Jak się masz?”. Na samą myśl aż mnie skręca. W wyobraźni widzę już całą scenę. Muszę zrobić coś, cokolwiek, żeby do tego nie dopuścić.

Niewiele myśląc, ja – przypadkowy basista przeciętnej kapeli queercore’owej – odwracam się do zupełnie obcej dziewczyny we flanelowej koszuli.

– Wiem, że to dziwne pytanie, ale czy miałabyś coś przeciwko udawaniu mojej dziewczyny przez następnych pięć minut?

## 2. NORAH

Randy z Are You Randy? uparcie twierdzi, że basista queercore'owej kapeli jest ciepły, ale nie ma racji. Nie wiem, czy to ten gostek odpowiada za gówniane teksty (*Fuck the Man/Fuck the Man* – co to za szajs?), ale jestem przekonana, że gejem nie jest. Serio. Pewne rzeczy są dla dziewczyn oczywiste: że czwarta minuta w punkowej piosence to bardzo, ale to bardzo zły pomysł i że basista z Jersey w podartych, poplamionych wybielaczem dżinsach i spranej, czarnej koszulce z pomarańczowym napisem „Ja mówię Jezus, wy krzyczcie Chrystus” nie ma chłopięco-chłopięcych inklinacji; za mocno podkreśla ironiczny, punkowy styl Johnny'ego Casha, żeby być homo. Niewykluczone natomiast, że jest trochę emo – tłumaczę Randy'emu. To, że ktoś nie wygląda jak wyrzutek z zespołu Whitesnake – czyli tak, jak chłopaki z jego kapeli – nie czyni go automatycznie gejem.

Heteroseksualność NieHomo, niespotykana w tym klubie, nie oznacza jednak, że mam zamiar stać się jego pięciominutową dziewczyną zastępczą, przystankiem na trasie pociągu Łatwa Niunia Express. Może i jestem jedyną frajerką w tej budzie, która nie poddała się anestezjologicznemu działaniu piwa, zioła i hormonów, ale dzięki temu zachowałam tyle rozsądku, żeby powstrzymać instynktowną odpowiedź na propozycję NieHomo: „NIE MA OPCJI!”.

Muszę pamiętać o Caroline. Nie wolno mi o niej zapomnieć.

Widziałam, jak NieHomo pakuje sprzęt po graniu, a jego kumple z zespołu porzucają go w poszukiwaniu innych wrażeń. Domyślałam się, jak się czuł. Sama też często sprzątam brudy po innych.

Ciuchy NieHomo są beznadziejne – założę się, że jest z Jersey. A jeśli chłopak z Jersey robi za sprzętowego, to na pewno ma furgonetkę – koniecznie zardzewiałą, z ciekącym gaźnikiem. To więcej niż pewne, że w połowie tunelu Lincolna złapie gumę albo skończy się benzyna, ale jestem skłonna podjąć to ryzyko. Caroline musi jakoś wrócić do domu. Jest zbyt napruta, żeby ryzykować podróż autobusem. Jeśli nie zabiorę

jej do siebie, żeby wytrzeźwiała, gotowa spędzić noc z Randym. Pieprzona grupie. Gdybym tak bardzo jej nie kochała, chybabym ją ukatrupiła.

Całe szczęście, że moi rodzice ją uwielbiają. Ojciec i macocha Caroline wyjechali na weekend i zupełnie nie obchodzi ich, co robi – byle nie zaszła w ciążę i nie zaczęła spotykać się z jakimś frajerem z rodziny o rocznym dochodzie niższym niż sześciocyfrowy. Dupki. Moi rodzice mają hopla na punkcie Caroline, pięknej Caroline o długich, karmelowych włosach, pełnych, wiśniowych ustach, z imponującą kartoteką wykroczeń. Nie powiedzą słowa, jeśli jutro wytoczy się z mojego pokoju i wpadnie do kuchni wybitnie wczorajsza. To ona spełnia ich wyobrażenia o tym, jaka powinna być córka szefa popularnej wytwórni płytowej: dzika.

Caroline nie jest więc Wielkim Rozczarowaniem, w przeciwieństwie do ich własnej Zwykłej Zuzi, która nosi wygodne koszule z flaneli, ma fryzurę za trzysta dolarów, same szóstki na świadectwie i wybrała rok przerwy w nauce, by pracować we wzorowanym na kibucu[1] obozie w Afryce Południowej (co oznaczało rezygnację ze studiów na elitarnym Uniwersytecie Browna). „Ale DLACZEGO, Norah, DLACZEGO?” W eseju rekrutacyjnym opisałam, jak mój własny ojciec przejął kupę muzyki z wytwórni The Street, żeby dać zarobić wytwórni The Man, co doprowadziło do upadku tej pierwszej. „Nie jestem pieprzonym korporacjuszem” – stwierdził ze śmiechem po przeczytaniu tekstu. Tata nie udaje, że nie jest odpowiedzialny za przekazanie stacji radiowej Top 40 nieproporcjonalnie dużej liczby najtańszych hitów; jednocześnie z dumą podkreśla, że w dzieciństwie poddał mnie indoktrynacji możliwie szeroką gamą gatunków muzycznych. Dzięki temu teraz, w wieku osiemnastu lat, posiadam wiedzę godną zawodowego DJ-a i mentalność muzycznego snoba. Jakby tego było mało, moi rodzice od ćwierćwiecza tworzą zgodny związek małżeński, co niewątpliwie przekreśla moje szanse na prawdziwą miłość. Piorun nie uderza dwa razy w to samo miejsce.

Gdyby wiedzieli, gdzie jestem, pewnie by mnie wydziedziczyli. Gdybym jarała szybkiego jointa w Tompkins Square Park przed wizytą

w klubie BDSM przy Avenue D, pewnie by mi kibicowali. Ale ten tu klub to jedna jedyna imprezownia na Manhattanie, do której mam zakaz wstępu. Zawdzięczam go długotrwałemu konfliktowi między moim ojcem a Szalonym Lou, właścicielem (który był kiedyś moim ojcem chrzestnym, Wujaszkiem Lou, ale zaczął świrować, czym zasłużył sobie na nowy przydomek). Lou to stary punk, który działał na scenie, kiedy The Ramones byli jeszcze głównie ćpunami, a dopiero w drugiej kolejności muzykami, kiedy punk oznaczał coś więcej niż masową koncepcję marketingową, stworzoną głównie dla dzieciaków spoza miasta.

Wracając do tematu – gdyby mama i tata dowiedzieli się, że nie zajęłam się ich ukochaną Caroline, darowałiby sobie wydziedziczenie i od razu przeszliby do mordy. Ta dziewczyna wzbudza w ludziach silne uczucia opiekuńcze. Czasem robi mi się od tego niedobrze, ale przecież dobrowolnie ulegam jej urokowi, jestem szefową jej świty – i to od przedszkola.

Rozglądam się po klubie, patrzę, jak strumień ludzi płynie od sceny do baru w przerwie między koncertami. Omijają mnie, przechodzą tuż obok, przenikają mnie, jakbym była duchem, ale nietypowym, bo posiadającym ciało, które stanowi przeszkodę na ich drodze do piwa. Cholera, znowu zgubiłam Caroline. Jest dziś wyjątkowo napalona na Randy'ego. Normalnie by mi to nie przeszkadzało – Are You Randy? nie są totalnie beznadziejni – ale sam Randy chyba wziął dziś jakąś chemię, więc wolę się upewnić, że nie zaciągnie jej w ciemny kąt. Mam może metr siedemdziesiąt (kiedy stanę na palcach), więc prawie dwumetrowy NieHomo skutecznie zasłania mi widok. Do tego patrzy wyczekująco. Przypomina zagubione zwierzątko z bajki dla dzieci, które chodzi po lesie i pyta każdą napotkaną istotę: „Czy to ty jesteś moją mamusią?”. Tyle że w tym wypadku pytanie brzmi: „Czy będziesz moją pięciominutową dziewczyną?”.

Zerkam poza niego. Nie widzę Caroline, ale dostrzegam tę głupią pindę Tris. To baba, która miażdży facetów jak buldożer. Przechadza się jak dumna lwica, rozpierając przestrzeń imponującymi cyckami i kręcąc tyłkiem w sposób, który zwraca uwagę każdego durnia w jej najbliższym otoczeniu. Oglądają się za nią nawet geje, których dziś tu przecież nie



brakuje. Idzie prosto na mnie. Nie, nie, NIEEEEEEEEEEEEE. Skąd wiedziała, że będziemy tu dziś z Caroline? Czyżby miała swoich ludzi, którzy śledzą nasze sobotnie trasy i meldują jej o każdym naszym kroku?

Na kłopoty – udawany chłopak! Odpowiadam na pytanie NieHomo niewerbalnie: przyciągam go do siebie, dotykam jego twarzy dłonią, nachylam się do niego. W tej chwili zrobiłabym wszystko, żeby uniknąć spotkania z Tris.

JA CIĘ SUNE! Kto by pomyślał, że NieHomo będzie tak całował. Bezczelny dupek. Widzisz, Randy? NIE. HOMO. Sprawdzone. To nie żaden książę z bajki, tylko potencjalny kierowca, który odwiezie moją psiapsiółę do domu. Nie spodziewałam się wybuchu uczucia, ale nie spodziewałam się też pocałunku z jęczyciem, a widzę, że NieHomo nie marnuje czasu i przechodzi do konkretnych działań. Umysł próbuje przemówić ustom do rozsądku: „Mmm, przyjemnie, co? Pilnuj się, dziewczyno, hamuj!”.

Jest bosko, ale pięciominutowa dziewczyna musi zaczerpnąć powietrza. Odrywam wargi od jego warg i biorę oddech, jednocześnie wypatrując Tris. Mam nadzieję, że nas nie zauważyła.

ŁAŁ, łał, łał. Czuję się tak, jakby ktoś uderzył mnie w brzuch, ale w to przyjemne miejsce, gdzie zwykle trzepocą motyle. Komu potrzebny tlen. Moje usta chcą wrócić tam, gdzie były przed chwilą.

Niestety Tris się zbliża, wczepiona w najnowszą ofiarę. Stoją blisko i rozpoznaję w chłopaku jednego ze świeżo odtrąconych adoratorów Caroline; to kumpel Huntera z Hunter, którego zespół – Hunter Does Hunter – ma zagrać za chwilę (nie ma sprawy, Hunter, przedstawiłam cię Wujciowi Lou z prawdziwą przyjemnością). Tris ciasno obejmuje gościa w pasie – prawdopodobnie chce z niego wycisnąć resztkę życiowych soków, których nie zdążyła wyssać w ciągu tych trzech tygodni od momentu, kiedy Caroline spuściła go na drzewo.

– Nick? Norah? Ale jazda! Skąd wy się znacie? – pyta ta jęzda.

Nie powinna się pokazywać w takim miejscu. Nie pasuje tu, o czym świadczy to, co i jak mówi, oraz – może nawet dobitniej – to, jak się ubiera: skórzana mini zapinana na klamry, koszulka z Ramones (niby-vintage, ale widać, że z sieciówki), żółte jak siki legginsy i buty w różową panterkę. Przypomina neonowy napis nad supermarketem albo

wczesną Debbie Harry.

Będę musiała odbyć kolejną poważną rozmowę z Wujaszkiem Lou na temat standardów w klubach muzycznych. Wujek ma nosa do młodych talentów – potrafi ściągnąć na scenę surowych, głodnych grania muzyków, gotowych wypruć z siebie flaki albo dowolne inne organy wewnętrzne, żeby móc wystąpić u Szalonego Lou. Niestety, nie ma zielonego pojęcia na temat prowadzenia biznesu w tej branży. Wystarczy jedno spojrzenie: przecież tu są same niepełnoletnie małolaty z Jersey! Bardzo możliwe, że chłopakom z zespołów zapewnia darmowe piwo! LOU! Jak sądzisz, dlaczego tak wielu z nich zaczyna nałogowo pić i ćpać? Czują muzykę. Grają punka z przekonaniem – mocno, szybko, z furją – ale nie pojęli jeszcze, że obecnie prawdziwy punk jest czysty: zero alkoholu, zero narkotyków, zero papierosów. Dzisiejszy punk to pozostałość po minionym szaleństwie: esencja muzyki, samo przesłanie.

Milusińscy, pijcie, póki możecie, bo kiedy za rok wrócę z Afryki Południowej i przejmę zarządzanie klubem, jak obiecał mi to Wujaszek Lou – zamiast studiów na Uniwersytecie Browna, co z kolei ja obiecałam swoim rodzicom – w dzielnicy Lower East Side zapanuje nowy szeryf i nowe porządki. Bawcie się, póki możecie, obściskujcie, nawalajcie, zegar i tak tyka nieubłaganie.

Muszę się jeszcze zastanowić nad zakazem całowania. Całowanie bywa całkiem przyjemne, ma w sobie potencjał, zwłaszcza jeśli trafi się na odpowiednie wargi.

Nie wiem czemu, ale zachowuję się wobec NieHomo jak Caroline wobec swoich męskich ofiar: zamiast złapać go za rękę, kładę mu dłoń na karku i zaczynam głaskać po głowie – delikatnie, ale zaborczo, jednocześnie obserwując reakcję Tris. Palcami muskam krótko przystrzyżone włosy na końcu szyi, chłopak dostaje gęsiej skórki. Podobamusię. Z satysfakcją patrzę, jak Tris opada szczęka. Jest zaskoczona i nie potrafi tego ukryć. Nigdy nie należała do subtelnych.

Cokolwiek zrobiłam – zadziało. Panna odchodzi bez słowa, wyraźnie wzburzona. Phi, poszło łatwiej, niż myślałam.

Zerkam na zegarek. Szacuję, że do rozstania z moim nowym chłopakiem pozostały dwie minuty i czterdzieści pięć sekund. Zamykam oczy i przechylam głowę, spodziewając się kolejnego spotkania z jego

ustami.

Caroline twierdzi, że jestem oziębła. Cieleśnie. Czasem łudzę się, że to tylko prowokacja z jej strony. Przecież mogę użyć tekstu, którego nauczył mnie mój Bardzoży Eks: „Chyba chciałaś powiedzieć, że nie jestem łatwa?”. Na to moja kochana psiapsiółka też ma jednak odpowiedź: „Nie, szmatko. Faceci się ciebie boją, odstraszasz ich spojrzeniem i uszczypliwymi komentarzami, zanim zdążą podjąć decyzję, czy w ogóle warto czegokolwiek z tobą próbować. Jesteś bardzo krytyczna. No i zimna jak Królowa Śniegu”.

Widocznie NieHomo uważa podobnie, bo wcale niespieszno mu wracać do przerwane go pocałunku.

– Skąd, u diabła, znasz Tris? – pyta.

Zapala mi się żarówka. Eureka. To jest NICK. Niiieeeee. To on! Ten Nick! Chłopak z Hoboken! Koleś, który napisał dla tej jędry tyle wierszy i piosenek, najlepszy chłopak na świecie, taki, jakiego żadna z dziewczyn z Sacred Heart nigdy nie miała, prawdziwy ogier z kapeli, którego Tris poznała w POCIĄGU i z którym zaczęła chodzić na początku roku szkolnego (okłamując go i zdradzając przez cały czas trwania związku). Nie wydało mu się podejrzanym, że przez cały czas, kiedy byli razem, nie poznał ani jednej koleżanki ze szkoły swojej dziewczyny? IDIOTA!

Oczywiście Tris nie miała zamiaru nam go przedstawiać. Bała się, że wyjdą na jaw jej kłamstwa – obawiała się też konkurencji w postaci Caroline. O ile Tris nie ma problemu z przejmowaniem koleśków odrzuconych przez Caroline, o tyle w drugą stronę absolutnie to nie działa. Niepodzielnie Nam Panująca – tak ją nazywamy za plecami. Uwielbiamy ją i nienawidzimy jej jednocześnie. Czasem żartujemy, że powinna dostać sądowy zakaz zbliżania się do Caroline. Ostatnio nie przejmujemy się nią specjalnie, bo za miesiąc kończy się szkoła. Pożegnamy się, złożymy mniej lub bardziej szczerze życzenia „fantastycznego lata i powodzenia na studiach”, odbierzemy świadectwa. Wątpię, żeby nasze drogi skrzyżowały się w przyszłości. O dobrą karmę się nie martwię – wyrównałam długi swojej złośliwości wobec Tris aż z nawiązką. Jeśli zaliczyła chemię i matematykę, to tylko dzięki mnie. Szczerze mówiąc, jeśli w ogóle zda w tym roku, to będzie moja zasługa.

Nie odpowiadam Nickowi. Muszę znaleźć Caroline.

Wspinam się na stołek barowy – tylko w ten sposób może uda mi się ją wypatrzyć w klubie; tłum jest gęsty, muzyka głośna, powietrze śmierdzi potem i wibruje napędzaną piwem energią; to był dla mnie bardzo, bardzo długi dzień – no dobrze, środek nocy – choć mam wrażenie, jakby przed chwilą zaczął się na nowo. Dla równowagi opieram się ręką o głowę Nicka i się rozglądam. Siłą rzeczy dotykam jego włosów. Może odrobinę za długo się nimi bawię.

Widzę ją! Tuli się do Randy’ego, siedzą pod ceglana ścianą przy narożnym stoliku, wciśniętym tuż obok sceny, na prawo od Huntera z Hunter Does Hunter, który właśnie łapie za mikrofon. Nie wiem, jak z muzyką, ale tekst jest improwizowany, nie da się tego ukryć. Kompletnie nie pasuje do szybkiej, wkurzonej gitary: „Dev, chodź ze mną do domu, DevDevDev”.

Zeskakuję ze stołka i ruszam w stronę przyjaciółki, ale Nick łapie mnie za nadgarstek i przyciąga do siebie.

– Pytałem poważnie – mówi. – Skąd znasz Tris?

Jego chwyt wciska mi zegarek w rękę. Ból sprawia, że odrywam wzrok od Caroline i patrzę prosto na Nicka. Wydaje się taki zagubiony, wyraźnie chce, żebym z nim została. Spojrzenie ma jednocześnie łagodne i rozgniewane. Przypomina mi się fragment piosenki, którą napisał dla Tris – puściła kiedyś tekst po klasie na lekcji łaciny, bo wydał jej się strasznie głupi.

*To, jak poruszasz się we śnie  
Spojrzenie, kiedy skok rozważasz  
Wszystkie twe przedziwne sny  
Ty nie wiesz – lecz ja zauważam*

Pieprzyć Tris. Oddałabym narządy na przeszczepy, żeby jakiś koleś podarował mi coś podobnego. Chcesz nerkę? A może dwie? Bierz, Nick, są twoje – tylko napisz coś dla mnie. Pomogę ci z początkiem: chłopak spotyka dziwną dziewczynę w klubie punkowym i prosi, żeby została z nim przez pięć minut, dziewczyna całuje chłopaka, chłopak odwzajemnia pocałunek, poznają się bliżej – i czego się dowiadują?...

Nick, może opowiesz to piosenką? Zgoda? Gotowy. Do startu. Start.

Mam ochotę tupać ze złości – w jego i we własnym imieniu. Nie wiem, co Tris mu zrobiła, ale jestem pewna, że to przez nią wygląda teraz żałośnie jak porzucone szczenię. To przez nią stanie się cynicznym ruchaczem jeszcze przed osiągnięciem wieku, w którym w Stanach można legalnie pić alkohol. Nieufnym wobec kobiet, piszącym o nich niepochlebne kawałki, do śmierci przekonany, że wszystkie kobiety to kłamliwe szmaty, bo kiedyś jedna z nich złamała mu serce. To typ faceta, w obecności którego dziewczyny takie jak ja momentalnie sztywnieją. Instynktownie wyczuwam, że jest w nim mnóstwo poezji. Mogłabym podarować mu staroświecką, ale piękną melodię pod tytułem *Poświęcenie i Prawdziwa Miłość (Mimo Przeciwności Losu)*, gdyby tylko zechciał na mnie spojrzeć. Jestem mniej-niż-pięciominutową dziewczyną, która przez jeden – zbyt krótki – pocałunek zdążyła sobie wyobrazić, jak mogłaby potoczyć się ta noc. Może o piątej rano zabrałabym go na barszcz do Veselki, może spacerowalibyśmy przez Battery Park o świcie, trzymając się za ręce. Wiem, że byłabym tą, która w niego uwierzy. Powiedziałabym mu: „Słyszałam, jak grasz, czytałam twoje teksty – nie to gówno z waszych piosenek, ale listy miłosne i piosenki, które napisałeś dla Tris. Wiem, że stać cię na więcej niż gra na basie w przeciętnej kapeli queercore’owej; poza tym, stary, perkusista w zespole to kluczowa sprawa, potrzebujecie bębnów, i to bardzo”. Byłabym jego sprzętową niewolnicą co wieczór, żaden problem. Ale nie, on musiał polecieć na laskę w moim ulubionym typie: duże balony, głupawy chichot.

Chciałeś iść na łatwiznę – masz to, na co zasłużyłeś, mój miły.

Wyswabadam rękę z uścisku. Zamiast po prostu odejść, zatrzymuję się na moment i dotykam jego twarzy: gładzę po policzku, rysuję niewielkie kółka na jego szczęce.

– Biedne biedaczysko – mówię.

1 Kibuc - spółdzielcze gospodarstwo rolne w Izraelu. Członkowie kibucu nie mają żadnej własności i solidarnie dzielą się pracą (przyp. tłum.).

### 3. NICK

Kiedy Tris przechodzi obok, mam wrażenie, że świat nagle traci swoją trójwymiarowość. Trzeci wymiar znika pierwszy, potem przestaje istnieć drugi i oto jestem sam, z jednym wymiarem rzeczywistości – z nią.

Zapomniałem o czwartej zmiennej, o czasie. Ten płynie niewzruszony, Tris w końcu mnie mija i wtedy wracają pozostałe wartości. Powinienem się cieszyć, że znów nastąpiła pełnia wrażeń, ale wydaje mi się, że jest jeszcze bardziej pusto.

Poza tym jest ze mną ta dziewczyna, Norah, przedziwna Syrena Dwuznacznych Sygnałów. Naprawdę dobrze całuje, ale ma chyba poważne problemy ze spójnością przekazu. Pytam ją, skąd, do cholery, zna Tris – nie ukrywam, że jestem lekko skołowany – a ona patrzy na mnie, jakby wcale chwilę wcześniej nie zaczęła mnie zniecka całować. Potem opiera dłoń na moim ramieniu w taki sposób, że naprawdę mocno czuję to ramię. Sekundę później próbuje uciec. Jednocześnie patrzy na mnie z litością, jakbym był dzieckiem chorym na raka. Łapię ją za rękę – niby próbuje się wyrwać, ale w końcu tego nie robi. Wreszcie, już oswobodzona, dotyka mojej twarzy. Przypominam sobie nasz pocałunek.

I wtedy nazywa mnie „biednym biedaczyskiem”.

Niewiele myśląc, pytam:

– Dlaczego tak mówisz?

Domyśliłem się już, że wie więcej, niż chce mi powiedzieć.

– Muszę znaleźć koleżankę.

– Pójdę z tobą – proponuję. Wiem, że Tris gdzieś tu krąży, pewnie nas obserwuje. Zresztą i tak nie mam nic lepszego do roboty, mogę iść z mistrzynią pocałunków, gdzie tylko jej się zamarzy. Dev wspina się na scenę i zaczyna tańczyć z Hunterem, Thoma i Scota nigdzie nie widzę.

– Mam propozycję – odpowiada dziewczyna. – Podwieziesz nas do domu i dostaniesz dwie dodatkowe minuty do swojej początkowej oferty.

– Siedem to moja szczęśliwa liczba – próbuję zażartować.  
Zerka na mnie krytycznie.  
– Lepiej wróćmy do sprawy – mówię. – Skąd znasz Tris?  
– W piątej klasie podstawówki rozwaliłam jej lalkę Barbie i od  
tego się zaczęło – wyjaśnia.  
– Jesteś z Englewood?  
– Z Englewood Cliffs. W Englewood ceny domów są jeszcze dość  
sensowne – precyzuje i zaczyna przedzierać się przez tłum.  
– Była tu jeszcze chwilę temu – mówi niespodziewanie.  
– Kto?  
– Nikt. Caroline. Zamknij się na chwilę, bo nie mogę myśleć,  
dobrze?

Jasne, bo przecież to moje gadanie jej przeszkadza. Nie hałas.

Norah intensywnie się rozgląda, a ja podejmuję najgłupszą decyzję  
świata: oglądam się za siebie. I co widzę? Tris i nowy model całują się  
jak szaleni. Ona wygląda bardzo pociągająco w obcisłej koszulce  
z Ramonesami i moich ulubionych złotych rajstopach. Przypomina  
w nich superbohaterkę z komiksu Marvela. Pamiętam, jak zdejmowałem  
z niej tę koszulkę, te rajstopy – jak krzyczała: „Ostrożnie, ostrożnie!”,  
kiedy moje dłonie wędrowały w górę ud. A teraz dłonie innego faceta  
miętoszą twarz Joeya i jeżdżą po podbródku Dee Dee, a nawet – ja  
pieprzę – zjeżdżają niżej, pomiędzy A i M, prosto do miejsca w kształcie  
litery V, ukrytego pod spódniczką, która łączy H&M z SM.

Do tego Tris przez cały czas patrzy na mnie. Przysięgam, nie  
odrywa ode mnie wzroku.

Odwracam się. Norah zniknęła, ale na szczęście jest ledwie parę  
metrów przede mną. Dziewczyna, z którą rozmawia, wygląda znajomo.  
To raczej nie koleżanka z letniej kolonii nad morzem sprzed dziesięciu  
lat, bardziej ktoś, komu mogłem nadepnąć na stopę w drodze do męskiej  
toalety. Stoi uwieszona na ramieniu chłopaka z Are You Randy?, jakby  
starła się o rolę jego nowej kurtki. Z jego miny wnioskuję, że mu to nie  
przeszkadza. Na drodze do obopólnego szczęścia tych dwojga stoi tylko  
moja siedmiominutowa dziewczyna. Mówi do Caroline tonem starszej  
siostry, w jej oczach widzę charakterystyczną niechęć. Gdybym nie  
wiedział, że się przyjaźnią, założyłbym się, że są właśnie siostrami.

Przez ułamek sekundy zastanawiam się, czy nie są parą, ale coś w wyrazie twarzy Nory każe mi szybko porzucić ten pomysł.

Caroline wygląda, jakby chciała powiedzieć swojej przyjaciółce coś naprawdę niemiłego, ale Hunter i Dev zaczynają grać cover Green Day – nagle wszyscy mamy znowu po siedem lat i zaczynamy tańczyć jak szaleni. Zlewamy się w jedną, rozedrganą masę, złożeni muzyczną gorączką, wirujący jak wolne elektrony, których czystą postać wyciska ze swojego instrumentu gitarzysta. Jestem pewien, że Tris też jest częścią tego amoku, a jeśli to prawda, to jesteśmy w tej chwili na swój sposób połączeni. Wszyscy zgromadzeni w klubie są komórkami tego samego organizmu. Wszyscy poza Norą, która stoi niewzruszona, niczym pomnik, którego nikt nigdy nie wyrzeźbi – pomnik kogoś całkowicie pokonanego. Caroline tańczy z chłopakiem z Are You Randy?, jakby namaścił ją do tego sam Bóg albo co najmniej Billie Joe Armstrong. Próbuję zapomnieć się w muzyce, ale coś mnie blokuje. Zdaje się, że to moja siedmiominutowa dziewczyna wyłączyła mój bezpiecznik.

– Co się stało? – krzyczę do niej, a ona patrzy na mnie, jakby zapomniała, że tu jestem. Oznacza to również, że na moment opuściła gardę i przez chwilę czytam w jej spojrzeniu jak w otwartej książce. „Nie dam rady. To dla mnie za trudne. Pieprzyć to”.

Zmieniam pytanie.

– Coś nie tak?

W jednej chwili książka zamyka się z hukiem. Ale ja mam ciekawską naturę. I to bardzo.

– Wszystko gra – odpowiada. – Poza tym, że nasz czas właśnie minął.

– Nie potrzebujesz już podwózki? – dopytuję. Nie widzę nic złego w wykorzystaniu swoich czterech kółek, jeśli da mi to trochę więcej czasu z interesującą dziewczyną.

– Cholera, zapomniałam.

W tym momencie kończy się piosenka i klub wypełniają zachwycone wrzaski. Ledwo słyszę, jak do mnie krzyczy:

– Nie ruszaj się, zaraz wracam!

Dev i Hunter kłaniają się w pas – stoją jeden za drugim, jakby spali



na łyżeczkę. Chłopak z Are You Randy? zaczyna klaskać, co oznacza, że przestał trzymać Caroline. Norah wykorzystuje okazję, łapie przyjaciółkę za ramię i nachyla się, krzyżąc jej coś do ucha. Następuje charakterystyczne dla tego typu sytuacji przeciąganie liny – bez liny. Nie słyszę, co do siebie krzyżują, aż wreszcie Caroline wrzeszczy na całe gardło:

– Wsale nie jezdem najebana! – Co oczywiście oznacza, że jest wręcz przeciwnie. Koleś z Are You Randy? chyba się zorientował, co się dzieje, i próbuje działać: wyciąga rękę, żeby złapać oddalającą się dziewczynę, ale nie trafia. Jego ręka ląduje gdzieś w okolicy jej biustu, co nie pomaga mu wcale utrzymać równowagi. Norah szarpie przyjaciółkę i po chwili Caroline zatacza się w moim kierunku.

Nagle wszystko dzieje się bardzo szybko: panna traci równowagę i leci prosto na mnie. Łapię ją w ostatniej chwili, ale ona przechyla się gwałtownie i jestem pewien, że zaraz na mnie zwymiotuje. Ale nie – podnosi tylko głowę i oznajmia z odrazą:

– Masz strasznie brzydkie buty.

Norah staje obok mnie

– Idziemy! – zarządza i zaczyna torować drogę w tłumie. „Z drogi, łachudry!” – pokrzykuje i ludzie rozstępują się przed nią bez szemrania. Caroline praktycznie na mnie wisi. Serce zaczyna kołatać mi w piersi, jakby wiedziało, dokąd zmierzamy. Zwykle przyspiesza, kiedy ma mi do powiedzenia coś naprawdę ważnego. Przez chwilę stoję otępiały, ale zmysły zaraz wracają. Patrzę i widzę, że ktoś zastępuje nam drogę. Tym kimś jest dziewczyna, która zabrała klucz do mojego serca i połknęła go z uśmiechem.

– Potrzebny mi twój samochód – mówi.

Momentalnie baranieję. Pytanie: „Po co?” w ogóle nie przychodzi mi na myśl. Stoję jak sparaliżowany, patrzę na Tris i myślę tylko: „Ona do mnie mówi”, co w przedziwny sposób tłumaczę na: „Chce dać mi szansę”.

– Muszę gdzieś podskoczyć – ciągnie. – Obiecuję, że zaraz ci go oddam.

Sięgam do kieszeni po kluczyki. „Pojadę z tobą” – myślę. Wyobrażam sobie, jak rozmawiamy w aucie, w głowie dedykuję jej

odpowiednie piosenki. Widzę jej twarz rozświetloną światłami nocy – częściowo słabym blaskiem tablicy rozdzielczej, częściowo miganiem reflektorów aut jadących z naprzeciwka. Tak dobrze to pamiętam.

Cholera, kochałem ją wtedy. Wtedy rozmywa się w teraz. „Czemu nie?” – myślę sobie. „Przecież jesteśmy tymi samymi ludźmi”. Jednocześnie słyszę głos, który mówi coś zupełnie innego. Głos z zewnątrz.

– Obawiam się, że wszystkie miejsca są już zajęte. Nie zmieścisz się, Tris. Sorry.

Norah uśmiecha się szeroko, nagle rozpromieniona i przeurocza.

– To znaczy? – syczy moja była dziewczyna.

– Przepraszam, chyba nie wyraziłam się jasno. Pozwól, że powtórzę: ODWAL SIĘ.

– Boże, to chyba twoje ulubione słowo. Mam propozycję: zabieraj swoją Najebkozillę i poszukajcie sobie jakichś fanów Weezera, pogadajcie o muzyce. Mówię do Nicka, nie do ciebie.

„Nie wierzę. Ona walczy o mnie. Tris o mnie walczy” – myślę rozgorączkowany.

A jednak to Norah mnie do siebie przyciąga i wsuwa dłoń w tylną kieszeń moich spodni.

W pierwszym odruchu mam ochotę ją odtrącić, ale wtedy moja eks mówi:

– Nick, nie daj się prosić. Jesteśmy już spóźnieni i bardzo potrzebujemy fury. Zwrócę ci za benzynę.

Doskonale rozumiem, że to nie o mnie chodzi. Że to nie o nas chodzi. „My” to nie ona i ja. Miejsce w pierwszej osobie liczbie mnogiej jest dla mnie niedostępne.

– Poszukam Randy’ego – oznajmia Caroline.

– Nie ma mowy – protestuje Norah i wypuszcza mnie, żeby złapać przyjaciółkę za łokieć. Sytuacja robi się teatralna. Znacnie *Czarnoksiężnika z Krainy Oz?* Jesteśmy niczym Doroćka i jej towarzysze – chcemy ruszyć w podskokach żółtą, brukowaną drogą, ale Tris zagradza nam przejście niczym Zła Czarownica z Zachodu.

Wystarczyło słowo, a byłbym jej. Ale ona krzywi się tylko z niesmakiem.

– Weźcie go sobie. Potrzebny mi był tylko jego wóz – parska zde gustowana.

I odchodzi na dobre. Od tego momentu za każdym razem, kiedy ją zobaczę, będzie opuszczać mnie na zawsze. Wciąż na nowo, bez końca.

Norah wyjmuję dłoń z kieszeni moich spodni i podpira Caroline całym ciałem. Niedługo mam prowadzić, ale nogi mam jak z waty i nie mogę zrobić kroku. Nie piłem, nie paliłem, nie wciągałem żadnych substancji. Tak reaguję na porażkę. Moje funkcje życiowe ulegają upośledzeniu.

W kakofonii dźwięków jeden akord daje mi nadzieję. To dziewczyna, za którą idę. Mógłbym jej powiedzieć, że może złapać taksówkę – mam przeczucie, że stać ją na takie usługi – ale podoba mi się myśl, że wyjdziemy stąd razem i spędzimy ze sobą trochę czasu. Wychodząc z klubu, żegna się z właścicielem i oto jesteśmy na ulicy. Chodnik jest pełen palaczy. Kilka osób, które słabo kojarzę, kiwa głową na mój widok. W innej sytuacji, gdybym wychodził z klubu z dwiema dziewczynami, odprowadzałyby mnie spojrzenia pełne podziwu. Tym razem albo niechęć między Norą a Caroline jest zbyt oczywista, albo wszyscy i tak myślą, że jestem gejem. Niezależnie od przyczyny wszyscy patrzą na mnie jak na taksówkarza, który złapał dwie klientki.

Pewnie powinienem pomóc mojej siedmiominutowej dziewczynie w prowadzeniu przyjaciółki, ale szczerze mówiąc, sam ledwo przemieszczam się do przodu. Na ulicy pusto. We mnie pusto. Chociaż nie – ja jestem przepełniony bólem. To w moim życiu panuje pustka.

Szukam kluczyków w kieszeni. Tris nie będzie czekać na mnie w aucie. Tris już nigdy i nigdzie nie będzie na mnie czekać.

Nie powinienem był tu przychodzić. Nie powinienem był pojawiać się nigdzie, gdzie ona może mnie znaleźć.

Podchodzimy do mojego auta.

– Co to, do cholery, jest? – pyta Norah.

Wzruszam ramionami i odpowiadam:

– Zwykle yugo.

## 4. NORAH

A więc do tego sprowadza się moje pełne perspektyw życie. Żydowska księżniczka z Englewood Cliffs, pieprzona prymuska, która postanowiła iść do katolickiej szkoły dla dziewcząt, żeby móc towarzyszyć swojej przyjaciółce; która postanowiła odrzucić studia na Uniwersytecie Browna; dziewczyna, która lada moment wyleci w świat ponoć nieograniczonych możliwości, tej kwietniowej nocy siedzi na miejscu pasażera yugo, które pachnie aromaterapeutycznym olejkiem z paczuli, tak lubianym przez Tris.

Silnik nie chce zapalić, a moje życie stoi w miejscu, tak jak to auto. Zdezelowane yugo z metalowym stelażem, który wystaje z rozdarć w tapicerce i drapie mnie w udo, relikw z zimnej wojny, który kompletnie ignoruje Nicka i kluczyk przekręcany w stacyjce, auto jak pieprzona metafora mojej żalnej egzystencji: kompletny ZGON.

Nick jest nie tylko bogiem basu, ale i parkowania – załapał się na miejsce tuż przed wejściem do klubu. Niefortuną konsekwencją jest fakt, że moje uszy słyszą muzykę ze środka, a kapela jest naprawdę dobra, co tylko jeszcze bardziej mnie wkurza. Sama już nie wiem, czy chciałam wsiąść do tego yugo ze względu na mojego nowego prawie-chłopaka, czy opuściłam klub przede wszystkim ze względu na stan Caroline. Tak czy siak, muzycznie czuję się nienasyconą. Na scenie wciąż gra Hunter, śpiewa kolejny cover Green Day – *Time of Your Life* – w przedziwnej harmonii w duecie z Devem. Hunter Does Hunter przyspieszyli tempo tego radiowego hitu (bo ile punka naprawdę jest w twojej muzyce, Billie Joe?), grają teraz jak Parliament i przysięgam, że jakiś DJ sampluje do tego Michaela Jacksona, który wyje: *Billie Jean is not my lover, the kid is not my son*. Ale buja! Nie wierzę, że to może brzmieć aż tak dobrze. Jeśli yugo zaraz nie ruszy, wysiadam i wracam pod scenę. Co z tego, że chciałam zostać dziewczyną Nicka na kolejne siedem minut po odstawieniu Caroline do domu. Jak na biedne biedaczysko jest cholernie kuszącym ciachem.

– Słyszysz to walenie? – pytam.

– Co takiego? Silnik odpalił? – odpowiada zdziwiony. Słodziak. Tak ładnie machał głową pod sceną. Jest nie tylko uroczy, ale wygląda po prostu na dobrego faceta. Dobrze mu poszło przy pakowaniu Caroline do auta – tak ją zakręcił, że uwierzyła, że to jej własny pomysł. No i nie zapominajmy, jak całuje. Zasługuje na kogoś lepszego niż Tris – i coś lepszego niż yugo.

– Nie. Stary. Chodzi mi o to rytmiczne uderzanie, które dobiega z klubu. Masz to? Ludzie nazywają to grą na perkusji – wyjaśniam z przekąsem. – Rytm to warstwa dźwiękowa popularna już w muzyce kultur prymitywnych – tłumaczę i zaczynam stukać w pokrywę schowka w desce rozdzielczej. Schowek otwiera się po pierwszych kilku uderzeniach. W środku taśmą klejącą przyklejony jest polaroid z Tris. Wyrwam zdjęcie. Cholera! Caroline nie jest paranoiczką – ta jędza naprawdę ukradła jej białą koszulkę z autografem Flei z Red Hot Chili Peppers na lewej piersi. Wyrzucam fotkę przez okno i odwracam się z powrotem do Nicka. – Wasza kapela potrzebuje bębniarza. Widziałam, jak się bujasz do *Chump*, poprzedniego coveru Green Daya, który grał Hunter. Zdaję sobie sprawę, że czujesz rytm nawet bardziej, niż wskazują na to twoje umiejętności gry na basie – które i tak są w stanie przyprawić słuchacza o atak serca. Ale zastanów się: co pozostałoby z *Chump*, gdyby nie Tres Cool? Znajdźcie perkusistę, chłopaku. Mówię poważnie.

Caroline osiąga post-aktywny a przed-drzemkowy stan upojenia alkoholowego, w którym już zaczyna zwijać się w kłębuszek, ale jednocześnie czuje potrzebę zadawania tysiąca pytań. Nie mogła wybrać sobie lepszego momentu.

– Mówię poważnie – oznajmia. Zawsze powtarza moje ostatnie słowa, zanim zacznie nawijać sama. – Osobo kierująca pojazdem. Hej! – woła i klepie Nicka w ramię. Chłopak odwraca się i krzywi. Taka ładna z niej dziewczyna, a tak paskudnie cuchnie tequilą. – Dlaczego nosisz takie brzydkie buty? Odpowiedz mi, osobo kierująca. Proszę! – naciska.

– Buty muszą pasować do samochodu – wyjaśniam. – Kierowcy yugo są zobligowani do noszenia podartych spodni i trampek. Takie mają zasady. Wszystko jest opisane w tej instrukcji – dodaję i wyjmuję

ze schowka książkę pojazdu; za grzbietem ciągnie się przyklejona guma do żucia. W sukurs przychodzi serwetka z McDonalda, którą też znajduję w schowku. Pieprzona Tris i jej hubba bubba. Rzucam instrukcję na tylne siedzenie z nadzieją, że zajmie Caroline na dłuższą chwilę.

Oczywiście ona kompletnie ją ignoruje.

– Czy jesteś Jugosłowianinem, osobo kierująca pojazdem? – dopytuje się. – Norah, czy on jest taksówkarzem? Dlatego z nim wracamy, prawda?

– Jasne – zapewniam. Będzie taksówkarzem, jeśli to cholerne yugo wreszcie odpali. Czas zaczyna nas gonić. Dziesięć minut zajęło wciśnięcie Caroline na tylne siedzenie. Widzę, jak Randy krąży przed klubem, niby pali szluga, niby zagaduje Szalonego Lou, ale ciągle łypie w stronę yugo, gotów porwać moją przyjaciółkę w objęcia, jeśli zaraz nie odjedziemy.

– Czy w ogóle można jeszcze określić kogoś tym mianem? – zastanawia się Nick. – Jugosławia się rozpadła, teraz mamy Serbię i Chorwację, prawda? Wielka szkoda – wzdycha ciężko, a dłoń zamiera mu na kluczykach, jakby zupełnie się poddał. Uderza głową w kierownicę i wali pięścią w dźwignię zmiany biegów. Ma dość. Więcej nie wytrzyma. Ten pojazd nigdzie już nie pojedzie. Właściciel jest zbyt załamany i przygnębiony. Mogłabym mu wytknąć, żeby nie udawał tęsknoty za Jugosławią, bo to oczywiste, że chodzi o Tris. Ale nie mam serca.

Caroline postanawia uszczęśliwić nas ciekawostką:

– Sama mam jugosłowiańskie korzenie. Od strony pradziadka.

– Masz też przodków z Transylwanii, pipko – pryham. – Siedź cicho, muszę pomyśleć.

Niby jak mamy teraz wrócić do domu? Poza tym niby dlaczego mam ją gdziekolwiek odstawić? Na siedzeniu obok siedzi boski facet. Co z tego, że Tris zdążyła go wymiętosić. Ma potencjał, da się go jeszcze urobić. Jesteśmy na Manhattanie, w centrum wydarzeń, jak w ulubionej piosence mojego taty, którą śpiewa Stevie Wonder: *New York, just like I pictured it – skyscrapers, and everything*. To tu powinno się dziać – i to dziać coś więcej niż siedzenie w zbuntowanym yugo.

Przez szybę widzę Empire State Building podświetlony na różowo i zielono z okazji zbliżającej się Wielkanocy. Przypomina mi to, że Jezus nie umarł za grzechy moje, lecz Caroline – ja przynależę do innego plemienia. Więc w imię czego po raz enty próbuję ratować jej skórę? Przecież mogłabym w tej chwili znajdować się gdzie indziej i korzystać z życia tak, jak należy. Przykładowo – uważam, że mogłam zrobić lepszy użytek z tych dwóch dodatkowych minut bycia dziewczyną Nicka.

– Nie rządzisz mną, Sub Z – mamrocze Caroline.

Reaguję odruchowo, nie panuję nad tym. Odwracam się do Smoczegodechu.

– Nie nazywaj mnie tak! – rzucam ostro, ale ona tylko chichocze, szczęśliwa, że udało jej się mnie zdenerwować.

Chwilę później chichot litościwie przechodzi w pochrapywanie. Zerkam w lusterko: dziewczyna oparła się policzkiem o szybę i zasnęła. Może Nick i jego yugo mają magiczne właściwości. Teraz byle się nie obudziła, nim dojedziemy do Jersey.

Głośne chrapnięcie ostatecznie potwierdza cud: Caroline padła. HURA! Słodki Jezu, dzięki ci za tę boską interwencję! A co tam, raz się żyje – w tej chwili mogę być wdzięczna nawet za to, że umarłeś za moje grzechy. RZĄDZISZ, S.J.! Wcale a wcale nie zamierzam teraz przejmować się tym, że w domu będę musiała spać w jednym łóżku ze Smoczymdechem, by mieć pewność, że przez sen nie zacznie dławić się własnymi wymiocinami. Co już przerabialiśmy.

– Jeden problem z głowy – mówię do Nicka i kładę dłoń na jego dłoni, zaciśniętej na gałce dźwigni zmiany biegów. – Tylko co zrobić z kolejnym?

Drgnął i wyswobodził rękę, żeby znów przekręcić kluczyk. Sama nie wiem, po co to zrobiłam.

– Czemu właściwie rozwaliłaś lalkę Barbie Tris? – pyta niespodziewanie. Cholera, a więc taką cenę przyjdzie mi zapłacić za to, że Caroline odpadła szybciej niż zwykle? Zamiast jej melancholijnego biadolenia, które zwykle poprzedza stan „tysiąca pytań do”, czeka mnie wieczór z Bardzo Smutnym Chłopcem?

– Mam trzy siostry, więc dobrze wiem, że zniszczenie cudzej

Barbie to nie przelewki – dodaje Nick z szelmowskim uśmiechem. Okej, czyli porzucił przygnębienie i znów jest wyluzowanym, ironicznym facetem, który gra w niezłej kapeli. Cholera, naprawdę nie wiem, dlaczego to tak na mnie działa.

Mimo to wyczuwam, że naprawdę chciałby poznać odpowiedź na swoje pytanie. Nie zamierzam rozmawiać z nim o Tris. Nie chcę tego robić. Męska psychika może pęknąć w jeden wieczór pod naporem Sub Z.

Z drugiej strony kusi mnie, żeby z Nicka uczynić sobie mały projekcik: zaserwować mu detoks z pozostałości po truciznie, pobyt na odwyku i wreszcie program integracyjny „Nowa Dobra Dziewczyna”. Lubię siódemki – moglibyśmy spędzić ze sobą miłe, spokojne siedem dni zamiast siedmiu minut. Po tygodniu wypuściłabym go na wolność, w urobionej na nowo, przemodelowanej, wyzwolonej wersji. Po oczach poznaję, że jest jeszcze pod wpływem Tris, ale widać, że to świetny facet. Byłby moim darem dla kobiet tego świata: chłopak idealny, świetnie całujący, genialny muzyk. Przed oddaniem go światu oczyściłabym go z ironicznego podejścia do kobiet, z tej przykrej pewności, że wszystkie są takie same jak jego eks. Brzmi nieźle, co nie, Słodki Jezu?

Jednokierunkową ulicą, pod prąd, sunie w naszym kierunku biała furgonetka. Wreszcie zatrzymuje się tuż przy hydrancie, naprzeciwko yugo.

– Jezu, dzięki – cieszy się Nick. Ciekawe. A więc obydwójce jesteśmy w nastroju do dziękowania siłom niebieskim. Przeznaczenie?

Z auta wysiada jakiś gość. Rozpoznaję w nim chłopaka, który po koncercie całował się z nie-wokalistą kapeli Nicka. Przyglądałam im się chwilę i musiałam odwrócić wzrok, bo na Sub Z widok dwóch całujących się chłopaków działa zdecydowanie zbyt mocno. Nie rozumiem, dlaczego tylko facetom wolno się podniecać do filmików z lesbijkami, to straszny seksizm. Feminizm powinien działać na zasadzie all inclusive i obejmować walkę o wszystkie aspekty równości między płciami: wyzwolenie seksualne, równą płacę za pracę i fundamentalne prawo każdej dziewczyny do wyrażania uznania dla chłopięco-chłopięcego buzi-buzi.



Niewykluczone, że gdybym nie napatrzyła się na tę naprawdę gorącą scenkę chwilę przed pytaniem Nicka, wcale nie byłabym taka chętna do całowania. Tamta chwila wydała mi się odległa o lata świetlne. Teraz tkwię w nieruchomym yugo ze Smoczymdechem na tylnym siedzeniu. Po co mi była cała ta rozkmina z zawieszeniem w czasie? Co z tego, że obok siedzi całkiem sympatyczny chłopak? Przecież on wciąż ma w głowie TRIS!

Partner koleś z zespołu – jest tak bardzo emo, że wygląda jak mupet – wsadza głowę przez okno od strony kierowcy.

– Otwórz maskę i spróbujemy obudzić twoją małą – proponuje.

– Koniecznie. – Nick się uśmiecha. Chyba nie robią tego po raz pierwszy. – Dzięki, Scot.

Nieznajomy patrzy na mnie z zainteresowaniem.

– Thom potrzebuje pomocy z czymś w furgonetce. Możesz tam podejść na chwilę? – prosi.

O co mu chodzi? Nieważne.

Wzruszam ramionami i wysiadam z auta, a Scot podnosi przednią klapę i podłącza kable. Mijam Randy'ego, który stoi oparty o ścianę przed klubem, i daję mu kuksańca w bok – prewencyjnie. Wreszcie podchodzę do furgonetki od strony pasażera. Na pace leży sprzęt.

Wiedziałam, że ich kapela będzie miała taki samochód! Dlaczego nie zażyczyłam sobie podwiezienia do Jersey tą właśnie furą?

Na fotelu kierowcy siedzi chłopak.

– Cześć, jestem Thom. Pisane przez „h”.

– A ja jestem Gnorah, z niemym „g” na początku.

– Serio? – dziwi się Thom.

– Nie, nie serio. W moim imieniu też jest „h”, tyle że na końcu.

Kiedyś nazywałam się po prostu N-O-R-A, ale zmieniłam to, kiedy ojcu nie udało się podpisać kontaktu z Norą Jones, i to z jego winy. Chciałam, żeby pamiętał, co przeszło mu koło nosa.

– Serio? – powtarza Thom.

Absolutnie nie.

– Serio – odpowiadam. – Ale podejrzewam, że nie przyszedłam tutaj rozmawiać o obecności litery „h” w imionach. O co chodzi?

Thom wręcza mi wygnieciony banknot pięćdziesięciodolarowy.

– Złożyliśmy się ze Scotem. Widzieliśmy, jak całowałaś się z Nickiem – oznajmia, uśmiecha się zalotnie i... zaczyna śpiewać. Nie jest wokalistą, ale głos ma godny Arethy Franklin: – *Giving him something he can feel!*

– Nie bardzo rozumiem – przyznaję, skołowana.

Kłapa furgonetki przesłania widok, ale słyszymy nieśmiało pokasywanie silnika yugo. A więc Jessie powstała z martwych.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia – mówi Thom. – Przyjmijmy tylko, że Scot i ja nienawidzimy byłej Nicka do szpiku kości i chcielibyśmy pomóc mu o niej zapomnieć. Dlatego proszę, zabierz go gdzieś, pozwiedzaj z nim miasto, zbadaj tylne siedzenie yugo, zrób z nim, co zechcesz, tylko spędź z nim ten wieczór. Uznaliśmy jednogłośnie, że cię lubimy i że będziesz prawdziwym wybawieniem dla naszego kumpla. Oczywiście zero presji.

Dobre smarowanie działa jak trzeba. Zwłaszcza że dziś mam szczególną chęć na zbawianie świata.

– Nie mogę – odpowiadam jednak, choć wyzwanie kusi ogromnie. Ciekawe, co by się stało, gdyby nasze dłonie – lub inne części ciała, na przykład usta – znów się spotkały. – Nick podwozi mnie i moją przyjaciółkę do Jersey. Ona śpi jak kłoda na tylnym siedze...

– W furgonetce mamy materac – przerywa mi Thom. – Zamieńmy się: my zabierzemy twoją koleżankę, a ty zajmiesz się Nickiem.

Raz się żyje.

– Zgoda – odpowiadam i wkładam banknot do kieszeni, po czym wyjmuję długopis i na dłoni chłopaka wypisuję wskazówki dojazdu do mojego domu. Tłumaczę, że klucz znajdą pod doniczką i że nie muszą się przejmować moimi rodzicami, którzy pewnie dadzą im napiwek za odwiezienie Caroline i wysłanie mnie na randkę z żywym osobnikiem. Na myśl o Nicku wcale nie czuję się oziębła. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz czułam taką ciekawość – i takie zniecierpliwienie. I to nie (tylko) na myśl o seksie, a z powodu nowej, nieznannej mi osoby (nawet jeśli to tylko biedne biedaczysko).

A więc umowa zawarta. Wsiadam z Thomem, który bierze Scota do pomocy i razem przenoszą Caroline z yugo do swojego wozu. Ja wsiadam do auta, ale nie udaje mi się wytłumaczyć Nickowi,

co się dzieje.

Dlaczego? Przez przednią szybę widzę, że Randy ściska się wylewnie z pieprzonym manipulatorem, który w zeszłym roku przemienił mnie w Sub Z. A więc wygląda na to, że bratanek Wujaszka Lou nie wytrzymał pełnego roku w południowoafrykańskim kibucu. Zew prawdziwej dziczy – Manhattanu – okazał się zbyt silny. Cholera, Bardzoży Eks mnie widzi. Idzie tutaj. Podchodzi do yugo od strony pasażera.

– Cześć, kotku. Gotowa wrócić tam, gdzie przerwaliśmy?

## 5. NICK

Nie spodziewałem się, że Jessie jest zdolna do zdrady. Kochałem ją bezwarunkowo i traktowałem z szacunkiem. Stawałem po jej stronie i broniłem jej imienia, kiedy źli ludzie nazywali ją śmieciem i pytali, po co ją trzymam. Łudziłem się, że to coś dla niej znaczyło. Ale nie. Teraz, kiedy naprawdę jej potrzebowałem, kompletnie mnie zawiodła. Przekręcałem, przekręcałem i przekręcałem kluczyk, a ona stała niewzruszona. Chyba nigdy nie byłem równie samotny. Nawet moje auto spisało mnie na straty.

Pewnie powinienem być zły, ale ja tylko się martwię. Obawiam się, że to... koniec. Że będziemy ładować w nią setki woltów, a jej światła i tak zgasną, i zostanie tu na zawsze, pośrodku Manhattanu. Że już nigdy do mnie nie mrugnie. Nie stać mnie na kolejne naprawy. To może być koniec, naprawdę koniec.

Niespecjalnie interesuje mnie, dlaczego Scot i Thom wyciągają Caroline z samochodu, choć tyle czasu zajęło mi, żeby ją tam wpakować. Rozumiem to i nie mam pretensji: panna opuszcza tonący statek.

Właśnie zabieramy się ze Scotem za podłączanie kabli, kiedy jakiś obcy gość zagląda przez okno po stronie Nory i mówi:

– Cześć, kotku. Gotowa wrócić tam, gdzie przerwaliśmy?

Co. To. Do. Cholery. Ma. Znaczyć?

Dobra, może spędzam dużo czasu z queercore'owcami, ale i tak nie wyobrażam sobie, żeby jakikolwiek facet, w jakiejkolwiek sytuacji użył tekstu: „Cześć, kotku” na serio. Do tego ten agent powiedział to w taki sposób, jakby gwizdał na laskę w miniówie, która właśnie minęła go na ulicy. Co to za palant?

Czekam, aż Norah spuści go na drzewo, ale ona siedzi jak sparaliżowana. Odwraca wzrok, jakby miała nadzieję, że rozwiąże sprawę, ignorując natręta. Logika sugeruje, że odwróciwszy się od okna, powinna patrzeć na mnie, bo siedzę tuż obok, ale nie: wpatruje się tępo w deskę rozdzielczą, a dokładnie w miejsce, w którym kiedyś tkwiła

zapalniczka samochodowa. Dziwi mnie to, bo zaczynało mi się wydawać, że wybieramy się gdzieś we dwoje. Że nie podwiozę jej tylko do domu. A teraz nie wiem już, czy w ogóle gdziekolwiek pojedziemy i trochę mi przykro, że nie mam na to wpływu.

– Kotku, wróciłem – ciągnie palant. – Może wysiądziesz z tego złomu i się ze mną przywitasz?

Zaczepekki wobec Nory, która siedzi na miejscu pasażera w moim wozie to jedno. Ale po co miesza do tego Jessie?

– Pomóc w czymś? – pytam.

– Jasne, stary – odpowiada chłopak, nie odrywając wzroku od Nory. – Niedawno wróciłem do kraju i szukałem właśnie tej młodej damy. Mogę ją na chwilę wypożyczyć? – To mówiąc, sięga przez okno i otwiera drzwi. – Zaraz wrócimy – dodaje.

Mam ochotę powiedzieć Norze, że nie musi go słuchać. Jednak ona odpina pas... i nie robi nic więcej. Wciąż siedzi w samochodzie, niemal bez ruchu.

– Kiciu... – mruży nieznajomy i sięga po nią, jakby chciał wyjąć dziecko z fotelika samochodowego. – Tak mi ciebie brakowało.

Przekręcam kluczyk w stacyjce. Odpowiada mi cisza. Scot zagląda przez okno od strony kierowcy.

– Jakiś problem? – pyta uprzejmie.

Norah zerka na niego. Nie wiedzieć czemu, jego widok przywołuje ją do życia.

– Tal – syczy tonem ostrym jak nóż – nie brakowało ci mnie przez ani jedną pieprzoną chwilę. Nie tęskniłeś za mną przez ani jedną sekundę swojego żalotnego życia. Możliwe, że brakowało ci przyjemności, jaką czerpałeś z mieszania mi w głowie. Niewykluczone, że tęskniłeś za satysfakcją, którą przynosiło ci niszczenie mnie kawałek po kawałku. To tych pokręconych uczuć ci brakowało, nie mnie. Przykro mi, ale nie mogę ci pomóc.

– Przestań, kotku. – Tal nachyla się nad nią, ale ona wciska się w siedzenie. Czuję, że Scot zaraz coś powie, ale go uprzedzam.

– Stary, kotek wlaźł na płotek – mówię. – Spieprzaj z mojego samochodu.

Gość podnosi ręce i robi krok w tył.

– Chciałem dać tej damie wybór – oznajmia. – Nie wiedziałem, że zaczęła już niszczyć życie kolejnemu facetowi. Życzę dużo szczęścia.

– Dupek – mruczy pod nosem moja pasażerka.

Tal wybucha śmiechem.

– Gówniana fura: pięć dolarów. Wartość opinii Nory: trzy centy. Usłyszeć, jak nazywa mnie dupkiem: bezcenne.

– Idź. Stąd – cedzi przez zęby Norah.

– Ale czemu? Boisz się, że powiem prawdę? – Koleś patrzy teraz prosto na mnie. – Nie daj się nabrać na te piękne oczęta, kolego. Mocna w gębie, ale jeśli szukasz ognia, to sobie odpuść. Jest zimna jak lodowiec.

– Miły panie, można odpalać! – krzyczy Thom zza podniesionej maski.

Niespecjalnie wychodzi mi wznoszenie modłów do Boga czy innego wszechmocnego bytu. Bardzo chętnie pomodłę się za to do Jessie. Złożę jej propozycję nie do odrzucenia.

„Proszę, rusz, maleńka. Przez następny miesiąc będę kupował benzynę premium, jeśli tylko odpalisz. Proszę, proszę, proszę!”

Przekręcam kluczyk, silnik się dusi i po chwili...

Jessie znów do mnie mówi. A co mówi? „Wiejmy stąd!”

– Chętnie byśmy zostali, przemiło się gawędzi – zwracam się do Tala – ale mamy ważniejsze sprawy do załatwienia.

– Mus to mus – odpowiada i zamyka drzwiczki – delikatniej niż się spodziewałem. – Tylko żeby nie było, że nie ostrzegałem. Umawiasz się z Królową Śniegu. Tam, gdzie powinna mieć serce, tkwi kawałek lodu.

– Dzięki za radę! – mówię ze sztucznym uśmiechem.

On jeszcze raz nachyla się do okna i gładzi Norę po policzku, patrząc na nią przenikliwie.

– Kotku, czekam na ciebie – szepce, po czym odwraca się na pięcie i idzie prosto do klubu.

– Przyjemniaczek – rzucam z przekąsem, ale ona milczy.

W moim oknie pojawia się twarz Scotta.

– Nie martw się o jej przyjaciółkę. Zawieziemy ją do domu – zapewnia. – Bawcie się dobrze, dzieciaki!

– Dobrze, tato – odpowiadam z krzywym uśmiechem, bo coś mi się

zdaje, że jedyna impreza, na którą dałaby się teraz zaciągnąć moja towarzyszka, to stypa.

Thom zatrzaskuje maskę i pokazuje mi rękę z wyciągniętym kciukiem. Następnie, trzymając się za ręce, chłopcy wracają do furgonetki; kable samochodowe oplatają ich niczym wąż boa.

Norah ani drgnie; nie zapięła nawet pasów. Nie wiem, jak to rozumieć. Odwróciła się ode mnie i patrzy na wejście do klubu.

– Wszystko w porządku? – pytam ostrożnie.

– Szczerze mówiąc, sama nie wiem – odpowiada.

Wrzucam wsteczny i zwalniam nasze miejsce dla następnego auta. Lubię to uczucie: mój odjazd niebawem bardzo kogoś ucieszy.

Wjeżdżamy na ulicę i wtedy zdaję sobie sprawę, że nie wiem, dokąd jechać.

– Zabrać cię do domu? – zgaduję.

Odpowiada mi cisza, którą interpretuję jako przeczenie. Gdyby chciała wracać do domu, na pewno by to powiedziała.

– W takim razie co chciałabyś robić?

Wydaje mi się, że to dość proste pytanie, ale ona patrzy na mnie zupełnie skołowana – jakby oglądała nagranie z końca świata, a ja byłbym marnym punktem w rogu ekranu, który komentuje aktualny stan pogody.

– Jesteś głodna?

Przytyka dłoń do ust i patrzy przed siebie.

– Chce ci się pić?

Wygląda, jakby liczyła latarnie.

– Może masz ochotę na inny koncert?

Cisza. Po podłokietniku między nami turlają się bezwolne, pustynne suszki. Jak w westernie.

– Chcesz pooglądać całujące się zakonnice?

Czy ona na pewno mnie słyszy?

– Możemy też sprawdzić, czy E.T. nie ma ochoty na trójkąt.

W końcu spogląda na mnie. Nie uśmiecha się, ale kącik jej ust wyraźnie drgnął. A więc jest nadzieja.

– Nie – odpowiada. – Ale jestem ciekawa tych zakonnice.

– Doskonale. – Zawracam w stronę Lower East Side. – W takim

razie czas na spotkanie z burleską.

Staram się brzmieć jak człowiek, który wie, co robi, choć mam bardzo niejasne pojęcie na temat miejsca, do którego jedziemy. Dev opowiadał mi kiedyś o miejscówce, w której striptizerki przebrane za zakonnice świntuszą do *Climb Ev'ry Mountain* z musicalu *Dźwięki muzyki*. Ponoć miały w repertuarze kilka innych numerów. Pomyślałem wtedy, że to raczej kicz niż perwersja. Noże ten pomysł przypadł chyba do gustu. Przejeżdżamy przez Houston, pochyla się i włącza radio. Leci starość gościa o pomalowanych na czarno ustach: *Pictures of You* Cure'ów – numer cztery na mojej osobistej składance „Rozpacz Rozstania”.

Tę i resztę piosenek na płycie dedykuję Tris...

Ten kawałek jest muzyką naszego związku. Złamane serce instynktownie podpowiada mi odpowiednią scenę. Tamtej nocy czuła się zmęczona i powiedziała, że musi się położyć. Przeszła na tył auta i wyciągnęła się na siedzeniu. Byłem przekonany, że odpłynęła, ale pięć minut później zadzwonił mój telefon. Dzwoniła ona, dzwoniła z tylnego siedzenia mojego własnego samochodu. Zaspianym głosem mówiła, że czuje się tak bezpiecznie, tak wygodnie, że przypomina sobie wszystkie nocne powroty z wakacji z rodzicami, kiedy miała wrażenie, że wiozą ją w jej własnym łóżku, a szum kół i wzór rozcapierzonych gałęzi na przedniej szybie wydawały jej się rzeczą najnormalniejszą w świecie. Powiedziała, że w tamtych chwilach czuła, jakby samochód był domem, i że ja też sprawiam, że tak się czuje.

Wreszcie zasnęła, ale trzymałem telefon przy uchu i wsłuchiwałem się w kojący rytm jej oddechu, który dobiegał zza moich pleców. Tak, byliśmy wtedy w domu – tam, gdzie wszystko jest na swoim miejscu.

– Ostatni kawałek, na który mam teraz ochotę. – Norah wzdycha ciężko, ale nie zmienia piosenki.

– Zastanawiałaś się kiedyś nad ich nazwą? – próbuję podtrzymać rozmowę. – Co takiego chcą wyleczyć?

– Co ty bredzisz?

– The Cure. Lekarstwo. Tylko na co? Na radość?

– I kto to mówi... basista Odpałów?

Wow, wie, jak się nazywamy! To mnie zaskoczyła.



– Dev chce zmienić nazwę na Przypały – mówię.

– Może lepiej samo Przypał?

– Tak po prostu?

– Przyjacielski przypał?

– Twój czy mój przypał?

– Dlaczego on jest takim przypałem?

Patrzę na nią uważnie.

– To nie kolejna propozycja nazwy dla kapeli, prawda?

– Nie miał prawa tego zrobić. Jak on śmiał.

Zapada milczenie. Pytam. Krótka piłka.

– Kim on właściwie jest?

– Byłem – odpowiada i zapada się w fotelu. – Tym byłem.

Bardzo byłem. Najgorszym.

– Zupełnie jak Tris.

Norah prostuje się i patrzy na mnie z czystą nienawiścią.

– Nie, zupełnie nie jak Tris. My byliśmy ze sobą naprawdę.

Milczę, wsłuchując się w melodie rozstania, które lecą w tle.

– To było chamskie z twojej strony – mówię w końcu. – Nie wiesz, co było między nami.

– I vice versa. Dlatego lepiej o tym nie rozmawiajmy. Podobno mieliśmy dobrze się bawić.

Uznaję, że w ostatnim zdaniu próbowała mnie przeprosić. Głównie dlatego, że wcale nie mam ochoty na kłótnię.

Kluczemy przez dzielnicę Lower East Side – ulice mają tu nazwy, nie numery. Tu noc jest wciąż bardzo młoda, grupki hipsterów wydychają z płuc dym na każdym rogu. Parkuję w mroczniejszej części Ludlow i prowadzę Norę przed różowe drzwi.

– Camera Obscura?

Kiwam głową.

– Gdzie te zakonnice? – Uśmiecha się.

Nie jestem pewien, czy powinniśmy zapukać, czy po prostu wejść do środka. Odpowiedź przychodzi sama pod postacią sporego ochroniarza w stroju króliczka Playboya.

– Dowód? – pyta mężczyzna.

Sięgam po prawo jazdy kuzyna z Illinois, które udało mi się

wygrać w emocjonującym turnieju na Xboksie.

Norah klepie się po kieszeniach. Nie wygląda na zachwyconą.

Kiedy ja myślę: „Cholera!” – ona wypowiada to na głos.

## 6. NORAH

Cholera. CHOLERA CHOLERA CHOLERA  
CHOLEEEEEERA!!!!!!!

Dziś rano wysłałam list, w którym rezygnuję ze studiów na Uniwersytecie Browna. I akurat teraz, w środku nocy – a może jest już rano, dlaczego czas przestaje płynąć, kiedy widzę Tala – dopiero teraz to do mnie dotarło. Kibuc w Afryce Południowej: CHOLERNIE WIELKI BŁĄD. Po prostu OGROMNY. Co ja sobie myślałam? Niby zrywaliśmy ze sobą pięć razy na przestrzeni ostatnich trzech lat, ale co z tego? Łudziłam się chyba, że albo (1) w końcu przerobimy nasze problemy – nie ma do tego lepszych warunków niż komuna na drugim końcu świata, gdzie bylibyśmy odcięci od naszych rodzin i znajomych, albo (2) nie udałoby się nam niczego rozwiązać, ale ja okazałabym się najlepszą wolontariuszką w całej historii kibucu; w ramach bonusu Tal umierałby z zazdrości, kiedy zakochałabym się w przepięknym surferze z Capetown – o równie przepięknym imieniu w stylu Ndgijo – który porwałby mnie z kibucu (Tal musiałby sam plewić ogródek) i zabrał w podróż autostopem dookoła świata.

Tylko że mnie takie cuda nigdy się nie przytrafiają. Podobno jestem mądrą dziewczyną – jeśli tak, to jakim cudem wpakowałam się w taki ambaras? I to na samym początku przygody z dorosłością, kiedy moja przyszłość jest jedną wielką niewiadomą? Przez ostatnie tygodnie tęskniłam za Talem tak mocno, jak bardzo go nienawidziłam. W końcu był moim Bardzołym Eksem. Przy życiu trzymała mnie nadzieja, że zaskoczę go, przylatując do Afryki bez zapowiedzi, ale okazało się, że kiedy stanął TUŻ PRZEDE MNĄ, na Manhattanie, nie mogłam się ruszyć. Sparaliżowało mnie. Nagle fantazje o pojednaniu prysły jak bańka mydlana. W głowie miałam jedno: dla niego nigdy nie byłam dostatecznie dobra, wystarczająco żydowska, politycznie i uczuciowo zaangażowana. Tal nie był kłamliwą szmatką jak Tris, ale nie był od niej lepszy. Caroline idealnie go podsumowała: „kontrolujący dupek”. Więc

tak oto, w pieprzonym yugo, obok biednego biedaczyska, z którym całowałam się, zanim jeszcze poznałam jego imię, doznałam oświecenia, na które moi rodzice i Caroline czekali, odkąd skończyłam piętnaście lat: BASTA! Caroline miała rację: Tal i ja możemy być szczęśliwi tylko z dala od siebie.

Cholera. Czy powiedziałam to na głos? Staram się słuchać, co mówi do mnie Nick, ale w głowie słyszę tylko Tala: „Ta sztuka ma gadane, ale kiedy chcesz przejść do konkretnego, okazuje się, że poza słowami nie ma zbyt wiele do zaoferowania”.

Królowa Śniegu! Nazwał mnie cholernym lodowcem! Oddałam mu swoje dziewictwo i dużą część młodości, a on ma o mnie do powiedzenia tylko tyle? Powinnam być wdzięczna, że wrócił na Manhattan bez zapowiedzi, bo dzięki temu na pewno nie dostał jeszcze mojego listu. Wzięło mnie na sentymentalizm i parę dni temu wysłałam tradycyjny list, zamiast napisać e-mail. Na kopercie narysowałam uśmiechnięte buźki! Boże, robi mi się niedobrze na samą myśl.

Norah, małpo, dlaczego nie potrafiłaś zamknąć za sobą tych drzwi? W zeszły weekend, kiedy po raz kolejny podtrzymywałam włosy Caroline, gdy ona wymiotowała w toalecie, poczułam się samotna i zagubiona. Kolejka adoratorów za drzwiami tylko czekała, aż moja przyjaciółka wytrzeźwieje. Czułam się tak źle, że oddałam kontrolę swojej mrocznej stronie, tej, którą rządził Tal. Gdy Caroline zasnęła na dodatkowym łóżku, które czekało na nią w moim pokoju od przedszkola, napisałam do niego. Nie wiem, czy w głowie namieszała mi końska dawka kofeiny, którą przyjął tego wieczoru, żeby dotrzymać kroku Caroline, czy marihuanowy dym wypełniający klub reggae, w którym się bawiłyśmy. Bierne wdychanie dymu jest dla mnie równie zabójcze w skutkach co aktywne palenie – upośledza moją zdolność do odróżniania tęsknoty za Bardzołym Eksem wywołanej przez samotność od faktycznej chęci powrotu do niego.

Oby Tal nigdy się nie dowiedział, że Królowa Śniegu była gotowa na kolejną próbę. Zresztą w liście nie wyraziłam tego wprost. Przyznałam jednak, że dopuszczam taką myśl. Napisałam, że mogę przejść na weganizm. Że mogę być bardziej żydowska. Że zostanę pieprzoną koszerną weganką! Pewnie mogłabym udawać, że rusza mnie

los wydry morskiej i pić tylko kawę fair trade. Mogłabym uwierzyć, że Tal i jego telawiwscy bracia naprawdę mają talent, że coś z nich będzie – na przykład starsza, punkowa, proizraelska, antyeuropejska, rozpolitykowana wersja grupy Hanson. Dopuszczałam do siebie nawet myśl o przeprowadzce do Izraela i zamieszkaniu pod jednym dachem z jego psychotyczną, kontrolującą wszystko i wszystkich matką na czas obowiązkowej służby wojskowej Tala, która czeka go w przyszłym roku. Przynajmniej nauczyłaby mnie gotować ukochane potrawy synka i wyjaśniła, że jego pościel najlepiej suszyć na słońcu, bo wtedy zachowuje miękkość i świeżość.

Pieprzony list! Byłam w nim jak karykatura Saddama Hussaina z filmu *South Park*, który przysięga przed Szatanem: „Zmienię się, potrafię się zmienić!”.

Prawda jest inna. Nie mogę i nie powinnam się zmieniać.

Caroline może i jest puszczalska, ale nie jest głupia. Błagała, żebym nie wrzucała listu do skrzynki, ale nie chciałam jej słuchać. „Po cholerę masz się zmieniać?” – pytała. „To on, ten sztywny dupek, powinien zastanowić się nad sobą. Dlaczego to robisz? Jeśli masz ochotę z hukiem zakończyć okres szaleństw młodości, lepiej zabierz jaguara swojego ojca na przejażdżkę i rozwal furę. Naprawdę chcesz zrobić nam to jeszcze raz? Ty i Tal to koszmar. Do tego przez niego odpuszczasz Browna? Norah, przecież wiesz, że to nie ostatni facet, jakiego poznasz w życiu”. Tyle że ja jej nie wierzyłam. Aż do dzisiaj.

Co mi po Caroline, kiedy leży nieprzytomna w furgonetce kumpli Nicka? Zastanawiam się, czy ma włączoną komórkę. Muszę jej powiedzieć, że Tal wrócił. I że spieprzyłam sprawę. Teraz rozumiem to aż za dobrze.

– Norah? – króliczek Playboya najwyraźniej mnie rozpoznaje. Co za ulga, bo nie mam fałszywych papierów. Kiedy ma się ojca, który kieruje znaną wytwórnią płytową, większość klubów na Manhattanie nie pyta o dokumenty.

– Toni? – W odpowiedzi Toni przytula mnie mocno. W zeszłym roku był/a u taty na stażu i zastanawiał/a się, czy próbować swoich sił w branży muzycznej; był/a również najgorliwszym adwokatem mojej (jak na razie) bezowocnej kampanii – próbuję przekonać tatę, żeby

wydać punkową płytę w hołdzie Spice Girls. – Dalej pracujesz nad swoim demo?

Niespodziewanie Toni wyciąga płytę z puszystego, króliczego ogona.

– Świeżutka, jeszcze ciepła. Przekażesz komu trzeba?

– Jasna sprawa – zapewniam z nadzieją, że Nick nie zacznie pytać, kim jestem. Nie na co dzień osiemnastolatki we flanelowych koszulach zajmują się przekazywaniem płyt demo komukolwiek.

– Idźcie prosto do strefy VIP – radzi Toni – i nie przejmujcie się drinkami. Firma stawia, załatwię to.

– Ja nie piję – przypominam mu/jej.

– Och, pozwól sobie na odrobinę szaleństwa – odpowiada i kokieteryjnie szturcha mnie w biodro. – Nawet Miss Czystości wolno się czasem ubrudzić – dodaje, po czym zwraca się do Nicka: – Illinois? Dwadzieścia trzy lata? Nawet ślepy by tego nie kupił. Ale bawcie się dobrze, dzieciaki.

Kiedy wchodzimy, rozbawiony/a Toni klepie mojego nowego znajomego po tyłku. Chłopak reaguje inaczej niż Tal, który na pewno byłby oburzony tym, że jakaś drag queen ośmieliła się go dotknąć. Nick parska śmiechem i odwija się, by odwzajemnić klapsa. Toni odwraca się i kręci króliczym ogonkiem.

– Podoba mi się ten egzemplarz, Norah! – woła. – Zmiana na lepsze.

Nie do końca rozumiem ten tekst.

Siadamy przy niewielkim stoliku, który pustoszeje jak za dotknięciem magicznej różdżki. Moje serce zaczyna kołatać jak szalone, kiedy Nick odsuwa dla mnie drewniane krzesło. Kto robi takie rzeczy? Jakim cudem tak prosty gest sprawia, że na moment zapominam, jak **BARDZO JESTEM WKURZONA** i że **MOJE ŻYCIE TO DNO**? Uwagę od Tala skutecznie odwracają również zakonnice, które naprawdę całują się na scenie, i to faktycznie do *Climb Ev'ry Mountain*. Chwilę później zaczynam chichotać pod nosem, bo przed oczami staje mi wizja trójkąta z Nickiem i E.T. Uśmiech nieśmiało wykrzywia mi usta, ciało rozluźnia się mimo woli. W błyskach jaskrawych świateł, korzystając z zamieszania na scenie, w końcu mam okazję bliżej przyjrzeć się

chłopakowi. Z uznaniem notuję jego kurtkę pracownika stacji benzynowej w stylu retro – pod logotypem Texaco ktoś wyszył imię Salwator. Przyznaję sama przed sobą, że z chęcią zanurzyłabym palce w jego gęstych, potarganych włosach. Na jego twarzy – mimo niewesołej konfrontacji z Tris – maluje się delikatny uśmiech: krzywy, ale pełen uroku.

Nick macha do Toniego, jakby chciał mu podziękować.

– Twój kumpel załatwił nam niezłe miejsca. Dobrze wiedzieć, że masz też sympatycznych znajomych. Do tej pory poznałem tylko twoją pijaną do nieprzytomności przyjaciółkę i byłego, który obrażał moje yugo. – Puszczą do mnie oko. Czy on musi ciągle się tak uśmiechać? Już teraz wiem, że jeśli spędzimy tę noc/ranek/cokolwiek razem, powiem mu, co wiem o Tris, a wtedy uśmiech zniknie. Nie chcę być za to odpowiedzialna.

Niby nie muszę się tłumaczyć, ale czuję taką potrzebę.

– Przepraszam za Tala – mówię ze skrucą. Tak naprawdę wstyd mi jednak za to, co powiedziałam na temat Tris, ale nie potrafię się do tego przyznać. Jeszcze nie teraz.

Do stolika podchodzi kelnerka – również w stroju króliczka – i Nick zamawia drinki z parasolkami, nieważne jakie, jesteśmy z Jersey, więc i tak się nie znamy. Prosi tylko, żeby na pewno były bezalkoholowe.

– Nie piję alkoholu – zwraca się do mnie, kiedy kelnerka odchodzi. – Ideologia straight edge jest mi bliska, że się tak wyrażę. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

Żaden problem. Sama popieram straightedge'owców. Nie piję, nie palę, nie biorę narkotyków, ale w kwestii jedzenia mięsa czy uprawiania seksu nie jestem tak konserwatywna jak niektórzy przedstawiciele tego ruchu. Podchodzę do abstynencji jak do judaizmu: trzymam się zasad, ale jestem otwarta na reformy.

Chciałam odpowiedzieć Nickowi coś w stylu: „TO miałoby mi przeszkadzać? Przecież to cud!”, ale zaskoczenie zamknęło mi usta. Zamiast słów kiwam tylko głową – ani na tak, ani na nie.

Szok! A więc Tris umawiała się z abstynentem, który w dodatku potrafi powiedzieć „proszę”. I on z nią wytrzymał? Na trzeźwo? Nie

wiem, czy należy mu się podziw, czy współczucie, ale jestem co najmniej zaintrygowana. Pierwszy raz w życiu jestem na randce z facetem, który potrafi się dobrze bawić bez nawalenia się jak świnia. Wszechświat jest pełen niespodzianek. Tę jedną zawdzięczam Tris.

– Chcesz mi o tym opowiedzieć? – pyta niespodziewanie mój towarzysz.

– O czym?

– O swoim byłym.

Czy tak wygląda standardowa współczesna randka? Całowanie się z nieznajomym, a potem rozmowa na temat przeszłych porażek związkowych? Czuję zakłopotanie. Tal był moim jedynym chłopakiem. Kiedy zapraszał mnie na randkę, oglądaliśmy *Listę Schindlera* w jego pokoju w akademiku Uniwersytetu Columbia. Wyjąwszy niespodziewaną akcję z Nickiem, nie całowałam się z nikim więcej – chyba że eksperymentalny całus z Bekką Weiner na kolonii letniej (miałam trzynaście lat) też się liczy (ja uważam, że nie). Nie mam pojęcia, o co chodzi w randkowaniu. Pewnie dlatego uchodzę za oziębłą Królową Śniegu.

Nie mam najmniejszej ochoty rozmawiać o Talu. Chcę jak najszybciej zapomnieć, że choć przez chwilę rozważałam powrót do niego. Chcę zapomnieć, że zdeptałam swoją przyszłość i że teraz będę musiała wymyślić całkiem nowy plan.

– Potrafię prowadzić samochód z manualną skrzynią biegów – mówię do Nicka, bo wiem, że Tris tego nie potrafi.

– Rozumiem, że byłabyś w stanie zawieźć Jessie do jej domu w Jersey, zakładając, że w ogóle ruszy?

– Kim jest Jessie?

– To moje yugo.

– Twoje auto ma imię? Błagam, mam nadzieję, że nie jesteś jednym z tych koleśków, którzy nadają imiona swoim penisom.

– Niestety jeszcze nie znalazłem dla mojego odpowiedniego przydomka. Pozostaje nieszczęśliwie bezimienny. – Chłopak patrzy w swoje krocze, po czym zerka na mnie. – Ale jeśli przyjdzie ci do głowy coś chwytliwego, daj znać. Myślałem o czymś egzotycznym, w stylu Julio.



Lód topnieje w odpowiednich warunkach, prawda?

– Dev chciał nazwać nasz zespół Kanapka z Gównem – dodaje Nick. – Co o tym sądzisz?

– Wybacz, wolę Odpały. Brzmi bardzo zgrabnie. Sklepy muzyczne z pewnością was pokochają.

Przerywamy rozmowę, bo na scenie zaczyna się kolejny występ. Dwie koleżanki po fachu Toniego zaczynają ocierać się o siebie do melodii *Edelweiss* – najwyraźniej ciągnąc temat *Dźwięków muzyki*. W porównaniu z nimi zakonnice to prawdziwe... zakonnice. Nick wstaje i podaje mi dłoń. Nie mam pojęcia, o co mu chodzi, ale co mi tam – łapię go za rękę. Podrywa mnie z siedzenia i delikatnie przyciąga do siebie. Zaczynamy tańczyć i jest jak we śnie: on – Christopher Plummer, ja – Julie Andrews, wirujemy swobodnie po marmurowej posadzce austriackiego tarasu. Bezwiednie opieram głowę na ramieniu Nicka; na krótką chwilę tracę poczucie czasu i zapominam o Talu. Może moje życie wcale się nie kończy, a dopiero się zaczyna?

Na tę myśl przechodzi mnie dreszcz, a czujny Nick okrywa mnie swoją kurtką. Z kurtki bije bezpieczne ciepło, jest mi dobrze. Nabieram też przekonania, że jej pierwszy właściciel – pracownik stacji benzynowej Texaco o imieniu Salwator – był dobrym człowiekiem i kochającą głową rodziny. Może kiedy nikt nie patrzył, lubił przymierzać pantalony swojej małżonki i zdarzało mu się chodzić na wyścigi konne z pieniędzmi, które „pożyczał” z funduszu stypendialnego swoich dzieci, ale poza tymi drobnymi wadami był naprawdę porządnym gościem.

Budzę się z tanecznego rozmarzenia, kiedy publiczność klaszcze na koniec występu. Muzyka cichnie i bliskość Nicka wydaje mi się nagle zbyt silna. Nick/Salwator/Christopher Plummer/cudowny partner do tańca nie ma prawa być prawdziwy. To niemożliwe. Lepiej obudzić się, nim sen zmieni się w koszmar.

– Dlaczego jesteś tak cholernie miły? – pytam i odpycham Nicka. Wydaje się szczerze zaskoczony. Brawo, Norah. Udało ci się zgasić jego uśmiech, i to bez wspomnienia o Tris. – Muszę iść się wysikać.

Uciekam do łazienki. Przed drzwiami stoi kilka osób, ale Toni pstryka palcami i kolejka znika.

Wcale nie muszę siku. Muszę pomyśleć. Muszę się wyspać. Muszę pogadać z Caroline (niech tylko wytrzeźwieje). Rano życie wydawało się proste. Odrzucić miejsce na studiach – zrobione. Iść na koncert ulubionej kapeli Caroline (zamiast siedzieć w domu z rodzicami i kupą nieznośnych ludzi ze świata hip-hopu) – załatwione. Ten wieczór miał swój schemat: Caroline podrywa jakiegoś gościa, ja pilnuję, żeby dotarła bezpiecznie do domu. Nie należę do dziewczyn, które przypadkowo poznają cudownych facetów i odmieniają w ten sposób swoje życie. Noszę sztruksy i flanelowe koszule. Nie mam zabójczej figury jak Tris czy Caroline. Czasem nie myję włosów przez trzy dni, nie używam nici dentystycznej codziennie. Co ja w ogóle robię z kimś takim jak Nick?

Wchodzę do kabiny. Wycieram deskę papierem i siadam. Na ścianie jest pełno interesujących bazgrołów.

„Jimmy robi obłądną minetę. Dochodzisz śpiewająco”. (Komentarz opatrzony rysunkiem).

„Co do szczęścia, to ma ono tylko tę użyteczność, że czyni możliwym nieszczęście” – Proust.

„Dla mnie jesteś tylko ty, Grubciu” – Morrissey.

„Chcę to robić właśnie tak” – Backstreet Boys. (Cytat również wzbogacony ilustracją – bardziej wyuzdaną, choć klasa rysownika zdecydowanie wyższa).

„Claire, spotkajmy się przed hotelem po przedstawieniu. Weź ze sobą cukiereczki. Wiesz które”.

„Psst – siedzisz na Janku i zastanawiasz się, czy ta noc się kiedyś skończy? Odpowiedź brzmi: NIE. Where’s Fluffy, show spoza programu, już DZIŚ na scenie po beznadziejnych von Trappach, nim wstanie świt. Przyjdź i zobacz na własne oczy albo znikaj aj aj.....”.

Pod ostatnim wpisem nie ma daty, ale czarny marker błyszczy świeżością. Ciekawi mnie, kim jest jego autor, który tak pięknie ochrzczył sedes „Jankiem”. Czy występ, o którym pisze, już się odbył? Uwielbiam kapelę Where’s Fluffy. Odrzucili propozycję taty i podpisali kontrakt z wytwórnią płytową indie Wujaszka Lou. Do ich muzyki mogę szaleć całą noc. Już nie chcę chować się pod kołdrę, zapominam nawet, że zmarnowałam najlepsze lata życia na Tala i że jestem na randce z dobrym facetem, któremu wysłałam więcej sprzecznych sygnałów niż

uczący się alfabetu Morse'a.

Czy wypada mi w ogóle wrócić do stolika i zagaić Nicka o *Where's Fluffy?* Wiem, że też ich lubi. Zwinęłam z auta składankę, którą zrobił dla Tris – zaczyna się od ich *Take Me Back, Bitch*. Boże, wybrał naprawdę genialne kawałki. Tal nagrywał dla mnie same banały – Dylana, Ymę Sumac i tak dalej. Nick połączył Cesarię Evorę z Wilco, domieszał Rancid i Patsy Cline, płynnie przechodząc w finał z Fugazi. Może trochę później – ta noc i tak zmierza w niewiadomym kierunku – zdobędę się na odwagę i wyłożę mu, dlaczego Patti Smith i Velvet Underground nie pasują do składanek dla złamanych serc. Nie cierpię ich. Patti jest przymilającą się do wszystkich pozerką, a Lou Reed to po prostu głupi wacek.

WACEK! Czy naprawdę zapytałam Nicka, jak nazwał swojego penisa?

Może Tal ma rację – powinnam być mu wdzięczna, bo żaden inny facet nie ma prawa ze mną wytrzymać.

Caroline leży teraz nieprzytomna w furgonetce z nieznanymi chłopakami, ale niemal słyszę, jak mówi: „Tal NIE ma racji. Wracaj tam i postaraj się trochę. Starczy smęcenia, babo, idź do niego! Dasz radę”.

Biorę do ręki czarny flamaster, który wisi na sznurku przy lustrze nad umywalką, i dopisuję swoje trzy grosze na zabazgranej ścianie:

„The Cure. Lekarstwo na byłych? Przepraszam, Nick. Ty wiesz. Pocałujesz mnie jeszcze raz?”

Obmywam twarz zimną wodą i biorę głęboki oddech. Czas iść na salę i wziąć sprawy w swoje ręce. Jestem jak nowo narodzona. Potrafię się zmienić. I to nie dla Tala, ale dla samej siebie.

## 7. NICK

Robię wszystko jak należy. Wywołuję tylko pożądane reakcje.  
Cud.

Przebywanie w strefie VIP jest dla mnie cholernie stresujące. Z trudem odrywam wzrok od zakonnicy po lewej, która jednocześnie gra *Edelweiss* na gitarze i kręci przymocowanymi do sutków frędzelkami. Norah patrzy na mnie, jakbym miał u niej jakieś szanse. Przeraza mnie to, ale jakoś udaje mi się wstać z krzesła i wyciągnąć do niej rękę. Wiem dobrze, w jaki sposób ją objąć i przyciągnąć do siebie. Ta chwila należy tylko do nas, jesteśmy w niej zamknięci jak w bańce. I tak jest dobrze.

To dla mnie coś nowego.

Muzyka się kończy, ale ja tego nie zauważam, bo w głowie słyszę swoją własną melodię. Nagle coś zgrzyta, DJ zaczyna skreczować, bańka pryska. Norah odpycha mnie, wypluwa jakieś nieprzyjemne słowa i ucieka do toalety.

To też nowe doświadczenie, ale nie jestem specjalnie zaskoczony.

Odprowadzam ją wzrokiem. Tony/Toni/Toné wciela się w rolę wróżki chrzestnej i pryska odświeżaczem powietrza Playboy Bunny, by rozproszyć kolejkę przed drzwiami kabiny. Na scenie zakonnice zrzuciły habity i paradują w skąpej odzieży plecionej z gałązek i kwiatków – niewątpliwie prosto z alpejskich łąk musicalu *Dźwięki muzyki*. Samotny pasterz w pierwszym rzędzie gapi się na nie z otwartymi ustami.

W normalnej sytuacji robiłbym dokładnie to, co on. Myślę jednak o czym innym – co wzbudza mój niepokój:

Norah mi się podoba.

Podoba mi się, bo przyjaźni się z króliczkiem Playboya o nieokreślonej płci. Podoba mi się, bo umie prowadzić samochód z manualną skrzynią biegów. Podoba mi się, bo muszę zasłużyć na jej uśmiech. Podobało mi się to, jak mnie pocałowała. I jeszcze to, że chce zostawić przeszłość za sobą. Mógłbym się tego od niej nauczyć. Podoba mi się również, że mogę jej mówić to, co myślę, i nie muszę się martwić,

że jestem zbyt bezpośredni.

Chyba jestem na granicy małej obsesji (a przynajmniej w silnym stresie). Z ulgą przywitałem Tony'ego/Toni/Toné, który – tym razem przebrany za kobietę w sutannie – przysiadł się do naszego stolika.

– Za dziesięć minut występuję – tłumaczy zmianę stroju. – Norah wciąż pudruje nosek?

– Poszła się załatwić.

– Świetnie! Czyli możemy poplotkować w spokoju. – Tony nachyla się do mnie, gotowy słuchać, ale jeszcze bardziej gotowy pytać. – Jak długo się znacie, moi milusińscy?

Patrzę na zegarek.

– Od około godziny, wliczając czas spędzony w samochodzie.

Tony/Toni/Toné gwizdże z podziwem.

– Proszę, proszę! To cztery razy dłużej niż trwał mój najdłuższy związek.

– Cóż, obawiam się, że nie pobijemy żadnego rekordu – burczę pod nosem.

– Skąd te myśli! – oburza się. – Dobrze widzę, jak się do siebie kleicie. A ten taniec? Podnieśliście temperaturę o kilka stopni! Prawdziwy z ciebie Johnny Castle.

Nie mam pojęcia, kto to taki, ale odbieram to jako komplement.

Tony/Toni/Toné składa dłonie w piramidkę i spogląda na mnie dobrotliwie.

– Chcesz o tym porozmawiać?

– Tak. Nie. Nie wiem.

– Kiedy ostatni raz byłeś u spowiedzi?

Patrzę mu/jej prosto w oczy.

– Trzy tygodnie, dwa dni i dwadzieścia cztery godzi... cholera.

Trzy tygodnie i trzy dni temu.

– Czym zgrzeszyłeś?

– Powiedziałem jej: „Kocham cię”.

– Poważna sprawa. Jak to przyjęła?

– Milcząc. A potem żyliśmy w czystości. Aż pojawił się nowy facet.

– Rozumiem. Co chciałbyś wyznać teraz?

Nie wiem, dlaczego decyduję się mu/jej zwierzyć.

– Nie jestem pewien, czy czuję się na to gotowy.

– Co rozumiesz przez „to”?

Otwartość. Zranienie. Uczucie sympatii. Brak wzajemności. Iskrę, która zapala się – i gaśnie. Skok. Upadek. Ból.

– „To”, czyli Norah. Nie wiem, czy jestem gotów na Norę.

Tony/Toni/Toné uśmiecha się, odsłaniając zęby śnieżnobiałe jak koloratka przy sutannie.

– W tych sprawach nie ma czegoś takiego jak pewność.

Najważniejsza jest chęć – mówi i zamyka swoją dłoń w swojej. Nie próbuje mnie podrywać, chce mi raczej coś przekazać. – Ja nie potrzebuję więcej dowodów – dodaje. – Wystarczy popatrzeć, jak ze sobą tańczycie.

Nagle zerka ponad moją głowę, odwracam się odruchowo i widzę, że Norah wychodzi z toalety.

Tony/Toni/Toné wstaje od stolika.

– Mam jeszcze jedno pytanie – zatrzymuję go.

Unosi brew.

– Kim jest ojciec Nory?

Brew unosi się tak wysoko, że pada niemal prostopadle w kierunku oka.

– Naprawdę nie wiesz? – dziwi się.

Kręcę przecząco głową.

– A to dobre. Udałeś się, chłopaku.

Norah nie patrzy na stolik – tak mi się przynajmniej wydaje. Nie widzi, jak Tony/Toni/ Toné wraca za kulisy. Nie widzi, że na nią czekam.

Sprawdzam zawartość portfela, bo nie jestem pewien, czy starczy mi gotówki, żeby zapłacić za nasze drinki (bezalkoholowe, choć bajecznie kolorowe i ozdobione zamówionymi parasolkami). Oczywiście w tym momencie Norah podchodzi do stolika. Nie chcę, żeby pomyślała, że chcę zapłacić i jak najszybciej się zmyć, więc próbuję wcisnąć portfel do kieszeni, ale zaplątuję się w łańcuch, którym jest przypięty. Portfel wypada mi z rąk, a na podłogę leci deszcz jednodolarówek z wizerunkiem Waszyngtona. Idzie mi świetnie, nie ma co. Zwłaszcza że

– jak sobie właśnie przypomniałem – drinki i tak miały być przecież na koszt firmy.

Na szczęście Norah wygląda na spokojną.

Za to ja nie potrafię trzymać języka za zębami.

– Wszystko w porządku? Powiedziałem coś nie tak? Czy Johnny Castle w moim wydaniu nie przypadł ci do gustu?

Rozpromienia się, słysząc to imię.

Dzięki, Tony/Toni/Toné!

– Teraz posłuchaj – mówi i bierze do ręki szklankę z Tina Coladą.

– Chcę ci coś wyjaśnić. Pewnie masz mnie za okropną jędzę z planety Schizofrenia, ale przysięgam, że wcale nie chcę mieszać ci w głowie. To w mojej jest bałagan i siłą rzeczy wciągam cię w swój chaos. Jesteś dla mnie bardzo miły, a dla mnie to przerażające. Łatwiej mi się odnaleźć, kiedy facet zachowuje się jak dupek. Wtedy wiem, czego się spodziewać. Takim gościom nie ufa się z założenia, więc nie muszę w ogóle o tym myśleć. A teraz mam w głowie dziesięć myśli naraz, z czego co najmniej cztery są na twój temat. Jeśli chcesz, możesz w tej chwili wyjść, wrócić do domu, zapomnieć, jak mam na imię i jak wyglądam. Nie będę cię obwiniać. Co nie znaczy, że nie będę żałować. Pewnie będzie mi nawet przykro, bo coś mogło się wydarzyć, a się nie wydarzyło. Chciałam, żebyś to wiedział. A teraz możesz sobie iść. Albo zostać ze mną – podobno Where's Fluffy mają tu dzisiaj zagrać koncert-niespodziankę.

Skończyła. Odetchnęła. Sięgnęła po drinka.

Wzięła naprawdę duży łyk.

Odetchnęła raz jeszcze.

– Dobrze wyglądasz w mojej kurtce – mówię.

Norah odstawia szklankę i patrzy na mnie bez słowa. „Jednak jestem dziwakiem” – przechodzi mi przez myśl.

Trudno.

– Serio – ciągnę. – Naprawdę dobrze leży. Gdybym teraz wyszedł, pewnie chciałabyś zwrócić mi kurtkę, ale jeśli do tego doszło, nie mógłbym więcej jej nosić, bo przez cały czas miałbym w pamięci to, jak świetnie ci w niej było. Rękawy są absurdalnie długie, kołnierz odstaje, ale to nieważne. Gorzej, jeśli za chwilę wejdzie tu Salwator, rozpozna

swoją własność, zacznij z tobą rozmawiać i zwinie mi cię sprzed nosa. To przecież jak najbardziej możliwe, co nie zmienia faktu, że nie chcę od ciebie tej kurtki, bo wyglądasz w niej lepiej niż ktokolwiek. Nie mogę zepsuć tego obrazu. Jestem to winien Salwatorowi.

Proszę bardzo. Powiedziałem, co chciałem, choć udało mi się ominąć sformułowanie: „Zostań, proszę”.

– Wznieśmy toast – proponuje Norah.

Posłusznie łapię za szklanke.

Stukamy się.

– Zdrówko! – mówi.

– *Salud* – odpowiadam.

– *L'chaim*.

– *Cheers*.

– Zdrowie twoje w gardło moje.

Przekomarzamy się tak, aż na scenie pojawia się Tony/Toni/Toné, by wymruczeć najbardziej wyuzdaną wersję piosenki *Do Re Mi*, jaką kiedykolwiek słyszano na Manhattanie.

Czuję się obserwowany. Widocznie goście klubu znają Norę albo wiedzą, czyją jest córką. Ja wzbudzam ciekawość albo obojętność. Nieważne. Tu i teraz jestem tylko Facetem, Z Którym Przyszła Norah i zupełnie mi to nie przeszkadza. Nie potrzebuję więcej do szczęścia.

Zagmatwana reszta mojego jestestwa ma chwilowo wolne.



## 8. NORAH

– Wyobraźmy sobie, że wylądowaliśmy w motelu po drugiej stronie tunelu Lincolna. Jest z nami E.T., dochodzi do seksu w trójkącie. Kto ląduje na górze, a kto na dole?

Z moich ust naprawdę pada to pytanie. Widocznie wcale nie jestem oziębła wobec facetów – kiedy ktoś naprawdę mi się podoba, zwyczajnie zmieniam się w totalną idiotkę, która nie powinna pokazywać się publicznie. Chciałabym, żeby była tu Caroline – schowana w kącie niczym sufler, podrzucałaby mi właściwe teksty. Z drugiej strony, gdybym miała słuchać jej rad bezkrytycznie, pewnie szybko wróciłabym do łazienki – na kolanach, żeby się wtulić w porcelanowy tron.

– Łatwizna – odpowiada Nick. – E.T. nie wytrzymuje napięcia i wychodzi z pokoju. Idzie do automatu ze słodyczami po M&M'sy i trafia na porachunki dilerów. Cudem unika postrzelenia. Czego się spodziewać po takim miejscu? Nie mogłaś umieścić nas w nieco bardziej cywilizowanej scenerii? Czy tak doniosła okazja jak rozdziwiczenie E.T. nie zasługuje co najmniej na Radissona?

Występy dobiegły końca. Zakonnice zrzuciły habity i teraz w roli technicznych zmieniają scenografię. Trafiliśmy idealnie, bo niemal na pewno czeka nas niezapowiedziany koncert Where's Fluffy. Scena przechodzi metamorfozę – zostaje poszerzona i wzmocniona, by wytrzymać apokalipsę. Niewątpliwie rozpęta ją odziany w skórę, obwieszony łańcuchami, wytatuowany, poprzekłuwany, punkowy tłum, który zaczyna wypełniać klub. Musi dochodzić trzecia, bo widzę samych starych wyjadaczy, nakręconych całonocnym skakaniem z klubu do klubu, gotowych na wielki finał. Innej nocy o tej porze byłabym już w domu; siedziałabym na łóżku przy zgaszonym świetle i bezmyślnie przerzucała kanały w telewizorze, podczas gdy Caroline chrapałaby obok w alkoholowym śnie. Rozpoznaję kilka osób, które widziałam wcześniej u Szalonego Lou. Podążamy tą samą drogą, brukowaną żółtą kostką, w poszukiwaniu najlepszej kapeli, najlepszych wspomnień.

Pojawił się nawet sam Szalony Lou, widzę go przy barze, jak rozmawia z Tonim. W duchu modłę się, by mój króliczy przyjaciel zamknął drzwi przed Talem, gdyby przyszło mu do głowy ciągnąć tu za resztą. Ale może będzie zbyt zmęczony po locie z drugiego końca globu, żeby szwendać się po Manhattanie przez pół nocy.

A może modlitwa jest zbędna? Może naprawdę zaczęłam wierzyć, że Tal nie stanowi już dla mnie zagrożenia? Przecież mam na sobie kurtkę Salwatora i jestem tu z Nickiem, na temat którego od czasu do czasu nachodzą mnie naprawdę pornograficzne myśli. Nie zepchnęłam Tala do najgłębszych czeluści podświadomości – jest obecny niczym gorzki posmak w słodkiej jak ulepek Tina Coladzie – ale jestem tu i teraz, i nie chciałabym być nigdzie indziej. Jestem z Nickiem. Tylko dokąd on odleciał?

Powiedział, że wyglądam w jego kurtce lepiej niż ktokolwiek. Super. Skoro jestem taka cudowna, to czemu jeszcze nie porwał mnie do tańca jak przed chwilą, tylko siedzi naprzeciwko, dziwnie rozkojarzony? Dla przyzwoitości mógłby od czasu do czasu zerkać mi w dekolt albo chociaż udawać, że bardzo chce dowiedzieć się wszystkiego na mój temat. Koniecznie TU i TERAZ.

Caroline pewnie radziłaby mi zachować cierpliwość. Ale nie ma jej tu, sama muszę sobie to wszystko ułożyć. Jak okazać facetowi autentyczne zainteresowanie i dowiedzieć się o nim jak najwięcej, jednocześnie nie zdradzając się z pragnieniem posiadania jego uwagi na wyłączność?

Na szczęście w klubie zrobiło się naprawdę tłoczno. Ruch i gwar skutecznie tłumią niezręczną ciszę, która niczym tonący statek ciągnie na dno atmosferę między mną a Nickiem. Chyba za bardzo się staram, próbując podtrzymać rozmowę, ale doprawdy nie wiem, co robić. Wróciłam z toalety jak gdyby nigdy nic. Wypiliśmy nasze bezalkoholowe koktajle, stukaliśmy się kieliszkami, ale gdzieś musiałam popełnić błąd. Chciałam tylko lepiej go poznać (czy nie o to chodzi w randkach?). Sięgnąć głębiej. No i się dogrzebałam, osiągając maksymalny poziom niezręczności: 10.

– Skąd jesteś? – pytam niewinnie, choć dobrze znam odpowiedź. Inne tematy nie chwyciły. Trójkąt z E.T.? Porażka. Pytania: „Od dawna

grasz w zespole?” i „Myślicie o graniu na poważnie czy tylko się wygłupiacie?” przyniosły lakoniczne odpowiedzi: „Odkąd pamiętam” i „Gramy razem regularnie dopiero od kilku lat i każdego pieprzonego dolara z naszych beznadziejnych wypłat odkładamy na potrzeby kapeli. Czy myślimy o tym poważnie?... Skądże”. Jestem zagorzałą fanką sarkazmu, ale czasem męczy nawet mnie. Zwłaszcza że jest już bliżej świtu niż zmierzchu i zaczynam myśleć, że lepiej było iść spać, bo chyba nic z tego nie będzie. Jeszcze chwilę temu tak dobrze nam się gadało. Żarło, żarło i zdechło. Występ zakonnic się skończył, przyznaliśmy się przed sobą do... sama nie wiem do czego, ale do czegoś na pewno – i teraz wahadło odchyła się niebezpiecznie w złą stronę. Nie wiem, czy coś się zmieniło, czy powiedziałam coś wybitnie durnego (wal się, E.T., nienawidzę cię), czy po prostu podleciałam zbyt blisko słońca w nadziei, że rozpuści moje lodowate serce.

– Mieszkam w Hoboken – mruczy pod nosem Nick. Przypomina mi się składanka, głównie z kawałkami Sinatry, którą zrobił kiedyś dla Tris. Tak jej zazdrościłam, że nie dałam jej ściągnąć odpowiedzi na sprawdzianie z łaciny.

– Planujesz iść na studia? – rzucam kolejne pytanie.

– Jeszcze o tym nie myślałem.

Głową. W. Pieprzony. Mur.

W sytuacjach takich jak ta kusi mnie myśl o dyspensie od abstynencji. Piwo z pewnością by nie zaszkodziło – gorzej być nie może.

Teleturniejowy format rozmowy „dzisiaj pytanie, dzisiaj odpowiedź” się nie sprawdza, więc zmieniam taktykę. Moją inspiracją są siostry zakonne, które wyginały się przed nami na scenie pół nocy.

*Dźwięki muzyki*, moja ostatnia deska ratunku.

– A co lubisz najbardziej? Czym są twoje *favorite things*? – zagaduję, podśpiewując końcówkę popularnej piosenki z kultowego musicalu.

Mamy półuśmiech! Sukces!

– Lody Chubby Hubby Ben&Jerry, te karmelowo-orzechowe z kawałkami słonego precla. Stare, witrażowe okna w niektórych domach w Weehawken. Mojego iPod'a. Masaż gorącymi olejkami w wykonaniu Reby McIntyre.

Poddaję się. Oficjalnie.

Czyżby DJ Chodząca Ironia specjalnie puścił właśnie *Heaven Knows I'm Miserable Now* The Smiths? Czy to przypadkowo wybrany kawałek, który ma wypełnić muzyczną przestrzeń między występem zakonnic a koncertem?

Co przeoczyłam? Co się zmieniło?

Podejmuję ostatnią próbę. Wróc do mamusi, Nick. Dasz radę.

– Kiedy ostatni raz czułeś prawdziwą radość? – pytam odważnie.

– Mniej więcej trzy tygodnie i trzy dni temu...

Znów odleciał. Ooooooch!...

Robi się gorąco, jest mnóstwo ludzi. Widzę, że Nick uważnie obserwuje drzwi. Nagle rozumiem – boi się, że przyjdzie tu Tris. Słusznie. Alternatywna kapela, koncert-niespodzianka w środku nocy? Tris nie przepuściłaby takiej okazji do poderwania prawie-sławnego muzyka.

Szkoda mi chłopaka. Jeszcze nie wie, że będzie mu bez niej lepiej. Z jednej strony zastanawiam się, czy w ogóle jest sens się nim teraz interesować. Z drugiej mam ochotę krzyknąć: „Co ty w niej widziałeś? Czemu zmarnowałeś na nią tyle czasu?”

Tak naprawdę znam odpowiedź na te pytania. Jeśli odrzucić to, co w niej oczywiste – blond grzywę, imponujący biust, długie nogi i obcisłe spódniczki – zostaje zupełnie nieoczywista dziewczyna. Tris, z którą każdy facet świetnie się bawi – podobnie jak z Caroline, tyle że bez kaca mordercy dzień po. Tris, która wie, jak sprawić, żeby chłopak poczuł się wyjątkowy i pożądany – przynajmniej dopóki na horyzoncie nie pojawi się nowy, bardziej interesujący obiekt. Tris, która w przyszłym roku zaczyna studia w Nowojorskim Instytucie Mody, gdzie na pewno świetnie sobie poradzi. Tris, która pomoże ci zawsze, kiedy ją poprosisz, i nie będzie zadawać zbędnych pytań.

Nick milczy i patrzy w dal nieobecny wzrokiem, a ja odpływam w świat wspomnień.

Jest pierwszy rok szkoły średniej, chowam się w łazience po oblaniu praktycznego sprawdzianu z biologii. Konkretnie z rozmnażania. Wycieram ręce w papierowy ręcznik, kiedy niespodziewanie od tyłu zachodzi mnie Tris i wyrywa mi go z rąk.

– Zdajesz sobie sprawę, że stoisz w tej pozycji co najmniej od trzech minut? Twoja skóra już dawno nie ma na sobie kropli wody. Wszystko w porządku? – pyta.

– Jestem spóźniona, muszę lecieć – odpowiadam bezmyślnie.

Kiedy zwierzyłam się ze swojego problemu Caroline, stwierdziła, że jestem paranoiczką. Tal poprosił tylko, żebym nie podejmowała żadnych decyzji bez konsultacji z nim. To Tris złapała mnie za rękę i zarządziła: „Idziemy!”. To ona wiedziała, w który autobus wsiąść, żeby dojechać do najbliższej apteki poza miastem. To ona czekała przy wejściu do toalety w Starbucksie, aż zrobię test, a kiedy było już po wszystkim, to ona pchnęła mnie w pierś i wycodziła przez zęby, przejęta: „Następnym razem bądź bardziej ostrożna, kretynko”. To Tris stanęła w kolejce po moje frappuccino, dyskretnie odwracając się do mnie plecami, żebym mogła bez skrępowania się rozplakać. Wiem, że za sobą nie przepadamy – ale znamy się długo, od podstawówki, więc mamy sporo wspólnych tajemnic. Wiem, że jest kłamliwą szmatką – bo kto inny mógłby potraktować Nicka w taki sposób – ale zdaję sobie również sprawę, że istnieje coś w rodzaju solidarności jajników, niepisanego babskiego prawa, którego powinnam przestrzegać. Interesowanie się byłymi znajomymi zdecydowanie należy do wykroczeń. Może Nick też to rozumie i dlatego temperatura tak nagle spadła?

Kawałek The Smiths dobiega końca, gdzieś pod drzwiami do toalety wybuchają oklaski. Kelnerka w stroju króliczka chyba poczuła litość nad przestępującym z nogi na nogę wężykiem kobiet, bo zdjęła z szyi łańcuszek z kluczem i otworzyła dodatkową kabinę. Choć strefa toalet jest wydzielona z klubu za pomocą koralikowych zasłon, a do tego światło nie jest tam najmocniejsze, wyraźnie widzę, że w kabinie jest Hunter, do tego nie sam – obściskuje się z wokalistą zespołu Nicka; jeśli dobrze kojarzę, chłopak ma na imię Dev. Stoją oparci o czerwoną ścianę, zwarci w pełnym pasji, łączącym dusze pocałunku.

– Cały Dev! – wybucha śmiechem Nick, a moje serce na moment staje.

Wreszcie zakochani odsysają się od siebie, a Dev odgarnia kosmyk włosów z twarzy Huntera i przez chwilę się nimi bawi. Drugą ręką macha przyjaźnie do oburzonych kobiet w kolejce.

- Kurde, nawet z tej odległości widać, że się cieszy – zauważam.
- To przez niego nie mamy perkusisty – wyznaje Nick.
- Jak to? – podpytuję zachwycona. Rozmowa znów się klei.

Dzięki, Dev. Spadłeś mi z nieba.

– Kiedyś mieliśmy świetnego bębniarza. Gość był zabójczo dobry. Ale potem Dev go „odmienił”. Chłopak nie wiedział, że lubi chłopców i...

– Wiedział, wiedział – wtrącam ze znanstwem. Takie rzeczy się wie, tylko nie zawsze się do nich przyznaje.

Nick wzrusza ramionami.

– Może i masz rację, ale Dev to z niego wydobył. Gdy drzwi szafy otworzyły się na oścież, biedaczek zakochał się na zabój. Niestety, dla mojego kumpla był tylko kolejnym podbojem. Nie byle jakim, bo chłopak miał osiągnięcia w biegach w szkole średniej, ale przelotnym.

– Czyżby Dev lubił... urozmaicenie?

– Lepiej bym tego nie ujął.

Całujący się przed chwilą chłopcy łapią się za ręce i ruszają przez tłum. Nieplanowane przedstawienie, które przed chwilą odegrali, doprowadziło do zwolnienia dwóch stołków przy zatłoczonym barze, tuż obok nas. Dynamiczny duet przyjmuje ten dar ochoczo i rozsiada się wygodnie.

– Niezły popis – gratuluję Devowi.

– Prawda? – odpowiada ze śmiechem. Wygląda jak owoc romansu gwiazdy Bollywoodu i Adama Brody'ego. Nie dziwi mnie wcale, że Hunter na niego poleciał. Nie dziwi mnie, że perkusista zniknął bez słowa. Dev to pieprzone ciacho, chodzące 10/10, wliczając potencjalne punkty ujemne za spraną i przetartą koszulkę sportową

Jest pobudzony, żywy, rozgorączkowany. Stanowi całkowite przeciwieństwo Nicka.

– KURDE! Słyszeliście, kto ma zagrać? Where's Fluffy!

CHOLERNI WHERE'S FLUFFY! – woła rozentuzjasmowany i zaczyna bębnić palcami o blat. Nick unosi brew i uśmiecha się do mnie znacząco. Przez ułamek sekundy łudzę się, że to koniec niezręcznej ciszy między nami. Że wracamy do gry.

Lecz oto do stolika podchodzi z wdziękiem nasza królicza królowa

piękności.

– Kochanie, bądź tak dobry i pomóż mi ze sprzętem, dobrze? – szczebiocze do Nicka, a on podrywa się z krzesła, jakby cały wieczór czekał na okazję do ucieczki i właśnie nadarzyła się ku temu okazja. Trudno – może Toni poczęstuje go eliksirem na PMS i Nick wróci do mnie w lepszym nastroju.

– WHERE’S FLUFFY! – skanduje Dev, klepie mnie po plecach i wyrzuca pięści w górę niczym Rocky. – WHERE’S, DO CHOLERY, FLUFFY!

Brawo. Właśnie takiej reakcji spodziewałam się po Nicku, kiedy powiedziałam mu o koncercie. To najlepsza kapela punkowa, z nazwą, która ma podkreślać apatię pieprzonych ksenofobów z tego kraju, ślepych na postrach, który sieją jego przywódcy wśród reszty narodów świata, przejętych błahostkami. Where’s Fluffy grają prawdziwą muzykę, w przeciwieństwie do wszystkich pop punkowych sprzedajnych wyjców. Ich teksty trafiają w to, co po prostu złe – atakują zwolenników posiadania broni, przeciwników aborcji i homofobów, by przypomnieć słuchaczom, o co warto walczyć. Where’s Fluffy są do bólu autentyczni. Jeśli między mną a Nickiem coś zaiskrzyło, po koncercie wszystko będzie jasne. Może obydwójce wylądujemy pod sceną, skacząc i pokrzykując „oi oi oi” w tych samych momentach – oby. Młyn pod sceną prawdę ci powie. Pogo nigdy nie kłamie.

## 9. NICK

Jest niezłe. Przerzucamy się słowami jak piłką. Ona mówi jedno, ja natychmiast odpowiadam. Iskrzy, iskrzy tak pięknie, że mam ochotę patrzeć na to w milczeniu. Coś między nami kliknęło. Ale nie wpasowaliśmy się w siebie jak puzzle, o nie. To nasze słowa wpadają na siebie i łączą się, tworząc zdania, które zderzają się ze sobą dalej i tworzą dialog. Nasza rozmowa współtworzy tę scenę, scenę z filmu. Akcja toczy się wartko, choć aktorzy nie ćwiczyli tekstu.

Widzę, że trzyma dystans. Wiem, że zasypuje mnie pytaniami, żebym nie miał jak dowiedzieć się czegoś o niej. Jaka ona w ogóle jest? Nie mam pojęcia. Ale jestem ciekawy, i to bardzo.

W klubie zrobiło się naprawdę tłoczno. Jak to przed koncertem, wszyscy są podekscytowani i cholernie zniecierpliwieni. Dev, cały on, wyrywa się do przodu i zaczyna skandować: „WHERE’S FLUFFY!”, porywając za sobą innych. Do stolika podchodzi Tony/i/é i prosi mnie o pomoc przy sprzęcie. Zerkam na Norę i mam ochotę zapytać ją, czy będzie tęsknić, kiedy sobie pójdę. Gryzę się w język. Nie chcę być zbyt natarczywy.

Fajnie jest znaleźć się tak blisko zespołu, choć nie widzę muzyków. Mam za zadanie sprawdzić, czy mikrofony działają, jak należy. Stoję na scenie i już to sprawia, że krew szybciej krąży mi w żyłach. Raz – dwa – trzy, próba mikrofonu, KUPA-SIKU-RZYGI, próba mikrofonu. Tłum patrzy na mnie złowrogo. Wszyscy jednomyślnie pragną, żebym stamtąd spieprzał. Gdyby nie stojący nieopodal króliczek Playboya, mógłbym zarobić w głowę butelką. Pewnie nawet bym nie żałował. To zaszczyt przelać krew w służbie ulubionego zespołu.

Czysty surrealizm. Czuję nagle pragnienie, by opowiedzieć o tym Tris. Zdaję sobie sprawę, że to bez sensu, ale nie panuję nad takimi myślami. Byliśmy na drugim, szóstym, jedenastym i czternastym koncercie Where’s Fluffy. Nie słyszała o nich, zanim mnie poznała. Wyciągnąłem ją z domu dobrze po północy na pierwszy występ



w Maxwell's. Zawsze była nastawiona sceptycznie do mało znanych grup – jakby nie potrafiła dobrze się bawić do ich muzyki. Ale Where's Fluffy przekonali ją do siebie od razu. Już przy pierwszym kawałku załapała, o co chodzi, i nie wstydziła się tego pokazać. Machała włosami, wirowała, podskakiwała przez cały set w zabójczym rytmie. Kiedy było po wszystkim, powiedziała: „Rany, to naprawdę gorące chłopaki” – a ja byłem o nich głupio zazdrosny, dopóki nie usłyszałem: „Ale w tej chwili to na ciebie mam największą ochotę”. Wówczas zmieniłem się w fajerwerk z podpalonym lontem – czekałem na wybuch.

To nie wszystko. Przypominam sobie szósty koncert. Tańczyłem jak zawsze. Nagle ona kazała mi się zatrzymać i spojrzała na mnie przeciągle. Było głośno, więc krzyknąłem: „Co jest?”, na co odpowiedziała: „Musisz przestać”. „Ale co takiego?” – zawołałem. „Za bardzo skupiasz się na tym, co się dzieje. Musisz o tym zapomnieć”. Z początku nie wiedziałem, o co jej chodzi, ale szybko zrozumiałem. Miała rację: nie poddałem się muzyce. Wciąż bacznie obserwowałem tańczących. Byłem skrępowany swoimi ruchami, próbowałem wyłapać każdą nutę. „Odpuść sobie!” – krzyknęła. Najpierw mi nie wychodziło, bo byłem zbyt skoncentrowany na własnych staraniach. Ale nagle rozbrzmiały pierwsze dźwięki kawałka *Dead Voter* i wtedy, po raz pierwszy w życiu, odpuściłem wszystko poza muzyką. Nie myślałem o Tris – skryła się gdzieś za piosenką, niewidzialna, niczym dyrygent. Kiedy było już po wszystkim, błyszczeliśmy od potu i ciężko dyszeliśmy. Nie mieliśmy nic do powiedzenia, po prostu patrzyliśmy na siebie ze zrozumieniem. Pchnęła mnie w dobrym kierunku. Byłem wdzięczny. Jestem do dziś.

Rozglądałem się, próbując dojrzeć ją w tłumie. Wiem, że gdzieś tam jest, nawet jeśli nie na tej sali. Nawet jeśli w innym klubie całuje się właśnie z innym chłopakiem i ani jedna synapsa w jej mózgu nie jest zajęta mną.

– Obudź się, do cholery! – wydziera się pod sceną jakiś gość. Spoglądam na swoje ręce: zwisają beczynnie po bokach. Jakbym nie potrafił jednocześnie myśleć o Tris i używać ich do czegoś innego. Dobrze wiem, że to nieprawda.

Kończę podłączać kable. Mikrofony są gotowe do ataku. Tony/i/é

kiwa głową, światła gasną. Chcę zejść ze sceny, ale kątem oka wyłapuję Evana E., perkusistę Fluffy. Skinienie głową, uśmiech i skinienie w odpowiedzi. Wbijam się z powrotem w tłum. Straciłem z oczu Norę, nie wiem, gdzie stał nasz stolik. Wszystkie zostały przesunięte pod ściany.

Iskra.

Lont płonie.

Ładunek wybucha.

Gitary rżęzą, bębny dudnią. Owen O. wypluwa z siebie zarzuty do możliwych tego świata. Dzwonek, pies Pawłowa dostaje spazmów. Parkiet szaleje. Jeszcze nie daję się porwać, obserwuję, jak grupa ludzi zmienia się w tornado. Nagle czas spędzony na kupowaniu i wybieraniu odpowiednich ciuchów na wieczór przestaje mieć znaczenie, bo nikt nie zwraca uwagi na wygląd. Liczą się moc, puls, wyzwolenie najgłębszych pragnień. Wychodzę z siebie, żeby odnaleźć Norę. Sonduję ludzki kocioł w poszukiwaniu Tris. W rozświetlonej, oślepiającej ciemności próbuję pojąć, kogo i dlaczego właściwie chcę mieć przy sobie.

Norah. Stoi może trzy metry ode mnie. Nie rozgląda się, nie szuka mnie, nie szuka nikogo. Jest w centrum roztańczonego wiru i wygląda na kompletnie opuszczoną.

Czuję strach.

Rozpoznaję coś.

To znajoma linia basu autorstwa Larsa L. Wpadam w nią jak w studnię, lecę prosto w czarną otchłań. Z mikrofonu wrzask: czas to maszyna gniewu. Muzyka to maszyna gniewu. My jesteśmy gniewem.

Na moment zapominam o wszystkim. Spadam – to niedobrze, bo wiem, że powinienem się unosić.

„Norah. Po prostu do niej podejdź”.

Na mojej drodze staje Dev. Próbuję go wyminąć, popycha mnie w rozgorączkowaniu. Odwzajemniam pchnięcie. Blokuję moje ramię tak, że odbijam się od niego i obracam jak w piruce. Tracę równowagę. Wpadam na Norę.

Nie bawi jej to. Rzuca się na mnie. Pchnięcie i odwrót. Robię to samo. Powinniśmy się uśmiechać, ale wcale tak nie jest. Napieram na nią całym ciałem, idę na czołówkę. Ona ani drgnie. Totalny opór. Ale nie ma

już dystansu, jej twarz znalazła się tak blisko, że rozmazuje mi się przed oczami.

– Co jest, do cholery?! – krzyczy, ale nie do mnie.

Dev uderza mnie łokciem w plecy, padam do przodu, ona jest tuż przede mną, wyciągam ręce, jesteśmy tak blisko. Nagle głośniki eksplodują nową falą, muzyka pulsuje, a jej rytm dyktuje bicie mojego serca – i jej serca również. Ja to wiem, ona to wie. Pewnie moglibyśmy rozdzielić się w tej chwili i to byłby koniec. Spoglądam na nią, ona też patrzy mi w oczy i staje się jasne, że obydwójce czujemy to samo – czystą ekscytację, czystą radość z tu i teraz. Nie tylko z muzyki, ale i z faktu, że jesteśmy tutaj razem. Przestajemy się odpychać, zaczynamy łączyć swoje ruchy. Dźwięki wirują wokół nas niczym trąba powietrzna, trzymają nas w coraz ciaśniejszym uścisku, tkwimy w środku kłębowiska, w środku samych siebie. Nasze nadgarstki się spotykają i przysięgam, że czuję jej puls. Wibrację. Tańczymy, a jakbyśmy stali bez ruchu. Nie zamykam się za żadnymi drzwiami – wychodzę jej naprzeciw, a ona... Tak, ona też idzie w moim kierunku. Tłum napiera na nas, a dudniący bas dopełnia reszty. Oto część roztańczonego plemienia, dwoje ludzi, którzy w tej chwili tworzą swoje własne plemię. To nie samotność, tylko paląca podwójność. Jestem gotowy pójść krok dalej. Tylko czy ona będzie chciała iść tam ze mną? Nie zastanawiam się – odnajduję jej usta i całuję. Łapie mnie za włosy, zaciskam dłonie na materiale jej kurtki. To mocniejsze niż słowa, chwila trwa i trwa, i trwa. Zamykam oczy, a potem je otwieram i widzę, że na mnie patrzy. Czuję, że mnie odpycha, choć nasze ciała mocno do siebie przylgnęły. To strach, nic dziwnego. Przytrzymuję ją, żeby zrozumiała, że wiem.

Lars L. przechodzi płynnie w kawałek *Take Me Back, Bitch*. Wzdrygam się odruchowo. Norah to zauważa. Nie mam jak jej wytłumaczyć, że to nie przez nią, nie przez to, co się stało, że to zamierzchła prehistoria. Nachylam się do kolejnego pocałunku – niczym dzieciak, który puszcza muzykę na cały regulator, kiedy chce zagłuszyć klótnię rodziców. W duszy wiem, że to nic nie da. Czasem nie padają żadne słowa, ale i tak wszystko jest jasne. Umysł ma własne ucho i pamięć godną najlepszego DJ-a.

– Co jest? – krzyczy Norah i to pytanie jest skierowane do mnie.

A potem dodaje kolejne – jedno z tych trudnych, które wymagają odwagi i gotowości na przyjęcie bólu: – Dlaczego przestałeś?

Bas dudni złowrogo, zbyt mocno. Moje ciało jest obijane ze wszystkich stron, a ulubiona kapela najwyraźniej mnie zdradziła.

– NIE DAM RADY TERAZ ROZMAWIAĆ! – wołam w odpowiedzi.

– CO?

– NIE GADAJMY TUTAJ! ZA GŁOŚNO.

Jej dłoń sprawnie odnajduje moją, Norah zaczyna mnie prowadzić. Lawirujemy w rozszalałym tłumie, nasze ręce tworzą niepewny most. „Jeśli mnie puści, to koniec. Jeśli ja ją puszcze, to koniec”, myślę. Ale obydwoje trzymamy się mocno. Po drodze wpada na mnie mnóstwo ludzi – nie obędzie się bez kilku siniaków – ale jakimś cudem nasze dłonie pozostają sklejone. Jakimś cudem przeszliśmy przez to razem. To łaska, to szczęście, podwójność pokonuje samotność, zwątpienie i strach. Wychodzimy. Dziękuję, muzyko. Wspomnienia – spieprzajcie. Dziękuję, tu i teraz.

Ona rozgląda się uważnie, po czym ciągnie mnie do niewielkiej garderoby tuż obok toalet. Niemal całe wnętrze zajmuje jasnozielona kanapa ustawiona naprzeciwko dużego lustra. Na oparciu mebla leży porzucona koloratka i tona kosmetyków do makijażu. Spodziewałem się, że Norah będzie rozbawiona, ale sprawia wrażenie... zdecydowanej. Nie wypuszczając mojej dłoni, zalewa mnie lawiną pocałunków tak gwałtownych, że ledwo nadążam.

– Ty – mówi i kładzie moją rękę na swoich piersiach, po czym sama zaczyna dotykać mojej klatki. Mało miejsca, wysoka temperatura, ona jest rozpalona jak w gorączce. Zwieramy się w pocałunku, a jej dłonie, język i biodra wyruszają na podbój nowego terytorium. Tylko w jej oczach nie widać ognia. Nie jestem pewien, czy chce mnie odepchnąć, czy przyciągnąć do siebie. Jeśli kieruje nią pożądanie, to nie wiem, czego pragnie. Podnieciłem się – i to jak cholera – tą sytuacją, jej żarem, półmrokiem, który nas otacza. Ale nie umiem się temu poddać, bo nie wiem, gdzie tak naprawdę, poza muzyką, poza ruchami ciała, jest Norah. Jej dłoń błądzi pod moją koszulką, wędruje do szyi, po czym schodzi niżej. Jeszcze niżej. Palcami muska moje podbrzusze. Nie

odrywam rąk od ściany. Żar, gorączka... W jej oczach nie ma śladu uśmiechu, pragnę jej, ale nie mogę tego zrobić. Ona sięga niżej i niżej, dotyka mnie tam, zaraz eksploduję. Chcę, żeby coś powiedziała, cokolwiek, chociażby moje imię, ale ona milczy. Nie mogę. Muszę mieć pewność – ale jej nie mam. Mówię „stop”, bo nie wiem, czy ona naprawdę tego chce. W odpowiedzi znowu mnie całuje i próbuje pieścić, ale tym razem nie odwzajemniam pocałunku. Chcę przestać, zanim do czegoś dojdzie. Nie wiem, co się właściwie dzieje. Uwalniam się z uścisku jej dłoni, zamieram i choć stoję przyparty do ściany, wymykam się.

„Dlaczego przestałeś?”

Nie chcę, żeby powiedziała to na głos, ale jej twarz mówi wszystko. Jeśli próbowała coś sprawdzić, nie zdałem egzaminu. Pomiędzy nami wisi martwe równanie naszych czynów i za cholerę nie wiem, co teraz zrobić.

– Widziałeś ją? – pyta wreszcie. Z początku nie wiem, kogo ma na myśli, ale po chwili łapię i odpowiadam przecząco.

– A ty widziałaś jego? – teraz pytam ja.

Odwraca się w stronę sceny, w milczeniu kiwa głową i szepcze:

– Tak.

## 10. NORAH

Młyn pod sceną nie kłamie. Zawsze to wiedziałam, a jednak postanowiłam zignorować jego sugestie. „Dlaczego przestałeś?” Jedno pytanie. Może wyjaśnisz mi, wszechwiedząca wyrocznie, co innego: Dlaczego sama nie przestałam?

„Tak” – odpowiadam Nickowi. Niech myśli, że widziałam Tala. To nieprawda. Widziałam za to Tris. Ale tak będzie łatwiej. Nick wytłumaczy sobie moje zachowanie nagłym przyływem dawnych uczuć, potrzebą odreagowania. Istnieje powód, dla którego kobiety sztywnieją jak zmrożone. Jeśli Nick chce go poznać, niech spojrzy w lustro, proszę bardzo.

**DLACZEGO JESTEM TAKĄ CHOLERNĄ NIEUDACZNICĄ?**

Wybiegam z garderoby, zatraskując nogą drzwi. Ciesz się mnie warknięcie Nicka: TO BOLAŁO!

Chłopak potrzebuje chwili, żeby się pozbierać, co daje mi czas na zrobienie tego, co konieczne. Nikt mnie nie zmuszał, zrobiłam, co zrobiłam. Miałam nadzieję na ŁAŁ, zostało mi z tego AŁ. Zaufałam mocy pogo. Uwierzyłam, że coś zaiskrzyło, kiedy Nick testował mikrofon soczystym „KUPA-SIKU-RZYGII”. Przecież patrzył wtedy prosto na mnie. Wiedziałam, że Tris na pewno pojawi się w tym klubie i czułam, że muszę spróbować, zanim moja szansa minie. Nie jestem z tych, które robią pierwszy krok – pewnie dlatego, kiedy wychodzimy gdzieś z Caroline, to na niej samczyki koncentrują uwagę. Nie doszukiwałam się znaków przeznaczenia, kiedy okazało się, że pierwszy kawałek *Where's Fluffy to Take Me Back, Bitch* – „Przyjmij mnie z powrotem, pipo”. Zrobiłam, co zrobiłam. Pierwszy krok w wiadomą stronę. Myślałam za to o piosence numer dwa na składance przygotowanej przez Nicka dla Tris. *Take a Chance on Me* Abby – „Daj mi szansę”. Albo Dev dosypał coś do mojej Tina Colady, albo podziałało na mnie zmysłowe wspomnienie rytmicznego utworu czwórki Szwedów, bo znalazłam się w środku młyna z Devem i Hunterem i uwierzyłam

w ich zespół, w ciągłość czasu, w moc wiru, a niewykluczone, że również w Boga i Nicka. Byłam jednocześnie w niebie i w piekle, w oku cyklonu, w gorączce – i odczytałam to jako znak. Postawiłam wszystko na jedną kartę.

Pierwsze uderzenie? Piłka w aucie. Wszystko nie tak. Otworzyłam oczy w połowie słodko-gorzkiego pocałunku, akurat w samą porę, by dostrzec, jak Toni przeszukuje Tris przy wejściu. Już w tym momencie wiedziałam, że moja chwila minęła, okienko nadziei się zamknęło, i to z trzaskiem. Należę do osób zdeterminowanych, ale niekoniecznie rozgarniętych, bo nagle postanowiłam zaciągnąć Nicka do garderoby – i dać sobie drugą szansę. Kierowała mną najwyraźniej czysta głupota, znak firmowy Nory (to jej zawdzięczam również umiejętność pisania durnych listów do Bardzożyłych Eksów), którą mój mózg ceni sobie wysoko, bo przecież to ekskluzywna, wyłącznie moja właściwość. Co z tego, że na końcu drogi zawsze czeka jedno i to samo: żal?

Nie zaprzętałam sobie głowy grą wstępną. Zabrałam się do dzieła ochoczo, niczym Tal, kiedy wypił za dużo wina podczas wieczerzy paschalnej. Dobrze wiedziałam, że to za dużo i za szybko, że Nick jest jeszcze za mało oswojony, ale ja byłam gotowa, lody Królowej Śniegu zaczęły puszczać. Chciałam mu udowodnić, że potrafię go rozgrzać. Wydawało mi się nawet, że odniosłam sukces, już, już go miałam, tak czułam. Choć może to, co wzięłam za obopólne podniecenie w reakcji na moje działania, było zwykłą reakcją fizjologiczną. W końcu to facet – zareagowałby nawet, gdyby odpowiednio dotknąć go pluszowym mupetem Elmo. Magia prysła, a ja zostałam z gorzką obserwacją, że mój sukces i tak był, że się tak wyrażę, połowiczny.

Nie zamierzam odtwarzać tej sceny w głowie. To był ostatni raz.  
Co za upokorzenie.

Czuję, że ze wstydu płoną mi policzki, jakby ktoś wypalił mi na twarzy szkarłatną literę. Jest mi tak gorąco, że nie pamiętam już, jak to jest być „oziębłą”. Rozpala mnie nienawiść. Nienawidzę uczucia żalu, które pulsuje w moich żyłach z każdym uderzeniem serca. Oddałabym wszystko za cheeseburgera. Nienawidzę czasu, nienawidzę tego wieczoru i jeśli Bóg faktycznie istnieje – co dopuszczałam jeszcze chwilę temu – jego też nienawidzę.

W tej chwili pałam nienawiścią nawet do Where's Fluffy. Od dziś do końca życia będę kojarzyć moją byłą ulubioną grupę z tą sytuacją. Poszłam na dno jak Titanic, i to do ich muzyki. Nienawidzę również Caroline, bo leży nieprzytomna, zamiast być tu ze mną, kiedy potrzebuję rozmowy. Nienawidzę Tala za jego: „Nie dotykaj mnie w ten sposób” i „Nie bardzo ci to wychodzi, Norah”, bo teraz Nick, moja nadzieja na odkupienie cielesnych win, też poznał bolesną prawdę: nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Prawdopodobnie ten cały mityczny Bóg już przy dziele stworzenia podzielił ludzi na trzy kategorie: Grupa A to atrakcyjne, naturalnie pociągające osobniki o wrodzonych zdolnościach interakcji (przykład: Caroline); w Grupie B znajdują się indywidua, które potrzebują niewielkiej metamorfozy i krótkiej chwili na wynalezienie skutecznego sposobu na podryw (patrz: Tris); Grupa C to zbieranina biednych nieboraków (takich jak ja), którym Bóg powiedział na odchodnym: „Radźcie sobie sami. Tylko nie liczcie na wiele”.

Nicka też w pewnym sensie nienawidzę, ale jest ktoś, kto zajmuje wyższe miejsce na mojej liście. Wyprzedza Saddama Husseina i wszystkich możliwych dupków o nazwisku Bush. Nienawidzę tej osoby nawet bardziej od tego popaprańca, który zdyktował z anteny *Moje tak zwane życie* – mój najukochańszy serial z lat dziewięćdziesiątych, który teraz mogę sobie odtwarzać z wydania na DVD, ale nigdy się nie dowiem, czy Angela i Jordan kiedykolwiek się ze sobą prześpią, czy Patty i Graham wezmą rozwód i czy w relacji Rayanne i Sharon rzeczywiście był podtekst lesbijski. Chcę odnaleźć tę osobę, której tak nienawidzę, bo może dzięki temu uda mi się zdusić tę drugą nienawiść, tę wywołaną żalem.

Tłum napiera na scenę. Właśnie skończyła się jedna piosenka, zaraz zacznie się kolejna. Na scenie panuje zaskakująco senna atmosfera: Lars L. stroi sprzęt i poprawia mikrofon – najwyraźniej Nick spieszył odsłuchy. Gość doskonale wie, że punkowa publika bardzo źle znosi nawet chwilę ciszy na koncercie.

– Co mamy zagrać? – pyta ludzi.

– Cokolwiek, do cholery! – odwrzaskuje chłopak ze sztywnym irokezem, ale końcówka jego wypowiedzi ginie w hałasie, bo Evan E. krzyczy już RAZ-DWA-TRZY-CZTERY i zaczyna walić w bębny,



a Owen O. intonuje pierwsze dźwięki psychodelicznej wersji gospelowego kawałka *I'm Living on God's LSD*. Na sekundę zapominam o nienawiści, bo moje ciało tonie w boskich dźwiękach. W połowie dwuminutowego kawałka nie pamiętam o złości, bo wpadam po uszy w Owena O., Evana E. i Larsa L., bo są Bogami. Wszyscy w klubie to wiemy, czujemy. Współ-czujemy.

Czar pryska, kiedy pięści idą w górę, słyszę skandowanie: Oi! Oi! Oi! i widzę, kto lewituje na wyciągniętych rękach tłumu. Nawet w kiepskim świetle rozpoznaję koszulkę Królowej Balu. Tris płynie na fali, zapewne chcąc wylądować pod sceną, a przy odrobinie szczęścia – za kulisami.

Nienawiść wraca w jednej chwili.

Przepycham się przez tłum, czuję się jak pieprzony Mojżesz. Mówię serio, jestem jak pięciogwiazdkowy Generał Wkurw, zabunkrowany w opancerzonym czołgu. Sunę przez pustynię, nie stawaj na mojej drodze, bo zmiażdżę. W mgnieniu oka jestem w środku pogo, na trasie Tris, i kiedy przychodzi moja kolej, by przepchnąć ją dalej na rozpostartych dłoniach, łapię ją za stopy i dziewczyna leci na ziemię. Nikogo to nie obchodzi, bo w tłumie pojawił się już kolejny surfer, a Lars L. wskazuje następną osobę i kiwa przyzwalająco w stronę ochroniarzy.

Tris podnosi się z podłogi i przykładła dłoń do czoła.

– TO BOLAŁO, ZDZIRO! – wrzeszczy na mnie i nie wiem, co musiałaby zrobić, żebym poczuła do niej nienawiść większą niż w tej chwili. Łapię ją za rękę i ciągnę za sobą, jestem jak szturmowiec z *Gwiezdnych wojen* prowadzący jeńca. Nie żegnam się z Devem i Hunterem, choć widzę, że obserwują nas spod półprzymkniętych powiek, pogrążeni we francuskim pocałunku.

Wychodzimy na zewnątrz. Znów mogę oddychać, wciągam chłodne powietrze wczesnej wiosny i nagle nie czuję nienawiści, tylko zmęczenie. Jesteśmy tu wyłącznie Tris, ja i kilku palaczy pod ścianą. Panuje względna cisza, nie licząc stłumionego dudnienia basu Larsa L. i podenerwowanych klaksonów taksówek na ulicy. W końcu słyszę własne myśli. Chcę zapytać o coś Tris, ale uszy nawykłe do innego poziomu decybeli oszukują usta i zamiast mówić, krzyczę:

– DLACZEGO?

Serce zwalnia, przyzwyczajają się do nowych warunków, wolne od klubowego zaduchu, hałasu i tłoku. Tylu ludzi w środku, a wszyscy są świadkami mojego upokorzenia i wstydu.

To z jej powodu nie mogłam się przebić do Nicka. Chcę wiedzieć dlaczego.

Tris opiera się o budynek klubu i przeciera oczy.

– Jestem cholernie zmęczona – mówi cicho. – A ty nie musisz się wydzierać – dodaje, po czym z szuraniem zjeżdża po ścianie i siada na ziemi.

Caroline miała rację, ta jęzda nosi skaj, bo wątpię, żeby ryzykowała przetarcie spódnicy z prawdziwej skóry. Tris przyciąga kolana pod brodę i chowa w nich twarz.

Siadam obok.

– Dlaczego? – ponawiam pytanie.

– Dlaczego Nick? – dopytuje.

– Tak.

Wygląda, jakby miała zasnąć. Usilnie trzepocze rzęsami i wydaje mi się niemal sympatyczna. Tak to już z nią jest: w jej obecności człowiek w jednej chwili odkrywa granice własnej wytrzymałości psychicznej, by zaraz potem czerpać prawdziwą przyjemność z jej kojącej obecności.

Caroline i ja znamy Tris jeszcze z czasów harcerstwa, choć irytująca stała się dopiero w szkole średniej. System edukacyjny kwaków nie pokochał Caroline. Kiedy przeniesiono ją z Friends Country Day do placówki Sacred Heart, postanowiłam jej towarzyszyć. Tris odebrała nasze pojawienie się w jej szkole jako błogosławieństwo i nie odstępowała nas na krok, niczym wierny szczeniak. Pociągały ją nasze wtyki w muzycznej scenie Manhattanu. Nie bardzo rozumiała przy tym, że stanowimy stricte dwuosobowy zespół. Wydawało jej się, że nasza trójka jest zgrana, bo słuchałyśmy podobnej muzyki i na swój sposób odstawałyśmy od innych. Zresztą czasem pozwalałyśmy jej do nas dołączyć; trzeba jej oddać, że ma niezłego nosa do nowych zespołów, chociaż z drugiej strony w klubach muzycznych robi z siebie wariatkę – tańczy jak szalona i straszliwie fałszuje, kiedy śpiewa. Ale już

w zwykłym Starbucksie zachowuje się normalnie, do wytrzymania – nie śmieje się za głośno, nie popisuje się przed nikim. Tris to w pewnym sensie moja odskocznia. Chciałabym jej nienawidzić – ale nie potrafię.

– Jesteście na jakieś cholernej randce? Czy o co chodzi? On ci się podoba? – pyta cicho, zerkając na mnie spode łba.

– Tak – odpowiadam, bo nie chcę kłamać. – Chociaż nie do końca – dodaję, bo przecież zależy mi na prawdzie. – Właściwie to nie – przyznaję. Nie jestem kłamczuchą. Nick jest – czy raczej był – swoistym zrządzeniem losu, kimś, kto pojawił się znikąd i kogo zapragnęłam – a poznawszy bliżej, zaczęłam pożądać – ale wiem, że muszę pogodzić się z porażką, bo ten wieczór, ta noc, to jedna wielka katastrofa. Czuję autentyczny ból w piersi, w miejscu, gdzie bije serce. Nie zmyślam tego. Boli, bo zupełnie niespodziewanie, przez krótką chwilę, pragnęłam, pożałowałam i wierzyłam – bez ostatecznego spełnienia. Kogo ja oszukuję? Najbardziej w Nicku podobały mi się jego teksty, składanki i lojalność – choć nie wiedział, że o nich wiem. Pociągało mnie to, co robił dla Tris.

– Powiedziałaś mu o mnie? – pyta dziewczyna. W szkolnej stołówce, kiedy stoimy w kolejce po jedzenie niczym kraciasto umundurowane klocki domina – urocze katolickie uczennice z kolczykami w różnych dziwnych miejscach, Ce i Te w bluzkach o dwa rozmiary za małych – Tris przechwala się chłopakami, którzy zapraszają ją na randki, klubami, do których chodzi, i wejściówkami za kulisy, z których korzysta. Staje na rzesach, żeby zaimponować Caroline. Ale w klasie, kiedy zostajemy tylko we dwie, pokazuje mi składanki, które zrobił dla niej Nick, piosenki, które jej zadedykował, list motywacyjny na studia, który pomógł jej napisać.

– Nie, nic nie mówiłam – odpowiadam. Cieszę się, że tego nie zrobiłam. Nie chciałam, by Tris była moim głównym źródłem wiedzy na jego temat. – Czemu mu to zrobiłaś? – dodaję bez zastanowienia. Nie wiem, czego właściwie chcę się dowiedzieć: dlaczego go zdradzała czy dlaczego go rzuciła.

– Zjadłabym coś – stwierdza Tris.

– Ja też – przyznaję.

Wstaje i podaje mi rękę. Podciągam się. To chyba koniec emocjonalnej huśtawki.

Idziemy do koreańskiego sklepu całodobowego po drugiej stronie ulicy, kieruje nami chyba jakiś pierwotny instynkt, bo automatycznie kierujemy się do działu ze słodyczami: ona otwiera paczkę wafelków, ja rozdzieram opakowanie oreo. Chrapiemy ciastka w kolejce do kasy, a właściciel krzyczy zza lady:

– Musicie za to zapłacić!

– WIEMY! – odpowiadamy zgodnie.

Tris opiera głowę o stojak z żelkami i wzdycha.

– A teraz posłuchaj. Poznałam Nicka. Chciałam go mieć i go miałam, ale on nie potrafił wyluzować, chociaż był naprawdę świetnym facetem. Ja też nie chciałam wypuszczać go z rąk, nawet kiedy obok zaczęli kręcić się inni – wyjaśnia i zaczyna grzebać kciukiem w ustach, by pozbyć się kawałka wafla, który utknał między zębami. – Dotarliśmy do etapu, w którym przy podejmowaniu decyzji o studiach zaczął się kierować moimi wyborami. Myślał, że czeka nas wspólna przyszłość, więc był gotów odrzucić propozycje cholernie dobrych szkół i iść do Rutgers tylko po to, żeby być blisko mnie. Nie mogłam w to uwierzyć... a przede wszystkim nie mogłam mu na to pozwolić. Mówił, że mnie kocha, ale ja... nie czułam tego, co on. Domyślałam się, że to średnio przyjemne, kiedy wyznajesz komuś miłość, a ta osoba nie odwzajemnia twoich uczuć, ale ja miałam poczucie, że powinien znów być wolny, żeby znaleźć kogoś innego, kogoś, kto powtórzy jego wyznanie. Naprawdę na to zasługuje. Pomyślałam też, że jego cierpienie będzie większe, jeśli rozstaniemy się później, jeśli pozwolę mu uwierzyć, że między nami coś jest. Postawiłam na brutalne, ale skuteczne rozwiązanie; on powiedział: „Kocham cię”, a ja: „To koniec”. Mam osiemnaście lat, na studia przenoszę się do Nowego Jorku. Chcę się zabawić. To nie czas na płomienne deklaracje.

Tris przerywa opowieść, sięga po kolejny wafelek. Chrapie, przetyka.

– Niezła filozofia, prawda? – pyta z uśmiechem.

„Jak z Nietzschego” – myślę. Co, jeśli Tris ma rację? Tal do znudzenia powtarzał mi, jak bardzo mnie kocha, kocha, kocha. A potem potrafił zarzucić mi, że nie jestem wystarczająco doświadczone w kwestiach łóżkowych, i zasugerować, że w ramach dokształcania

w temacie powinnam przeczytać odpowiedni podręcznik instruktażowy, że powinnam malować usta ciemnoczerwoną szminką i zacząć nosić obcisłe spódnice (przykład: „Czasem mogłabyś się postarać i wyglądać równie dobrze jak twoja najlepsza przyjaciółka”). Świetnie. Gdyby Tal nie kłamał, kiedy mówił: „Kocham cię”, pewnie moja przyszłość rysowałaby się teraz inaczej. Pewnie nie czułabym się jak totalna frajerka, która ze strachu uwierzyła w nieprawdziwą bajkę, opowiadaną przez fałszywego boga. Nie jestem pewna, czy obdarzałam tego chłopaka choć odrobiną sympatii, nie wspominając o miłości. Przy okazji, Tal: tak, uważam, że Palestyńczycy zasługują na własne państwo.

Po raz pierwszy w życiu nie wiem, co powiedzieć. W ciągu ostatnich pięciu minut zjadłam równo trzynaście ciasteczek Oreo. Kiedy wreszcie otwieram usta, kątem oka dostrzegam w lustrze, że moje zęby są czarne od czekolady.

– Musisz z nim porozmawiać – mówię. – Zasłużył na prawdę. Dopóki jej nie pozna, będzie złamany.

A więc Nick nie weźmie udziału w prywatnym programie odwykowym Nory. Nic nie szkodzi. Kiedy Tris wszystko mu wyjaśni, od razu poczuje się lepiej. Pewnego dnia znajdzie odpowiednią dziewczynę i będzie dla niej fantastycznym chłopakiem. Miłością życia tej szczęściary. A ja, jeśli tylko dobrze się wyśpię po tej intensywnej nocy, będę w stanie cieszyć się jego przyszłym szczęściem. Pozostanę w jego pamięci jako pojedyncza randka, a sama wybiorę wieczną samotność. Trudno. Na oziębłe uczuciowo dziewczyny czeka wiele fascynujących ścieżek kariery. Mogę poświęcić się pracy na rzecz innych, dołączyć do ONZ (tak, Tal, popieram również działania Organizacji Narodów Zjednoczonych, ty dupku). Poza tym spędziłam dwa lata w szkole katolickiej. Mogłabym wstąpić do zakonu, nawet jeśli nie jestem wierząca. Nauczę się udawać. Tak jak Nick udawał, że jest mną zainteresowany. Będę głosić ewangelię współczucia i dobroci oraz propagować stosowanie prezerwatyw na całym świecie, od narodów zmorzonych głodem po strefy walk. Niewykluczone, że zostanę zakonnicą, która będzie całować się ze swoimi siostrami – muszę zagadać do Bekki Weiner, którą poznałam na obozie letnim, może zechce do mnie dołączyć. Mimo to mam pewność, że za kilkaset lat,

kiedy postapokaliptyczny papież (papieżyca?) będzie rozważał moją kanonizację, te przewiny zostaną mi odpuszczone. „Święta Norah była naprawdę zdesperowana, każdemu może się zdarzyć” – powie, a ja będę unosić się nad moim piekłem-niebem, prawdopodobnie nieopodal bazy na biegunie północnym, pewna, że moja świętość to echo wydarzeń dzisiejszej nocy. Dlatego powinnam czuć do Nicka wdzięczność, a nie nienawiść.

– Masz jego kurtkę – zauważa Tris. – Nigdy nie pozwalał mi jej nosić.

To przez nią wylądowałam w piekle-niebie tego wieczoru, dlatego bez wyrzutów sumienia pozwalałam jej zapłacić za moje ciastka. Zostawiam ją przy kasie, kiedy grzebie w torebce w poszukiwaniu portfela. Jestem gotowa jechać do domu, gotowa, by zasnąć we własnym łóżku, wstać jutro rano i wymyślić nowy plan na życie. Jestem też gotowa porozmawiać z rodzicami o Caroline – ta dziewczyna potrzebuje pomocy, bo jeśli przebywanie z Tris stało się bardziej przyjemne i mniej niebezpieczne niż spędzanie czasu z Caroline, to znaczy, że problem urósł do bardzo konkretnych rozmiarów.

Ruszam do drzwi, ale czuję potrzebę podzielenia się z Tris jakąś mądrością życiową na odchodnym.

– Bądź bardziej ostrożna następnym razem, pipko.

Nie podnosi wzroku, wciąż grzebiąc w torebce, ale bez słowa unosi w moją stronę dłoń z wyciągniętym środkowym palcem (z paznokciem oklejonym cyrkoniami i pomalowanym w czarno-żółte pasy).

– Okej, pipko – odpowiada.

Gotówki starczy mi na taksówkę do domu. Mam w dupie, czy taksiarz będzie marudził, że jedziemy do Jersey. Na pewno nie dam sobie policzyć za to ekstra. Rozglądam się po ulicy, wypatrując wolnego samochodu i wtedy dostrzegam Nicka: stoi oparty o budkę telefoniczną naprzeciwko sklepu.

Nie ma już we mnie nienawiści, upokorzenia czy żalu. Jestem zbyt zmęczona, wręcz wymęczona, a zarazem – wypoczęta.

Podchodzę do niego i robię kciukiem znak krzyża na jego czole i klatce piersiowej, po obu stronach serca. W imię Ojca i Syna, i Świętej Nory. Głaszczę go po policzku na pożegnanie, bo chcę go dotknąć

jeszcze ten jeden raz; zasłużyłam na to.

– Zostało ci odpuszczone – mówię cicho i odchodzę.

Gwiżdżę na palcach na przejeżdżającą taksówkę, zupełnie sama w prawie porannych zaułkach wielkiego, złego Manhatanu, a jednak bezpieczna, bo moje ramiona okrywa czuwający Salwator.

Nie oddam Nickowi kurtki. Nie ma mowy.

## 11. NICK

Pieprzyć ją.

Wsiadła do taksówki i odjechała? Pieprzyć ją. Zrobiła mi zamęt w głowie? Pieprzyć ją. Nie wie, czego chce? Pieprzyć ją. Wciągnęła mnie w to gówno? Pieprzyć ją. Świetnie całuje? Pieprzyć ją. Przez nią mój ulubiony zespół przestał być ulubionym? Pieprzyć ją. Odeszła bez słowa pożegnania? Pieprzyć ją. Nawet nie zamachała? Pieprzyć ją. Narobiła mi nadziei? Pieprzyć ją. Razem z nadzieją zabrała moją kurtkę? Pieprzyć ją.

Sam się pieprz, Nick.

Bo ciągle pakujesz się w podobne sytuacje. Bo się przejmujesz. Bo nie wiedziałeś, co powiedzieć, żeby ją zatrzymać. Bo sam nie wiesz, czego chcesz. Bo się zawahałeś. Bo nie odwzajemniłeś pocałunku tak, jak trzeba. Bo sam narobiłeś sobie nadziei. Bo bujałeś w obłokach, zamiast patrzeć trzeźwo. Bo dałeś jej tę cholerną kurtkę.

Nożeż kur...

Czy byłoby inaczej, gdybym nie stał jak kołek przed lustrem w garderobie? Spodziewałem się chyba wyczytać z własnej twarzy to, czego rozum nie potrafił mi powiedzieć. Gdyby tylko udało mi się szybciej przepchnąć przez gęsty labirynt ciał w tłumie pod sceną. Gdybym wypatrył ją w sklepie, zanim podeszła do drzwi. Gdybym powiedział coś na jej widok. Gdybym zrobił coś – cokolwiek – czy uniknąłbym tak mistrzowskiego schrzanienia sytuacji? Duma zamknęła mi usta, a uraza zatrzymała mnie w miejscu – razem zabiły nadzieję i pozwoliły Norze odjechać.

Samotny powrót do klubu – porażka. Odprowadzanie wzrokiem tylnych świateł jej taksówki – porażka. Pójście do domu i położenie się spać – porażka. Pozostało mi usiąść na chodniku i wpatrywać się tępo w krawężnik. To również porażka, ale przynajmniej najłatwiejsza do udźwignięcia. Znalazłem się na poziomie ziemi – tam, gdzie powinienem. Sponiewierany, zdeptany, kopnij mnie, proszę bardzo.



Siedzę przy Ludlow Street, mijają mnie buty z pokazów mody i z filmów porno. Neonowe adidasy, aksamitne szpilki (również w wydaniu dla mężczyzn). Gdybym miał ze sobą gitarę, może zarobiłbym kilka drobnych. W mojej głowie kłębią się melodie. Smutne. Gorzkie. Poza nimi nie mam nic.

Sama odeszła. Nie kazałem jej tego robić. To nie moja wina.

To ona podjęła decyzję.

Mogła podjąć inną.

Brzmi znajomo jak cholera.

Dlaczego w ogóle się tym przejmuję? Dlaczego ludzie tak łatwo dają się zranić? Czy to przez samotność? A może strach? Czy poczucie bliskości uzależnia? Norah, to było proste, proste jak droga na parkiet, na który mnie zaciągnęłaś. Nie musiałaś mnie całować, i tak byłem gotowy. Teraz to wiem i mogę ci powiedzieć. Tylko że ciebie tu nie ma.

To moja wina, prawda?

Dość już, pieprzyć to.

Starczy już analiz. Ciągłych, beznadziejnych starań. Wiary, że dwoje ludzi może połączyć się w idealny sposób. Starczy bezsilności. Koniec z czekaniem na coś, co prawdopodobnie nigdy nie nastąpi.

– Och, Nick. Co ona ci zrobiła?

Różowe szpilki w panterkę z odkrytymi palcami. Podnoszę wzrok i uśmiecham się z przekąsem. Nade mną stoi Tris i przysięgam, że patrzy na mnie współczująco. Czuję się jak uczestnik telewizyjnego talk-show – na wizji spotyka swoją matkę, o której myślał, że dawno nie żyje. Niewiarygodne, a jednak możliwe.

– Tris – mówię, bo nie mam pojęcia, co innego mógłbym powiedzieć.

Kręci głową, wyciera płytę chodnikową i siada obok.

– Gdzie jest Norah? – pyta.

– Prawdopodobnie w połowie tunelu Lincolna. – Wzruszam ramionami.

– Zawsze taka była – wzdycha Tris, po czym wyciąga papierosa i podaje mi zapalniczkę, żebym go odpalił. – Nigdy dobrze nie znosiła presji. Postawiona pod ścianą udaje, że ściana nie istnieje. Pamiętam, jak kiedyś umówiliśmy się ze znajomymi na imprezę nad basenem.

Chcieliśmy posłuchać muzyki i pływać nago. Nic specjalnego, wszyscy mamy baseny, standardowa sprawa. Ale wystarczyło jedno spojrzenie na Norę i już wiedziałam, że nie ma mowy, żeby wzięła w tym udział. Przecież miał tam być chłopak, który jej się podobał – to chyba był wtedy Andy Biggs – a ona nie chciała oglądać go nago w takich okolicznościach. Czy zaprotestowała głośno? Nie. Czy próbowała nas przekonać, że to głupie? Skądże. Przyszła jak wszyscy, pobawiła się w DJ-kę, a kiedy przyszedł czas na pływanie, po prostu zniknęła. Poszła do domu, trzy kilometry piechotą, nie mówiąc nikomu ani słowa. Następnego dnia nie udawała nawet, że źle się poczuła. Nie szukała wymówek.

W ciągu ostatnich czterech tygodni nie zamieniliśmy ze sobą tylu słów, co teraz. Cztery tygodnie? Może i więcej, bo pod koniec nasze rozmowy nie przypominały już normalnych, pełnowymiarowych konwersacji, tylko pozbawione sensu strzępki dialogu.

Nie wiem, czy mogę ją dotknąć. Czy pozwolić mojej dłoni opaść na jej ramię – może pięć centymetrów od mojego. Znów poczuć jej skórę. Sprawdzić, czy ten dotyk to przeszłość, czy może jeszcze inny czas.

– Nie patrz tak na mnie – przestrzega. – Wyglądasz jak lunatyk. Przestań albo zwinę się szybciej niż Norah. Masz to?

Kiwam głową. Staram się nie patrzeć na jej ramię.

– Dobrze. – Tris wypuszcza z ust kółko dymu. – Nie mam ochoty na rozmowy o nas.

„Nigdy nie miałaś” – komentuję w duchu.

Po zerwaniu uroda partnera – z której czerpie się w związku tyle przyjemności – nagle wydaje się niesprawiedliwością. Czuję to w tej chwili. Mam wrażenie, że Tris usadowiła się na chodniku specjalnie w takim miejscu, żeby światło lampy korzystnie podkreślało rysy jej twarzy. Boże.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu. Zaciąga się papierosem. Jej gesty są takie teatralne – a ja czuję się jak bohater prostackiego sitcomu. Cisza zdaje się zupełnie jej nie przeszkadzać, ale mnie doprowadza do szału. Pewnie dlatego robię to, czego miałem absolutnie nie robić. I tak wiedziałem, że nie dotrzymam obietnicy.

– Tęsknię za tobą – rzucam w przestrzeń. Nawet ja czuję, że te słowa są puste. Jakby były przeznaczone dla kogo innego.

– Nie zaczynaj – prycha Tris, choć nie ma w niej irytacji, której się spodziewałem. – To nic nie znaczy.

Zaciąga się po raz kolejny i odwraca się w stronę klubu, nasłuchując.

– Ale mają dzisiaj kopa, prawda? Bałam się, że sława ich zepsuje, ale chyba niesłusznie. Mogłam się przespać z Owenem O., miałam kiedyś okazję. Byłabym o krok przed tą nastoletnią gwiazdką filmową, która dopadła go jako pierwsza. Mam tylko nadzieję, że nie dadzą swojej córce imienia jakiegoś owocu. Brr.

– April – przypominam.

– Co?

– April. Mówiłaś, że tak chciałabyś nazwać naszą córkę.

Tris zerka na mnie zaintrygowana.

– Serio? Nie wiem, czy to urocze, czy trochę straszne, że pamiętasz takie rzeczy.

– A to dla ciebie nie jedno i to samo?

Odpowiada mi uśmiechem i delikatnym skinieniem głowy.

– Bardzo możliwe. Przepraszam.

– Przepraszam?

– Tak.

Papieros powoli się kończy, a moja towarzyszka nie patrzy już na mnie, ale na grupę punków po drugiej stronie ulicy.

– Tris, ja...

– Podoba ci się?

– Kto?

– Norah. Zaiskrzyło?

– A czy może podobać mi się ktoś, przy kim czuję się absolutnie skołowacony?

– Jak najbardziej.

– Czy ty czułaś się tak, kiedy byliśmy razem?

To nie jest szczególnie poważne pytanie, ale Tris denerwuje się całkiem serio. Ciska we mnie niedopałkiem, popiół ląduje mi na koszulce.

– Zamknij się, dobrze? – warczy. – Starczy już tego. Mam DOŚĆ. Nigdy nie wiedziałam do końca, o co ci chodzi. Nie dość, że nie potrafiłeś powiedzieć „stop”, to nawet nie zdawałeś sobie sprawy, że to, czego tak mocno się trzymasz, wcale nie istnieje. Uważasz, że cię zraniłam? Wyobraź sobie, że mogłam skrzywdzić cię o wiele mocniej.

– Jak? – pytam odruchowo.

– Mówiąc prawdę, Nick. Miałam nadzieję, że sam ją pojmiesz. Myślałam, że wszystko zrozumiesz. Nie miałam pojęcia, że założyłeś sobie na oczy tak grube klapki. Więc tak, mogłam po prostu wyznać ci wszystko jak na spowiedzi. Ale wydawałeś się tak cholernie wrażliwy, że nie mogłam się na to zdobyć. A i tak poczułeś się zraniony. Cholera, Nick – tobie to było potrzebne. Musiałam ci nakopać, żebyś rozumiał.

– Odczuwałam to bardziej jak wbijanie noża niż kopniaki – precyzuję.

– A ja to jednak widzę inaczej – odpowiada Tris. – Zresztą nieważne. Temat „nas” jest zamknięty. Ty i Norah to temat otwarty. Przyjmij ode mnie zupełnie darmową radę. Ona reaguje ucieczką – będzie uciekać bez słowa za każdym razem, kiedy się przestraszy. Ale ty nie jesteś taki jak ona. Myślę, że w głębi duszy Norah też wcale nie chce nigdzie biec, tylko ma poczucie, że musi. Po części dlatego, że jest rozpieszczoną panną Mądralińską, która kompletnie nie potrafi się ubierać, a po części dlatego, że jest zwykłą, ludzką istotą.

Mądrze gada i to też wydaje mi się niesprawiedliwe. „Dlaczego nie potrafiliśmy rozmawiać w ten sposób, kiedy byliśmy razem?” – przechodzi mi przez myśl i nagle zdaję sobie sprawę, że „kiedy byliśmy razem” to w mojej głowie osobna, odległa rzeczywistość. Pozostał po niej ból, ale nie ma już we mnie chęci, by tam wrócić.

– Powinieneś jak najszybciej znaleźć Norę – oznajmia Tris i wstaje z ziemi. – Mielibyście takie piękne, słodko popieprzone dzieci. Tylko nie dawajcie im żadnych nienormalnych imion. Bądźcie oryginalni.

– Ale ona odeszła – mówię cicho.

– Może i sobie poszła, ale na pewno nie zniknęła. Gdzieś jest. Wystarczy, że jej poszukasz.

– Podpowiesz gdzie?

– Nie ma mowy – parska i idzie przez ulicę. – Jesteś zdany na

siebie.

Pozwalam jej odejść. Otwiera drzwi do klubu, ze środka bucha ściana hałasu. Patrzę, jak wchodzi do środka.

Wbijam wzrok w chodnik. Zastanawiam się, jakie mam możliwości.

## 12. NORAH

Czuję głód.

Do tego jestem zmęczona i całkiem na poważnie rozważam swoją przyszłość w poczcie świętych i błogosławionych. Przeżuwam. Oreo, których paczkę wykończyłam w taksówce, miały cudownie wilgotne ciasto i niemal galaretowate nadzienie, smakowały niczym ciepła kanapka z lodami – po prostu genialnie. Nie zabiły jednak uczucia głodu. Nie jestem tylko pewna, czy ssanie, które czuję, pochodzi z żołądka, czy z tego miejsca, które – teraz skute lodem – chwilę wcześniej rozplęwało się pod wpływem cieplarnianego efektu dotyku Nicka.

– Jedziemy czy nie? – pyta kierowca. To już piąta zmiana świateł na skrzyżowaniu Houston i West Broadway. Nie mogę się zdecydować, dokąd chcę jechać. Taksówkarz znosi moje wahanie tylko dlatego, że wcześniej oznajmiłam mu surowo, że złożę na niego skargę, jeśli powie jeszcze jedno złe słowo na temat kursu do Jersey.

– Dokąd, panienko?

**NIE MAM ZIELONEGO POJĘCIA!**

Przychodzą mi do głowy tylko dwie w miarę rozsądne myśli. (1) Potrzebuję więcej zawilgoconych oreo z tamtego koreańskiego sklepiku i (2) nie chcę, żeby jakiś dumny facet obrzydził mi muzykę Where's Fluffy. Muszę wymazać niefortunne skojarzenie z moją ulubioną piosenką, hymnem praw homoseksualistów, *Lesbian Lap Dance*. Nie chcę pamiętać, że w pierwszych taktach w przeblysku geniuszu postanowiłam zaciągnąć Nicka do garderoby i sprezentować mu prywatny taniec-ocieraniec. Muszę wrócić do tego cholernego klubu.

– Jedziemy z powrotem na Ludlow – odpowiadam taksjarszowi.

Przesadziłam? Czy dałam z siebie za mało? A może po prostu jestem dla niego nieatrakcyjna? Mogłam nie usuwać tego spamu, który przychodzi na skrzynkę z reklamami suplementów witaminowych na jędrny biust. Niby jestem lepiej wyposażona niż Caroline czy Tris, ale moje piersi rozlażą się w dziwnych kierunkach – na zewnątrz zamiast do

góry. Czas to zmienić!

Kierowca wzdycha ciężko, cmoka z niezadowoleniem, zawraca w niedozwolonym miejscu przez cztery pasy. Podkręca radio, pewnie w nadziei, że mnie nie usłyszy, gdybym kolejny raz zmieniła zdanie. Jakim cudem rezerwowy reprezentacji Kazachstanu w piłkę nożną trafił za kółko nocnej taksówki na Manhattanie i dlatego słucha radia ze złotymi przebojami zamiast standardowej w taryfach stacji informacyjnej (zero muzyki, same smutne wiadomości) – tego nigdy się nie dowiem. Życie każdego człowieka to osobna opowieść.

W głośnikach wyje słodka Britney sprzed kilkunastu lat; biedna, ona też wie, co znaczy być w toksycznym związku. Nick na pewno wziął mnie za trujący bluszcz po tym, jak zaciągnęłam go do garderoby. Nie próbował mnie zatrzymać ani kiedy stamtąd uciekałam, ani kiedy wsiadałam do taksówki. Nie raczył nawet pomachać mi na do widzenia.

Samochód sunie ulicą Bowery, mija klub, w którym wcześniej tego wieczoru Nick zapytał, czy będę jego dziewczyną na pięć minut. Potem bezczelnie mnie zauroczył i patrząc mi prosto w oczy, wypowiedział do mikrofonu magiczne słowa: KUPA-SIKU-RZYGI. Czysta deklaracja uczuć, jak inaczej miałam to odebrać? Przypomniałam sobie, że na Where's Fluffy mignął mi gdzieś Szalony Lou. Lou opuszczał stanowisko dowodzenia tylko, jeśli...

– STOP! – krzyczę do kierowcy. Dalej nie trzeba. Jestem tu, gdzie chciałam.

Gość wciska hamulec, auto staje dęba, a paczka oreo leci na podłogę. Kazachski król nogi obraca się do mnie i krzyczy zza plastikowej szyby, która oddziela go od pasażerów:

– CO ZNOWU? CZY MOŻE SIĘ PANIENKA ŁASKAWIE ZDECYDOWAĆ?

Po drugiej stronie ulicy widzę, jak Tal wyprowadza ostatnich gości z klubu i zaczyna z pietyzmem zamiatać chodnik. Bez koszulki – jak zawsze po koncercie. Pamiętam dobrze jego klatkę piersiową: o wątlých mięśniach, szczupłą, zbyt wegańską. Przypominam sobie Nicka. Miałam ochotę go dotykać. Było za co złapać. Chciałabym jeszcze.

Nie, panienska nie może się zdecydować, panie kierowco. Czeka ją żywot samotnicy i wieczny celibat, więc chyba ma prawo być trochę

skołowana? I raczej może odrobinę zaszaleć? Ten jeden, ostatni raz?

Robię trzy podejścia. Trzy razy sięgam za klamkę i przeliczam należność za przejazd. Trzy razy siadam z powrotem na siedzeniu.

– To jak będzie? Wysiada panienka czy zostaje? – pyta mężczyzna.

Zawodzenie Britney ustępuje *Should I Stay or Should I Go?* The Clash, klasyk. Bardzo na temat.

Nie mogę się skupić! Za dużo głosów!

– Rozchmurz się, dupku – odwarkuję bezmyślnie do kierowcy.

I zastanawiam się, co grają teraz *Where's Fluffy*. Żałuję, że nie jestem pod sceną. Wszystko wina Nicka.

Taksówkarz odwraca się ponownie. Patrzy na mnie poważnie.

– Chcesz tu siedzieć i zastanawiać się, gdzie jedziemy? Nie ma sprawy. – Już nie mówi do mnie per „panienko”. – To twoje pieniądze – dodaje, wskazując na tykający licznik. Ach, czas nigdy nie był moim sprzymierzeńcem. – Ale pozwól, że powiem ci to, co mówię każdej z moich pięciu córek, kiedy zaczynają pyskować. Jestem dżentelmenem, a nie kanalarzem. Uważaj na to, co mówisz, albo wysiadaj.

– Dobrze. Przepraszam – odpowiadam ze skrucą. Wyobrażam sobie, że jest świetnym ojcem. Założę się, że córki z przyjemnością gotują mu kazachskie przysmaki i pilnują, żeby regularnie chodził na badania prostaty. – A czy mógłby pan zmienić radio?

– W porządku. – Mężczyzna przełącza stację. Trafiamy na *I Fall to Pieces* Patsy Cline. Świetnie. Kawalek o rozpadaniu się na kawałki. Nie mam wyboru: muszę się rozplakać. Kierowca podaje mi paczkę chusteczek. – Chcesz mi o czymś opowiedzieć?

– Chłopcy to idioci – szlocham. Jeśli jestem okropną żoną z planety Schizofrenia, to właśnie przez nich. – Niech pan nie pozwala swoim córkom umawiać się na randki.

– Staram się, jak mogę – uśmiecha się facet. – Możesz mi wierzyć.

Proszę go, żeby wyłączył światła i silnik. Znowu stoimy. Chcę się zastanowić, zanim zdecyduję się porozmawiać z Talem, a wołałabym, żeby mnie wcześniej nie zauważył.

Ostatni raz widzieliśmy się w tym samym klubie, przed jego wyjazdem do kibucu, a tuż po tym, jak rzucił studia. Staliśmy w bocznym korytarzu po koncercie, w głównej sali było pusto i ciemno.



Pachniało piwem, moczem i papierosami, na podłodze wały się butelki, kubki i fragmenty ubrań. Pod sufitem unosiła się skumulowana energia dzikiego tłumu. Tal – całe metr dziewięćdziesiąt wzrostu – zawisł nade mną. Musiał przykucnąć, żeby nasze usta znalazły się na jednym poziomie. Pocałunek był mokry, niedbały. Już wtedy podejrzewałam, że można całować lepiej, ale nie miałam porównania.

– Norrah – szeptał mi do ucha. Zawsze wymawiał moje imię z charakterystycznym żydowskim akcentem. – Kochanie – to z kolei powtarzał już normalnie. Kiedy miałam szesnaście lat, jego akcent bardzo mnie kręcił. Ale dwa lata później brzmienie mojego imienia w jego ustach stało się dla mnie niemiłe: chropowate, zaflegmione, jakby się nim dławił.

Przed klubem dwóch chłopaków lało się po gębach o względy Caroline. Tris musiała być gdzieś z Nickiem, bo nagle zostaliśmy z Talem sami. Chwilę wcześniej zerwaliśmy ze sobą po raz piąty, ponoć ostatni. Chciałam tylko, żeby się zamknął i przeszedł do rzeczy. Zwykle, kiedy miał do wyboru walenie konia przy lekturze magazynu „Forward” albo seks ze mną, wybierał to pierwsze. Tamtej nocy w klubie jego marzenia musiały się ziścić – oto zabrałam się do roboty i nie chciałam niczego w zamian. Z satysfakcją, biernie poddawał się moim działaniom. Nie odezwał się ani razu, ani razu nie próbował mnie dotknąć.

W środku czułam się martwa. Od jednostajnego ruchu ręką złapał mnie skurcz. Tal nie oponował, kiedy z korytarza weszłam do biura Lou. Wiedział, co chcę w ten sposób osiągnąć. Lubił czekać na finał. Na biurku znalazłam jakiś krem. Początkowo chciałam dokończyć dzieła, ale nagle przerwałam – zmieniłam zdanie. Nie piję, nie palę i jestem z tego na swój sposób dumna. Ale zaczęłam gardzić sobą za to, co robiłam z Talem. Kiedy się nad tym zastanowić, to prawdziwy oblech. Pozwalał mi się dotykać, czerpał z tego przyjemność, ale nawet mnie nie lubił. Zaczęłam się zastanawiać: czy naprawdę jestem oziębła, czy między nami zwyczajnie nie ma chemii?

Odstawiłam krem na miejsce i uciekłam z biura drugimi drzwiami. Od tego czasu, aż do dzisiejszego wieczora, nie miałam z nim kontaktu. „Mocna w gębie, ale jeśli szukasz ognia, to sobie odpuść. Jest zimna jak lodowiec”. Tak mnie podsumował przed Nickiem. Może nie powinnam

się na niego złościć. Zostawiłam go w końcu w połowie drogi do nieba. Jego jajka na pewno cierpiały z tego powodu.

Ciekawi mnie, po co Tal wrócił na Manhattan. Jednak pytanie: „Dlaczego znów jesteś w Nowym Jorku?” to kompletna strata czasu i drobnych, które wydam na siedzenie na tylnym fotelu tej taksówki. Po co w ogóle ludzie tu przyjeżdżają? Brakuje słów, by wyczerpać możliwe odpowiedzi.

Nie wiem, dlaczego wrócił, na pewno nie dla mnie. A nawet gdyby, to oznaczałoby, że jest głupszy ode mnie. Jak to możliwe, że dwoje ludzi o niemal stuprocentowych wynikach egzaminów w szkole średniej okazuje tak śladową inteligencję w kontaktach ze sobą?

Patsy skończyła rozwodzić się nad własną tragedią, teraz Merle Haggard wyznaje rzewnie, że zawsze pragnął tylko mnie. *Always Wanting You*, ukochana piosenka mojego taty. Gorzki, zrozpaczony Merle zawodzi o tym, jak to bardzo pragnął, ale nigdy nie zdobył miłości swojej ukochanej, oraz o tym, jak ciężko będzie mu stawić czoła kolejnym dniom, bo jego tęsknota za nią jest wieczna. Prze-chła-pa-ne.

Gdybym została w garderobie z Nickiem, miałabym szansę odkryć nowe stopnie pożądania. Wypróbować nowe ruchy, wyjść na poszukiwania, do których Tal nigdy mnie nie inspirował. Z nim sprawa była jasna: góra-dół i do środka-na zewnątrz. Gdyby Nick przyparł mnie teraz do ściany, użyłabym więcej wyobraźni niż kiedykolwiek. Delikatne muśnięcia zamiast pociągnięć, ugniatania i pocierania. Dwie dłonie zamiast jednej. Paznokcie na skórze. Może i Nick okazałby się bardziej pomysłowy. Może byłabym dla niego inspiracją. Tris twierdzi, że kiedy z nim zerwała, złamała mu serce, ale jednocześnie uczyniła przysługę. Oddała go światu z umiejętnościami, za które jego przyszłe kobiety będą jej wdzięczne. Ponoć nie był taki sprawny, kiedy zaczynali się spotykać. Pff. Pieprzyć Tris i jej tantryczne sztuczki.

Z dzisiaj zrobiło się jutro. Wbrew sobie wczułam się w słodko-gorzka opowieść Merle'a. Nie powinnam, ale mimo to wciąż pragnę Nicka.

Powinnam była mu zaufać.

Nieśmiały strumyczek łez sprowokowany wynurzeniami Patsy zmienia się w Niagarę.

Pieprzę go. Pieprzę siebie.

Nie istnieje coś takiego, jak szczęśliwe zakończenie. Merle Haggard to wie, i ja też to wiem.

Okej, ale wiem też, że chcę czegoś innego. I to jest jak najbardziej osiągalne. Chcę raz na zawsze zamknąć kwestię Tala. Wyjść z tej spirali, która wciąga mnie bez końca. Może straciłam szansę u Nicka, ale przynajmniej wiem, że w ogóle istnieją tak fantastyczne osobniki jak on.

Nagle nabieram ogromnej ochoty na talerz barszczu.

– Czy może pan włączyć silnik? – proszę taksówkarza i kieruję go do czynnej całą dobę ukraińskiej knajpki w East Village. Dawno temu wybrałyśmy to miejsce z Tris i Caroline. Odkąd zaczęły się nasze samodzielne wypadki na miasto, żeby słuchać muzyki – co udało nam się osiągnąć, stopniowo naciągając godziny powrotów ustalone przez rodziców, które wreszcie zniknęły (rodzice zgodzili się z nami, że jesteśmy już duże i nawet, jeśli wpadniemy w kłopoty, to jakoś sobie poradzimy) – to tu, przy pysznym barszczu, spotykałyśmy się po szalonej nocy. Chyba, że pokłóciłyśmy się na śmierć albo któraś odpadła. Zastanawiam się, czy kiedyś jeszcze wybierzemy się razem na zupę. Może ten czas już minął, tak jak mój czas z Talem i Tris z Nickiem.

– Dobry wybór – chwali taksówkarz. Wcześniej razem ze mną obserwował zamiatającego Tala.

Mam ochotę się zdrzemnąć, ale nagle w okolicach mojego biustu coś zaczyna dzwonić. Co jest? No tak, zapomniałam, że mam na sobie kurtkę Nicka – to znaczy moją. Sięgam do wewnętrznej kieszonki: znajduję dziesięć dolarów i starą komórkę z klapką, z przyklejonym zdjęciem Tris. Nie spodziewałam się takiego znaleziska po Nicku, ale przypominam sobie, że dostał telefon od Tris właśnie, na Boże Narodzenie. Kiedy ktoś jej się spodoba, zwykle na samym początku znajomości, potrafi to pokazać. Zrywam fotografię i przyklejam ją na mapie miasta na plastikowej szybie dzielącej mnie i kierowcę. Tkwi teraz tuż nad Empire State Building – sterczący wieżowiec wydaje się pokazywać jej środkowy palec.

Nie wiem, czy wypada mi odebrać telefon Nicka. Dzwoni „tHom”.

Jestem okropna. Pozwoliłam dwu obcym facetom zabrać moją

najlepszą psiapsiołę. Co, gdyby okazali się duetem seryjnych morderców? Tedem Bundym i Aileen Wuornos punkrockowej sceny New Jersey? Co, jeśli Caroline obudziła się i teraz mnie szuka? Pamiętam, jak po rozwodzie rodziców, kiedy jej ojciec przygruchał sobie młodszą babkę, Caroline budziła się czasem przerażona w środku nocy. Przełaziła przez płot i wkradała się do mojego domu, żeby poczuć się bezpiecznie. Czy powinnam się obawiać? Instynkt podpowiadał, że nie. Może nie miałam racji, odnosząc wrażenie, że podobam się Nickowi, ale jestem pewna, że w jego kumplach słusznie wyczułam dobrych chłopaków. Na pewno dostarczyli ją bezpiecznie do domu.

– Thom? Czy z Caroline wszystko w porządku? – odbieram połączenie.

– Nareszcie! Tak, wciąż śpi. Wygląda na zadowoloną. Od czasu do czasu mamrocze coś o kreskówkach i płatkach śniadaniowych. Od godziny próbuję dodzwonić się do Nicka. Nic nie słyszeliście? Scot i ja trochę się zgubiliśmy, a potem, eee, byliśmy zajęci czym innym. Instrukcje, które zapisałaś mi na ręce, trochę się, ten tego... rozmazały. Stoimy na parkingu przed marketem 7-eleven. Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy i jak się dostać do twojego domu.

Próbuję pilotować Thoma przez telefon, ale to, co mówi, jest strasznie mylące. W końcu sama już nie wiem, gdzie ich szukać. Taksówkarz hamuje z piskiem opon. Jesteśmy gdzieś na ulicy St. Marks Place.

– Daj mi to – rozkazuje mężczyzna, wskazując na telefon. Jestem pozytywnie zaskoczona, że się zatrzymał. Nie lubię, kiedy kierowca jednocześnie prowadzi i rozmawia.

Posłusznie podaję komórkę, facet zaczyna rozmawiać z Thomem i po krótkiej chwili orientuje się, gdzie utknęli chłopcy. Sprawnie wyjaśnia im, jak dojechać do mojego domu w Englewood Cliffs.

– Proszę, Thom chce jeszcze zamienić słowo – mówi po chwili i oddaje mi telefon.

– Cześć raz jeszcze.

Thom chichocze w słuchawkę.

– I jak było na randce z Nickiem? Już go kochasz, prawda? – dopytuje.

– Było super. Zamierzamy się pobrać.

– Serio? Mogę z nim porozmawiać?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo nie mam pojęcia, gdzie jest – rozłączam się.

Dojeżdżamy do restauracji.

– Wejdzie pan ze mną? Stawiam barszcz i pierogi.

Taksówkarz uśmiecha się ciepło. Na ścianie jego domu muszą wisieć urocze portrety rodzinne.

– Dzięki, ale jestem człowiekiem pracy. Muszę lecieć dalej.

Chusteczki potraktuj jako prezent.

Z wdzięcznością zabieram paczkę i płacę. Żegnam się z banknotem studolarowym od taty – to cała pula „na wszelki wypadek”, którą trzymałam w tajnej kieszonce portfela. Zostały mi drobne na jedzenie i na bilet do Englewood Cliffs. Oznacza to również, że będę musiała spędzić najbliższe parę godzin przy barszczu, zanim zaczną kursować autobusy.

Przy wejściu do knajpki stoi jakaś kobieta. Wygląda jak wiedźma, jest chyba niespełna rozumu. Do tego śmierdzi jak prawdziwa czarownica. Patrzy prosto na mnie, a właściwie na moje piersi. Może też słyszała o tych suplementach z internetu.

– Salwator cię szuka – mówi złowieszczym szeptem.

Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyciągam zmięte dziesięć dolców. Wrzucam pieniądze Nicka do puszek wiedźmy.

– Nie szuka – odpowiadam. Jestem tego pewna.

### 13. NICK

Życie to porażka. Na szczęście jest muzyka.

Siedzę na krawężniku. Jestem obecny tu i teraz. Przyjmuję chwilę taką, jaka jest. Z całą jej pustką. Przyjmuję to, jak się czuję, kim jestem, a kim nie.

*Na Ludlow*

*Życie toczy się niespiesznie*

*Niczego już nie wiem*

*To koniec*

*Na Ludlow*

*Cień na chodniku*

*Powtarza: zostań*

*Ale ty nie słyszysz*

W porządku, Nick. Teraz głośniej.

*CZYJA TO WINA, ŻE JESTEŚMY SOBĄ?*

*KTO NAS POPROWADZI, SKORO ZABRNELIŚMY*

*TAK DALEKO?*

*ODPOWIEDZ MI*

*ODPOWIEDZ TY*

*ZNASZ ODPOWIEDZI NA PYTANIA*

*KTÓRE BOJĘ SIĘ ZADAĆ*

*NA LUDLOW*

*POWIEDZIAŁAŚ MI COŚ*

*A JA POZWOLIŁEM CI ODEJŚĆ*

*TO BYŁ BŁĄD BŁĄD*

*BŁĄD*

*NAD LUDLOW  
WISI DZIWNY CIEŃ  
KTÓRY PRAWDE POKAŻE NAM  
TO BYŁ BŁĄD BŁĄD  
BŁĄD*

*NIGDY WIĘCEJ  
ZAWSZE TO POWTARZAM*

*NIGDY WIĘCEJ  
TA SYTUACJA WCIĄŻ SIĘ ZDARZA*

*NIGDY WIĘCEJ  
ZAW SZE MÓ WIĘ TAK*

*I znowu ciszej.  
Z Ludlow  
Jest tak blisko do tych wszystkich miejsc  
W które chciałbym zabrać cię  
Dziś to za daleko*

*Na Ludlow  
Tam mnie znajdziesz  
Na Ludlow  
Tylko czy będziesz szukać...*

– Staaary, to było naprawdę niezłe!

Dev klepie mnie po plecach i siada obok. Włosy ma mokre od potu, jakby wyszedł spod prysznic, a jego koszulka wydaje się jeszcze bardziej obcisła niż na początku wieczoru.

– Czemu nie jesteś w środku? Przecież to Where's Fluffy – pytam.

– Ile można! Musiałem się przewietrzyć. Myślisz, że tak łatwo jest być największym ciachem wśród niepełnoletnich wokalistów sceny queercore'owej?

– A gdzie zgubiłeś Randy'ego?

– Kogo?

– Randy'ego.

– Hę?

– Tego z Are You Randy? Jeśli dobrze widziałem, to, eee, byliście w klubie razem.

– Ach tak! Masz na myśli Teda! Zaraz tu przyjdzie. Chciał zostać na ostatnim kawałku. Chłopak niezłe daje czadu, prawda?

Dev uśmiecha się szelmowsko, oczy błyszczą mu z ekscytacji: wpadł po uszy. Kiwam potulnie głową. Czasem, gdy mój kumpel poznaje kogoś nowego, budzi się w nim szelma, ale nie widać głębszych uczuć – wtedy żal mi tego nowego, bo już wiem, że prędzej czy później Dev złamie mu serce. Ale potrafię też rozpoznać, kiedy chodzi o coś więcej niż seks.

– Gdzie jest Tris? – pyta niespodziewanie.

– W środku. Czemu pytasz?

– Nie wiem. Myślałem, że spotkam was razem.

– Stary... rozstaliśmy się cztery tygodnie temu.

– Kurde! Zapomniałem na śmierć. *Pardon.*

– Nie ma sprawy.

Dev przygląda mi się uważnie i wali się dłonią w czoło.

Przypomniał sobie.

– Chwila! Ale była z tobą inna laska, prawda? Widziałem was, obściskiwaliście się.

– Można tak powiedzieć.

– I ja właśnie to zrobiłem.

– Ale co?



– No, powiedziałem. Można tak powiedzieć, więc powiedziałem. Logika Deva w najlepszym wydaniu. Mój geniusz.

Chłopak obejmuje mnie mocno i się przytula. Uwielbia to robić, a mnie to właściwie nie przeszkadza. Nie ma w tym żadnych podtekstów, a jest na swój sposób przyjemnie.

– Mój biedny, heteroseksualny chłopczyk – mówi z troską. – Nikt nie powinien być sam w noc taką jak ta.

– Na szczęście mam ciebie – odpowiadam z uśmiechem.

– Prawda, prawda. Przynajmniej dopóki Ted nie wróci.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Wiesz, o co naprawdę chodzi, Nick?

– Ale w czym?

– W życiu.

– Oświeć mnie.

– O Beatlesów.

– Co z nimi?

– Im się udało.

– Ale co?

– Wszystko.

– A konkretniej?

Dev wypuszcza mnie z objęć, siada obok, wyciąga rękę, podnosi moją i kładzie na swojej: skóra na skórze, wilgotne od potu. To wyrazisty dotyk.

– Właśnie dlatego im się udało – tłumaczy.

– Chyba nie nadażam...

– Inne zespoły śpiewają o seksie, o cierpieniu albo o zmyślonych pierdołach. Ale The Beatles naprawdę wiedzieli, jak się do tego zabrać. Wiesz, na czym polega ich sukces?

– Powiedz mi.

– *I Wanna Hold Your Hand*. Chcę trzymać cię za rękę. Pierwszy singiel. Genialny. To prawdopodobnie najlepsza piosenka na świecie. Trafili w sedno. Właśnie o tym marzymy. Nie chcemy spółkować jak napalone króliki dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Nie chcemy też tkwić w małżeństwie, które będzie trwało sto lat. Nie chcemy porsche, obciążania w toalecie czy rezydencji za

milion dolarów. Nie. Chcemy trzymać się za ręce. Chcemy, by łączyło nas uczucie tak wielkie, że nie da się go ukryć. Każda piosenka o miłości, która zdobyła popularność w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat, ma swoje korzenie w *I Wanna Hold Your Hand*. W każdej historii miłosnej znajdziesz te nieznośnie ekscytujące momenty trzymania się za ręce. Uwierz mi. Dużo nad tym myślałem.

– *I Wanna Hold Your Hand* – powtarzam bezwiednie.

– Trzymajmy się za ręce, stary.

Dev przymyka oczy, nie wypuszczając mojej dłoni. Nawet jego oddech ma rytm rock'n'rolla – jest dziwnie rozedrgany. Opieram się o jego głowę. Przez chwilę siedzimy w milczeniu, obserwując przejeżdżające samochody.

– Chyba zawałęm sprawę – wyznaję.

– Z Tris?

– Nie. Z Norą. Z Tris nie miałem już żadnych szans. Ale dzisiejszy wieczór z Norą mógł się zamienić w coś... ciekawego.

– No i?

– No i co?

– Co zamierzasz zrobić?

– Nie wiem... złapać doła?

Dev wypuszcza moją rękę i delikatnie szczypie mnie w ramię.

– Jesteś zaskakująco atrakcyjny, kiedy się smucisz – mówi z uśmiechem – ale w tym wypadku uważam, że warto podjąć bardziej aktywne działania.

– Skąd u ciebie takie mądrości o tej porze?

– Ty mi powiedz.

– Chciałbym wiedzieć. Skąd biorą się słowa? – zastanawiam się na głos. – Czemu nagle pojawiają się w mojej głowie?

– Może cały czas buzują gdzieś pod powierzchnią, a sens nadają im dopiero doświadczenia? – odpowiada Dev.

Ktoś na nas gwizdże. Oglądamy się i widzimy Teda: właśnie wyszedł z klubu, cały aż lśni niczym diament w świetle reflektorów. Nie podchodzi do nas, ale wyraźnie na coś czeka.

– Idziesz potrzymać go za rękę? – pytam z uśmiechem.

– I to mocno! – Dev podnosi się z chodnika. – Mam nadzieję, że

nie rozumiałeś mnie źle. Absolutnie zamierzam go dziś zabrać na wycieczkę do krainy rozkoszy. Jeśli zrobimy to dobrze, będziemy czuć się tak, jakbyśmy trzymali się za ręce.

Ted nie mógł nas usłyszeć, ale kiedy podchodzi do niego Dev, chłopak odruchowo podaje mu dłoń. Odprowadzam ich wzrokiem, idą chodnikiem, złączeni. Pewnie nie zwracają na to uwagi, ale ich nogi poruszają się w jednym rytmie. Odwracają się do mnie i machają z oddali, po czym skręcają za róg i już ich nie ma.

Znowu jestem sam. Dawno nie sprawdzałem telefonu... Przypominam sobie, że straciłem nie tylko kurtkę, ale i komórkę. Zaczynam się złościć. To za dużo jak na jeden wieczór. A czeka mnie jeszcze poszukiwanie budki telefonicznej. O trzeciej w nocy. Na Ludlow. Nie wiem, jak długo krążę po okolicy, ale w końcu, na jakimś skrzyżowaniu z niewielkim sklepikiem, znajduję działający aparat. Mam wrażenie, że słuchawkę porastają glony, a sygnał ma pogłos, jakby płynął z Dakoty Północnej. Pierwsze trzy ćwierćdolarówki wypadają ze szczeliny zwrotów. Jestem na granicy wybuchu, ale na szczęście kolejne dwie wpadają do automatu.

Norah odbiera po czwartym sygnale.

– Kto znowu, do cholery?

Niby wiedziałem, że usłyszę jej głos, ale i tak na moment odbiera mi mowę.

– Chciałbym porozmawiać z Nickiem – wypluwam z trudem.

– Nicka tu nie ma. Poszedł walczyć z wiatrakami. Chcesz zadzwonić później czy przełączyć cię na pocztę głosową?

Nie potrafię się powstrzymać. Rozmowa z nią uruchamia we mnie nowe pokłady wszystkiego.

– Możesz przekazać mu wiadomość? – pytam.

– A potrzebny będzie do tego długopis? Bo jeśli tak, to masz pecha, misiu.

– Nie będzie. Przekaż mu tylko, że zawałił sprawę, kiedy pozwolił Norze odjechać taksówką.

Cisza.

– Z kim ja w ogóle rozmawiam?

– Chciałbym też, żeby wiedział, że naprawdę cieszy mnie, że

w końcu wyzwolił się z uroku jędzowatej Tris.

– To jakiś żart?

– I dodaj, proszę, że to świetnie, że usiadł na chodniku i napisał dla Nory piosenkę, ale jeśli nie znajdzie odwagi, żeby przynajmniej spróbować z nią porozmawiać, to jest kompletnym frajerem.

Znowu cisza.

– Mówisz serio?

– Gdzie jesteś?

– Restauracja Wiselka. A ty?

– Nieważne – odpowiadam. – Będę u ciebie niedługo.

A tymczasem przekaż mu, proszę, to, co powiedziałem.

Odkładam słuchawkę, zanim Norah zdąży zareagować.

## 14. NORAH

To niegrzecznie rozłączać się bez pożegnania.

Nie wierzę, że ta rozmowa miała miejsce. Jestem tak śpiąca, że pewnie mi się przyśniła.

Na wszelki wypadek idę do łazienki i obmywam twarz zimną wodą. Muszę się obudzić. Próbuję ułożyć włosy palcami – mają wyglądać dobrze, ale nie za dobrze, bo wtedy będzie widać, że przejmuję się takimi rzeczami. Po chwili namysłu poprawiam też ułożenie piersi w staniku. Salwator odwraca wzrok.

Kiedy wracam, na stole czeka jedzenie: miska gorącego barszczu (jest lepszy niż mojej babci, ale nigdy jej tego nie powiem), pół tuzina pierogów, kawałek smażonej kielbasy. Za chwilę powinny wjechać bliny z wieprzowiną. Nic na to nie poradzę – jestem bardzo, bardzo głodna i mam ogromną ochotę na mięso. Jeśli coś zostanie na talerzu, podzielę się z wiedźmą sprzed wejścia.

Rzucam się na jedzenie, jakbym właśnie wyszła z więzienia. Po podbródku spływa mi barszcz, kiedy otwierają się drzwi. Podnoszę głowę. To on. Ja piernicę. Muszę napisać do Merle'a Haggarda: Cuda jednak się zdarzają.

Wstyd nie wyparował ze mnie całkowicie, ale staram się pamiętać, że przecież wymyśliłam już nowy, szlachetny plan na życie. Będę działaczką na rzecz praw ludzkości przy ONZ. Nie zamierzam rzucać się w niczyje ramiona, bo obiecałam sobie spędzić resztę życia w celibacie. Nie będzie tak źle. Przynajmniej ominą mnie choroby przenoszone drogą płciową, już nigdy nie będę musiała martwić się pękniętą gumką czy brakiem seksu. Nie będę musiała o nim myśleć, pragnąć zbliżeń, szukać okazji. Wejdę na wyższy poziom oświecenia, będę jak dalajlama. Wszystko jest w jak najlepszym porządku. Zaczynamy od zera. Nick nie musi się obawiać, nie rzucę mu się na szyję.

Chłopak bez słowa siada naprzeciwko, smaruje masłem kawałek przypieczonej chałki i wgryza się weń z zapalem.

– Dla ilu osób jest to zamówienie? – rzuca między jednym gryzem a drugim, po czym wypija łyk mojej coli i beka bez skrępowania. – „Zostało ci odpuszczone”? – powtarza ostatnie słowa, które ode mnie usłyszał. – Co to w ogóle ma znaczyć?

Miałam być wyniosła i obojętna, ale jedyne, na co mam w tej chwili ochotę, to wycalować go od stóp do głów. Nie wierzę, że naprawdę tu jest. Na jego widok obudziły się we mnie kosmate myśli. Co chciałabym mu zrobić. Co chciałabym z nim zrobić... Muszę trzymać fason.

– Posłuchaj, poznaliśmy się w przedziwnych okolicznościach i spędziliśmy ze sobą kilka przedziwnych godzin. Zrobiłam z siebie idiotkę, ale to nie znaczy, że musisz grać Pana Milutkiego i ciągnąć tę znajomość. Tak naprawdę nawet się sobie nie przedstawiliśmy i...

Nick wyciąga rękę na przywitanie. Na palcach ma jeszcze ślady masła.

– Nazywam się Nick – mówi. – Mieszkam w pełnym życia mieście Hoboken. Do dzisiejszego wieczoru Where's Fluffy byli moim ulubionym zespołem. Piszę piosenki. Zostawiła mnie taka jedna, ale staram się o tym zapomnieć. Z kim mam przyjemność?

Ściskam jego dłoń, ze wszystkich sił próbując powstrzymać uśmiech. Nie zasłużył na niego.

– Jestem Norah – zaczynam – i mieszkam w zupełnie martwej części New Jersey zwanej Englewood Cliffs. Where's Fluffy do niedawna byli również moją ulubioną kapelą. Uwielbiam piosenki, które są napisane, a nie wyprodukowane. Rozstałam się z takim jednym, potem on rzucił mnie i tak na przemian, bez końca, ale też staram się o tym zapomnieć.

– Cześć, Norah.

– Cześć, Nick.

– Oddasz mi kurtkę?

– Nie.

Uważam, że należy mi się jakaś forma zadośćuczynienia za to, że mnie odrzucił. A także zachęta do pełnego dobrych uczynków życia w celibacie.

– Dlaczego?

– Bo Salwator chce, żebym ją miała.

– Tak ci powiedział?

– Właśnie tak.

– A jeśli kurtka wcale do niego nie należy? Co, jeśli to nie on nią dysponuje? Co, jeśli prawowitym właścicielem jest jego zły brat bliźniak, Salamander, który wyhaftował na kurtce imię Salwatora, żeby oszukiwać niewinnych ludzi? Pod tą przykrywką Salamander może w spokoju realizować swoją niecną misję.

– A cóż to za misja?

– Podbój świata, totalna dominacja, te sprawy.

– Podbój świata jest niezwykle wyczerpujący, a poza tym banalny.

Ludzie powinni skupić się na sobie, na byciu godnymi i odpowiedzialnymi mieszkańcami planety Ziemi. Nikt nie będzie podziwiać dupków pokroju Salamandra. Przekaż mu to, kiedy przyjdzie upomnieć się o kurtkę. Powiedz mu, że Salwator i ja zarządziliśmy nowy porządek. To ruch o nazwie Wyluzuj Do Cholery I Pozwól Dziewczynie Nosić Kurtkę.

– Czy członkowie ruchu dostaną koszulki i czapeczki?

– Niewykluczone. Planujemy wejść we współpracę z producentami walizek. Czekamy też na propozycje sponsorskie od Nike i IBM.

Nie zauważyłam, że zaczęłam się śmiać i że przy gwałtownym ruchu głowy kosmyk włosów opadł mi na nos – dopóki Nick nie ujął go w dwa palce i nie włożył mi za ucho. Przez ułamek sekundy czułam jego oddech na ramieniu. Patrzymy sobie prosto w oczy: jest w nich prośba o wybaczenie i jednocześnie zgoda. Wspólna. Ukłucie nadziei, nagły skurcz żołądka, lęk. A że jestem totalną frajerką, która nie potrafi uczyć się na własnych błędach, bezmyślnie wypalam:

– W pewnym sensie znam cię nie od dziś.

– To znaczy?

To chyba jedzenie namieszało mi w głowie. Zrobiło mi się od niego błogo i dobrze, płynę na granicy rzeczywistości. Nie potrafię wyczuć, kiedy flirt zmienia się w paplaninę.

– Znam cię z opowieści Tris. Nie jesteśmy przyjaciółkami, ale nie jesteśmy nieprzyjaciółkami. Zrobiłeś dla tej jędry kilka naprawdę niezłych składanek, napisałeś parę świetnych piosenek. Chwaliła się

nimi, a kiedy ich słuchałam, myślałam sobie: „Hej, byłoby miło poznać tego gościa”. Absolutnie nie miałam w planach odbijania partnera Tris, nic z tych rzeczy, nie wydaje mi się też, żebym miała naturę podglądaczki, ale...

Czas na szczerość. Czas na odkupienie. Moje, nie jego.

– ...założyłam, że musisz być fajną osobą, jeszcze zanim cię poznałam. Na podstawie dowodów pośrednich. Chciałam, żebyś wiedział, że nie rzucam się w ramiona byle komu.

Cisza. Nienawidzę chłopców, bo milczą, kiedy nie wiedzą, co powiedzieć.

– Dlaczego sobie poszłaś? – pyta w końcu.

„A dlaczego ty przestałeś mnie całować?”

– Sprawa wagi państwowej. Salwator i ja dostaliśmy wezwanie. Okazało się, że to fałszywy alarm.

„Dlaczego sobie poszłam? A jak myślisz, ty piękny głupolu?”

Osiągnęliśmy pat. Bierzymy się za jedzenie.

– Gdzie twoi kumple? – Po wciągnięciu kilku pierogów przerywam milczenie. Ktoś musiał odezwać się pierwszy. Poza tym jestem pewna, że chłopcy zaraz tu wpadną. Nick z pewnością szukał mnie tylko po to, żeby odzyskać telefon.

– Dev poszedł do domu z Tedem – odpowiada chłopak.

– Tedem?

– Tym z Are You Randy?

– Ale u nich nie ma żadnego Teda. Jest Randy i kilku koleśków, ale żaden z nich nie nazywa się Ted.

– A kim jest Randy?

– To ten gość, który wyrywał Caroline!

– Caroline?...

– Ustalmy najpierw, kim jest TED!

– Mówiłem już, to nowa miłość Deva.

– Czyli chodzi o Huntera. Z kapeli Hunter Does Hunter.

– Ach, zaczynam rozumieć. – Nick uśmiecha się z przekąsem i zaczyna rysować palcem na podkładce pod talerz. – Dev jest z Tedem, znanym również jako Hunter, ale nie Randy, który miał chrapkę na Caroline, która, z tego, co rozumiem, śpi właśnie na tyle furgonetki



Thoma i Scota.

– TAK! – wołam z ulgą i łapię go za rękę.

Czuję się, jakbym przetańczyła całą noc z Johnnym Castle'em. To sen. Nicka tu nie ma, to nie dzieje się naprawdę. Mam tylko nadzieję, że nie obudzę się za szybko. Szczypię chłopaka w udo, żeby sprawdzić, czy się rozplynie. Nachylamy się do siebie, uśmiechnięci, niecierpliwi. Nasze spojrzenia się spotykają, zaraz stanie się coś bardzo pięknego i naturalnego, bo...

Do naszego stolika podchodzi ONA. Pokazuje na mnie palcem.

– Musimy pogadać. Chodźmy do mojego biura – rozkazuje Tris i rusza do łazienki. Jestem pod wrażeniem: mimo ciemnych odrostów na platynowym blondzie, rozmazanego eyelinera i szminki oraz oczu przekrwionych ze zmęczenia wciąż wygląda oszalamiająco. To niesprawiedliwe.

Wstaję z krzesła i macham palcem wskazującym do Nicka. Na pewno nie załapie tego gestu, pożyczyłam go z mojego ukochanego filmu z Winoną Ryder – *Śmiertelnego zauroczenia* z 1988.

– „Prawdziwa przyjaciółka nigdy nie ma wolnego” – cytuję główną bohaterkę.

– „Bulimia to przeżytek, Veronica” – odpowiada chłopak.

JA PIERNICZĘ. On to zna??? Chyba właśnie przeżyłam swój pierwszy orgazm.

Wchodzę do toalety, Tris sika przy otwartych drzwiach. Zdecydowanie inaczej rozumiemy słowo „prywatność”.

– Co ty tu robisz? – pytam, nie kryjąc złości. Odrzuciła go, dała nam swoje błogosławieństwo, a jednak próbuje zrobić wszystko, żebym nie mogła się nacieszyć tym szlachetnym gestem.

– Zostałam sama, a wiedziałam, że cię tu znajdę. Jesteś barszczową ćpunką. Potrzebuję kasy na taksówkę. Stwierdziłam, że jesteś mi to winna. Pięćdziesiąt dolców powinno starczyć na tanią takse do Jersey i małą rozpustę w Starbucksie – odpowiada, podciera się, wstaje i spuszcza wodę. – Co ty na to? – dodaje, po czym przepycha się do umywalki, żeby umyć ręce.

– Skąd przekonanie o moim długu?

– Przecież dostałaś ode mnie Nicka.

– Mówisz serio? – Wciąż nie jestem pewna, czy to nie głupi żart.  
– Serio serio – potwierdza Tris i pokrywa usta świeżą warstwą szminki. Wierzę jej na słowo.

– On naprawdę mi się podoba – wyznaję.  
– Z wzajemnością. Tylko nie nazywajcie swoich dzieci jakoś dziwnie. Obiecuj mi to.

– Że co?

Tris patrzy na mnie beznamiętnie.

– Dostanę te pięć dych czy nie?

– Nie wydaje ci się, że Nick jest wart trochę więcej?

– Pipko, nie chcę się bawić w szacowanie wartości konkretnej istoty ludzkiej. Potrzebuję wrócić do domu. Nie udawaj, że nie masz, bo dobrze wiem o twojej puli awaryjnej w kieszonce portfela – wzdycha niecierpliwie, po czym robi coś zupełnie niespodziewanego: nachyla się nade mną i łapie mnie za biust. – Jezu, masz czym oddychać! Czemu ciągle chowasz te skarby pod wielkimi swetrami?

Wcześniej byłam pewna, że nie mam pieniędzy, bo mój tajny schowek został opróżniony na rzecz kazachskiego taksówkarza, ale teraz przypominam sobie o pięćdziesięciu dolarach, które dostałam od Thoma. Miałam zabrać Nicka na randkę i wyzwolić go od ducha Tris. Pieniądze się przydały. Thom i Scot z pewnością się nie spodziewali, że skorzysta z nich sama nemezis.

Odpycham Tris, sięgam do wewnętrznej kieszeni koszuli i daję dziewczynie pomięty banknot.

– Dzięki! – mówi z przekąsem i już chce wychodzić, ale łapię ją za rękę.

– Mam pytanie.

– Słucham, pipko.

– Czy naprawdę jestem... oziębła?

Tris wzdycha i uśmiecha się delikatnie.

– Oczywiście, że nie. Nie wierz we wszystko, co próbują ci wmówić Caroline i Tal. Widziałam cię dzisiaj z Nickiem. Mam wrażenie, że obydwoje wiedzieliście, co robić.

– Kiedy ja właśnie nie wiem.

– Czego nie wiesz?

– Nie wiem, co robić.

Dziewczyna przewraca wymownie oczami, podchodzi i wbija palec wskazujący w mój brzuch.

– Dobrze, pomogę ci, ale najpierw musisz przyrzec, że dopiero dziś poznałaś Nicka osobiście. Nie chcę skończyć jak ta dziewczyna w gasnącej latarni.

– Gasnącej latarni?

– Nie pamiętasz? Gość wmawiał jej, że traci rozum, żeby ją wykorzystać do własnych celów.

– A, rozumiem! Film. *Gasnący płomień*. Ingrid Bergman. 1944 rok. Mam to. Moja matka wymyśliła, że koniecznie musimy to obejrzeć z okazji moich jedenastych urodzin, pamiętasz? A wracając do tematu: dziś wieczorem po raz pierwszy zobaczyłam Nicka na własne oczy. Przysięgam – mówię poważnie, kładąc dłoń na piersi niczym pilna harcerka.

– Dobrze. Wierzę ci.

Tris wyjmuję z ust gumę i przykleja ją za moimi plecami. Napiera przy tym na mnie, przygniata mnie do ściany. Jest coraz bliżej i bliżej, aż w końcu, CHOLERA JASNA...

– Najpierw pocałuj górną wargę – mówi i całuje mnie delikatnie. – To odpowiada sile yang – dodaje, po czym przesuwa usta niżej. – Potem pocałuj dolną wargę. – Tym razem jej pocałunek jest bardziej intensywny. – To siła yin – tłumaczy i odsuwa się. Lewą ręką dotyka moich pleców, przesuwa palcami po kręgach. – Zaczynaj otwierać swoje czakry, właśnie tak.

Nic nie mówię. Stoję bez ruchu, z rozwartymi ustami. Nie mam pojęcia, czy to koniec lekcji.

– Albo – ciągnie dziewczyna – możesz spróbować inaczej.

Ujmuje moją twarz w obie dłonie i przyciąga. Wsysa się delikatnie w moją górną wargę, jej język jest już w moich ustach, gładzi kawałek skóry, który łączy wargę i dziąsła. Nie zdawałam sobie sprawy z istnienia tego miejsca. Chyba właśnie zyskałam pewność, że nie jestem oziębłą Królową Śniegu.

– To jest wędzidełko – wyjaśnia już po wszystkim i poprawia włosy. – Ten fragment skóry pod wargą. To naprawdę rozgrzewający

punkt. Możesz spokojnie przetestować jego działanie na Nicku, masz moje pozwolenie. Nie bój się posądzenia o plagiat, bo z tego, co pamiętam, nigdy tego na nim nie sprawdzałam.

Stoję oparta o ścianę i zastanawiam się, co zrobić, co powiedzieć. Jeśli wcześniej miałam wątpliwości, teraz ich nie mam: to musi być sen.

– Oczywiście możesz też improwizować – zauważa Tris. – Spróbuj. Pokaż, co ci siedzi w głowie.

Co się, do cholery, dzieje? Przechyliłam głowę, jej twarz jest coraz bliżej. Kładę dłonie na jej biodrach, przywieram do niej stanowczo. Powoli całuję górną wargę, yang, wsysam się w dolną, yin, ale nie pcham się z językiem do środka – choć mam wrażenie, że tego się spodziewa. Zamiast tego wracam do górnej wargi i delikatnie ją przygryzam.

– Ty kąsająca żmijko! Słuchasz intuicji, to dobrze, Noro. Widzisz? Jest w tobie mnóstwo żaru. Ale musisz być ostrożna z przygryzaniem. Nie rób tego z nikim, komu nie ufasz.

– Skąd to wszystko wiesz? – pytam kompletnie otumaniona. Wiem, że lata za wszystkimi chłopakami z zespołów, ale przecież ta pipka ledwo zyskała prawa wyborcze. Nie miała aż tyle czasu na zbieranie doświadczeń.

– Halo, obudź się. Korzystam z Google’a, jeśli chcę się dowiedzieć czegoś więcej o technikach miłosnych. Ty też możesz to robić, musisz tylko chcieć. Żadna filozofia.

Tris łapie za klamkę, naciska, ale nagle się odwraca i patrzy prosto na mnie.

– Norah?

– Tak? – szepczę.

– Dajcie sobie trochę czasu. Żadne z was nie jest przygodowym typem na jedną noc. Jesteście wrażliwi i tak dalej. Nie spiesz się – mówi i wychodzi.

– Pa, Tris! – wołam z opóźnieniem. Jeszcze nie wiem, jak się nazywam.

Przez uchylone drzwi widzę, jak mija Nicka.

– A nie mówiłam, że gdzieś się znajdzie? Brawo, chłopcze! I powodzenia. Przyda ci się z tą sztuką. W pewnym sensie już ci

współczuję – rzuca mu na odchodnym.

Za to ja przestaję mu współczuć. Chyba wcale nie jest biednym biedaczyskiem. Zaczynam rozumieć, dlaczego wpadł w Tris jak w studnię bez dna.

## 15. NICK

Kiedy one siedzą w łazience, robię wszystko, żeby nie zastanawiać się nad tym, co się tam dzieje. Oto moja ognista była zaciągnęła moją strasznie-fajną-potencjalną dziewczynę do toalety. Albo plotkują, albo drą koty. Koszmar. Zaczynam tworzyć listę rzeczy, które mogą być gorsze niż ta sytuacja. Jak na razie mam na niej:

Strzyżenie włosów łonowych sekatorem ogrodniczym.

Strzyżenie włosów łonowych sekatorem ogrodniczym przez tępego mięśniaka, który wypił dwanaście szotów Jägermeistra.

Strzyżenie włosów łonowych sekatorem ogrodniczym przez tępego mięśniaka, który wypił dwanaście szotów Jägermeistra podczas trzęsienia ziemi o sile 8,6 w skali Richtera.

Strzyżenie włosów łonowych sekatorem ogrodniczym przez tępego mięśniaka, który wypił dwanaście szotów Jägermeistra podczas trzęsienia ziemi o sile 8,6 w skali Richtera, ze smooth jazzem w tle.

Muszę przestać. To zbyt przerażające.

Zadziwia mnie, jak mało ufam swojej eks, choć przecież wierzę, że zaufanie to podstawa miłości.

W najlepszym wypadku:

Słowa Tris: „Wiesz, on był dla mnie po prostu zbyt dobry, ciągle czułam się przy nim gorsza i miałam wrażenie, że zasługuje na kogoś lepszego... takiego jak ty. Za to w łóżku był naprawdę niezły”.

W najgorszym wypadku:

Słowa Tris: „Pewnego razu oglądaliśmy telewizję. Leciła *Pocahontas* i wyobraź sobie, że mu stanął!”. (Na pewno zapomni wspomnieć o tym, co podczas tej sytuacji robiły jej ręce). „A w łóżku? Totalne dno”.

Oddychaj głęboko, Nick. Wdech i wydech.

Jesteś kwiatem lotosu na tafli jeziora.

*Dlaczego o moim losie decyduje się w damskiej toalecie?*

*Mam związane ręce, a rozprawa się toczy*

*W damskiej toalecie*

*Pracownicy umywają od tego ręce  
W damskiej toalecie  
Nie przyjmują skarg zamknięte drzwi  
W damskiej toalecie*

Może tworzenie piosenek daje mi iluzoryczne poczucie kontroli tam, gdzie jej nie mam? Układając tekst, układam sytuację. Kiedy zamieniam problem w opowieść, przekładam go na melodię, wtedy zyskuję pewność, że wszystko dobrze się skończy, bo przecież to JA dobieram słowa. Niestety życie tak nie działa. A przynajmniej nie zawsze.

Najbardziej cieszę się chyba z tego, że widok Tris nie wzbudził we mnie pozytywnych uczuć. Po raz pierwszy, odkąd pamiętam. Weszła, stanęła nad nami, a ja czułem tylko złość.

Trochę dziwnie mi z tym, że Norah wiedziała o moim istnieniu, zanim się poznaliśmy. Krążyła gdzieś na orbicie Tris, ale ja jej nie zauważyłem. Trudno dostrzec inne planety, kiedy spogląda się w Słońce – i to świecące oślepiająco.

Z drugiej strony to, że na swój sposób mnie znała, jest takie... prawdziwe. Zrobiłem na niej dobre pierwsze wrażenie, choć zupełnie nieświadomie. Coś już o mnie wie i mimo to chce być ze mną. Mam nadzieję, że za dwie minuty nie zmieni zdania.

Kelnerka musi mnie uważać za totalnego zboczeńca, bo nie potrafię oderwać wzroku od drzwi damskiej toalety.

Wychodzi Tris. Sama. Moja pierwsza myśl, niech mi Godspeed You! Black Emperor będą świadkiem: „Co, do cholery, zrobiłaś z Norą? Gdzie ona jest?”.

Ale dziewczyna nie zamierza wdawać się w pogawędki. Przepycha się obok mojego stolika i woła tylko:

– A nie mówiłam, że gdzieś się znajdzie? Brawo, chłopcze! I powodzenia. Przyda ci się z tą sztuką. W pewnym sensie już ci

współczuję.

W głowie mam tylko ciche:

„Dzięki”.

Ale milczę. Pozwalam jej odejść. Wcale nie chcę, żeby została. Po raz pierwszy znika, a ja nie zostaję z tym dręczącym powidokiem jej postaci pod powiekami. W pewnych kulturach nazywamy to postępem.

Norah wraca do stolika, wygląda na speszoną. Jest też zarumieniona, coś wyraźnie podniosło jej ciśnienie. Musiało być ostro.

– Wszystko w porządku? – pytam.

Przytakuje, choć wydaje się nieobecna. Ale nagle podnosi głowę i patrzy na mnie przytomnie. Wracamy do rozmowy. Znów jest ze mną, tu i teraz.

– Nic mi nie jest – odpowiada. – Tris potrzebowała pieniędzy.

– Dałaś jej to, co chciała?

– Ty i ja mamy ze sobą sporo wspólnego.

– Ta dziewczyna to żywioł – wzdycham.

– Nie da się ukryć.

– Do diabła z nią.

Norah sprawia wrażenie zaskoczonej.

– Co?

– Nie wiem, co ci powiedziała, i prawdopodobnie wcale nie chcę wiedzieć. Tak samo, jak nie mam pojęcia, dlaczego zamówiłaś tyle żarcia i gdzie kupiłaś tę koszulę... Nie żeby coś z nią było nie tak. Po prostu nie muszę tego wiedzieć.

Norah zamasyżuje nabija kawałek kiełbasy na widelec.

– A czy jest coś, co cię interesuje? – pyta i wkłada widelec do ust.

„Co my tu, do cholery, robimy?”

„Czy to totalny idiotyzm, czy tylko lekka głupota?”

„Czy jestem gotów, żeby o tym rozmawiać?”

– Powiedz mi – zacznym z wahaniem – który kawałek ze składanki dla Tris podobał ci się najbardziej.

Dziewczyna przeżuwa kiełbasę. Przęłyka. Popija wodą.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak na rozgrzewkę.

– Szczerze?



– Tylko.

Nie musi się zastanawiać. Recytuje, jakby znała odpowiedź na pamięć.

– Piosenka o zauważaniu. Nie znam tytułu.

Łał. Byłem pewien, że wymieni Patti Smith, Fugazi, Jeffa Buckleya albo Where's Fluffy. Ewentualnie coś Bee Geesów, których dorzuciłem dla żartu. Nie spodziewałem się, że wybierze coś, co sam napisałem i zaśpiewałem. Początkowo nie chciałem nawet wrzucać tego na składankę. Pamiętam, że pewnego wieczoru czułem się wyjątkowo zmęczony związkiem z Tris. I tak trudna noc zmieniła się w piosenkę. Zgrałem ją na komputer i umieściłem jako ukryty numer na składance, którą wręczyłem jej następnego dnia.

Tris nigdy o niej nie wspomniała.

Ani razu.

– *Osiemnasty marca* – mówię cicho.

– Co?

– Tak brzmi tytuł. Nie wymyśliłem nic bardziej porywającego. Nie wierzę, że zapamiętałaś ten kawałek.

– Bardzo mi się podobał.

– Naprawdę? – pytam odruchowo.

– Poważnie – potwierdza i słyszę, że nie kłamie. A potem, ku mojemu całkowitemu zaskoczeniu, nachyla się do mnie i zaczyna nucić refren. Niezbyt głośno, pozostali klienci jej nie słyszą. Mruczy jak ściszona wieża albo radio w środku samotnej nocy. Śpiewa tylko dla mnie:

*To, jak poruszasz się we śnie  
Spojrzenie, kiedy skok rozważasz  
Wszystkie twe przedziwne sny  
Ty nie wiesz – lecz ja zauważam*

*Twój dotyk, gdy w łuk zmienia się  
I jak noc każda się rozmarza  
Bicie mojego serca, gdy  
Ty nie wiesz – lecz ja zauważam*

Jestem autentycznie poruszony. To piękne. Nie mój kawałek, tylko to, że zapamiętała słowa i melodię. Użyczyła im swojego głosu.

Rumieni się jak szalona, więc nie biję brawa, żeby nie zwracać na nas uwagi. Kiwam tylko bezwolnie głową – mam nadzieję, że z mojej twarzy bije zachwyt.

– Łał – udaje mi się wydusić.

– Też tak zareagowałam, kiedy usłyszałam to po raz pierwszy.

Chociaż, szczerze mówiąc, miałam wtedy straszny dzień.

– Nie wierzę, że zapa...

– Przysięgam, że nie jestem jakąś psycholką. Nie mam na twoim punkcie obsesji. Innych piosenek już nie pamiętam.

– Jesteś pewna?

– Może zmienimy temat?

I nagle mówię coś, co zaskakuje mnie samego.

– To nie było o niej.

To prawda.

– Co masz na myśli? – pyta Norah.

– Pisałem o uczuciu, rozumiesz? Wywoływała je we mnie, ale ta piosenka nie jest o niej. Mówi o mojej reakcji, o tym, co chciałem czuć i co wmawiałem sobie, że czuję naprawdę, bo tak bardzo tego pragnąłem. To te „dziwne sny”, iluzje. Byłem pewien, że to miłość, bo stworzyłem ją w swojej głowie.

Moja towarzyszka kręci głową.

– Tal robił coś innego: życzył mi dobrej nocy. Czy to nie jest głupie? Najpierw mówił mi to przez telefon, potem, kiedy odprowadzał mnie pod drzwi, a w końcu przed zaśnięciem, kiedy leżeliśmy w jednym łóżku. Zawsze życzył mi dobrej nocy i mówił to z przekonaniem, jakby naprawdę chciał, żebym dobrze spała. Pewnie odziedziczył ten nawyk po swojej matce. Ale ja wierzyłam, że to przejaw autentycznej troski. I tym prostym „dobrej nocy” usprawiedliwiałam tyle innych spraw. Nie mogę w to uwierzyć.

– Tris chyba nigdy nie powiedziała mi nic takiego.

– Cóż, Tal nigdy nie zainspirował mnie do napisania piosenki.

– Wielka szkoda – udaję smutek. – Przecież Tal rymuje się z tyloma słowami.

Norah wygląda, jakby nad czymś się zastanawiała.

– W żadnej z twoich piosenek nie pada jej imię, prawda?

W myślach analizuję kawałki, po czym potwierdzam.

– Dlaczego?

– Chyba po prostu nie przyszło mi to do głowy.

Dzwoni jej telefon, wyciąga go z kieszeni. Patrzy niepewnie na ekran.

– To Caroline – wyjaśnia i już chce odebrać, kiedy...

– Nie rób tego – proszę.

– Nie?

– Mhm.

Telefon wciąż dzwoni.

– A jeśli to coś pilnego?

– To zadzwoni jeszcze raz. Chodźmy na spacer.

– Spacer?

Telefon dzwoni po raz trzeci.

– Tak. Ty, ja i miasto. Chciałbym z tobą porozmawiać.

– Mówisz serio?

– Nie zawsze, ale w tym przypadku jak najbardziej.

Kolejny dzwonek.

– Dokąd pójdziemy?

– Gdziekolwiek. Jest dopiero – zerkam na zegarek – czwarta rano.

Pauza.

Cisza.

Poczta głosowa.

Norah przygryza dolną wargę.

– Wahasz się? – pytam niepewnie.

– Nie. Zastanawiam się, gdzie chciałabym pójść. Tak, żeby nikt nas nie znalazł.

– Może Park Avenue?

Dziewczyna w namyśle przechyla głowę, patrzy na mnie z ukosa i wreszcie mówi:

– Tak, coś w tym guście.

A potem mówi coś, czego nigdy przenigdy nie spodziewałbym się usłyszeć z jej ust:

– Jedźmy do centrum.

To idiotyczne, ale wsiadamy do metra. Zupełnie bezmyślnie wybieramy linię numer 6, najwolniejszą na całym Manhattanie. O tej porze musimy czekać na peronie dobre dwadzieścia minut – dokładnie tyle zajęłoby nam pokonanie tego dystansu na piechotę – ale zupełnie mi to nie przeszkadza. Rozmawiamy o ulubionych filmach, ulubionych rodzajach masła orzechowego, ulubionych parach majtek, o tym, że Tris czasem dziwnie pachniała, a Tal miał fetysz na punkcie włosków na ciele, o dziwnych losach bliźniaczek Olsen, o tym, ile razy widzieliśmy w metrze szczura, o naszych ulubionych napisach na murach – a wszystko to w wypowiedziach, które wydają się jednym długim zdaniem, ciągnącym się przez te dwadzieścia minut. Potem wsiadamy do świeżącego fluorescencyjnie wagonika i ruszamy, wpadając na siebie przy hamowaniu, porozumiewając się bezgłośnie, spojrzeniami komentując splątanych pijaczków, młodych byczków w garniturach rekinów giełdowego parkietu i innych towarzyszy podróży, z którymi dzielimy przestrzeń. Jestem pewien, że Norah odbiera to podobnie. Czasem, kiedy wpadamy na siebie, pozwalamy naszym ciałom na dotyk. Nie szukamy okazji do zbliżenia, ale tylko głupiec nie wykorzystałby sposobności.

Wysiadamy na Grand Central i wychodzimy na północnym końcu Park Avenue. Ulica jest kompletnie pusta. Spokoju pilnują sztywne drapacze chmur ustawione po obu stronach chodnika, wartownicy bardzo ważnego świata.

– Czuję się jak w kanionie – szepcze Norah.

– Przeraza mnie, że w tyłu budynkach wciąż pali się światło.

Tysiące żarówek świecących przez całą noc. Mało to oszczędne.

– Podejrzewam, że to dla ludzi, którzy tam pracują. Sprawdzają pocztę. Zarabiają kolejny milion. Pieprzą się z kimś, podczas gdy ktoś inny śpi.

A może – przerywam jej – po prostu komuś podoba się widok rozświetlonych budynków.

Dziewczyna parska.

– Na pewno.

– Twój ojciec pracuje w tej okolicy?

– Nie, siedzi na Dolnym Manhattanie, przy Wall Street. A twój?  
Teraz moja kolej na parsknięcie.

– Obecnie w ogóle nie pracuje – wyznaję. – Głównie dlatego, że nawet nie szuka zajęcia.

– Przykro mi.

– Nie przejmuj się.

– Czy twoi rodzice są razem?

– Jeśli pytasz o to, czy mieszkają pod jednym dachem, to tak.

A twoi?

– Zaczęli chodzić ze sobą w liceum. Są małżeństwem od dwudziestu pięciu lat, szczęśliwym i spełnionym. To kompletne wybryki natury.

Siadamy na krawędzi fontanny przed jednym z biurowców i patrzymy na samochody.

– Często tu bywasz, mała? – próbuję zażartować.

– Ha, masz mnie. Szczerze mówiąc, odkąd mogłam samodzielnie jeździć metrem, wymykałam się do centrum tak często, jak tylko mogłam. Chłonełam klimat – bankierzy, maklerzy, biznesmeni. Pachnie tu seksem i rock’n’rollem. Czujesz? Zamknij oczy.

Posłusznie opuszczam powieki. Słyszę mijające nas auta, nie tylko te tuż przed nami, ale również te jadące najbliższymi przecznicami. Budynki rozcinające przestrzeń. Bicie własnego serca. Wyobrażam sobie, że Norah pochyła się i znowu się całujemy. Ale minęło już tyle czasu, że wiem, że to się nie stanie. Otwieram oczy. Dziewczyna patrzy na mnie uważnie.

– Jesteś przystojny. Wiesz o tym?

Nie mam pojęcia, co odpowiedzieć. Jej słowa wiszą w powietrzu między nami.

– Mówisz tak, bo liczysz na to, że wyskoczę z ciuchów i zaczniemy baraszkować w fontannie.

– A więc to aż tak oczywiste? Cholera! – odpowiada ze śmiechem.

– Może włamiemy się do katedry Świętego Patryka? – proponuję.

– Na golasa?

– Zostawię sobie skarpetki, jeśli pozwolisz. Przychodzą tam różne podejrzone indywidua.

– Ach, kuszysz, ale jestem zmuszona odmówić. Już widzę te nagłówki: CÓRKA PRODUCENTA MUZYCZNEGO PRZYŁAPANA NA PORNOZABAWIE W KATEDRZE. „A była taką miłą, żydowską dziewczyną! – mówią sąsiedzi”.

– Jesteś Żydówką? – pytam.

Norah patrzy na mnie, jakbym spytał, czy jest płci żeńskiej.

– Oczywiście.

– I jak to jest?

– Żartujesz sobie?

A wyglądam, jakbym żartował?

– Nie – protestuję. – Pytam poważnie.

– Nie wiem, co ci powiedzieć. Nie wiem, jak to jest. To po prostu jest.

– A co najbardziej ci się w tym podoba?

– Nie wiem, kiedyś cieszyło mnie, że Chanuka trwa aż osiem dni.

Przynajmniej nie żałowałam, że nie mamy choinki na święta. Ale to było, kiedy byłam małą.

– A teraz? – dopytuję. Naprawdę chcę wiedzieć więcej.

– Masz na myśli coś bardziej serio?

– Tak. Spróbuj się zastanowić.

Norah milczy przez dłuższą chwilę.

– Dobra, chyba coś mam. Jest w judaizmie taka koncepcja, którą szczególnie cenię. Nazywa się *tikkun olam*.

– *Tikkun olam* – powtarzam jak echo.

– Właśnie tak. Zakłada ona, że świat został rozbity na kawałki.

Panuje w nim chaos, dysharmonia. Naszym zadaniem – zadaniem wszystkich ludzi – jest poskładanie tych kawałków w całość. Ułożenie świata na nowo.

– Wierzysz w to? – pytam szybko. To nie przesłuchanie, jestem autentycznie ciekawy.

Wzrusza obojętnie ramionami, ale sekundę później jej oczy rozjaśnia błysk.

– Chyba tak. Nie wiem, w jaki sposób świat uległ rozbiciu. Nie

jestem też przekonana, czy faktycznie istnieje Bóg, który może nam pomóc w układaniu go na nowo. Ale sam rozłam jest dla mnie niepodważalny. Rozejrzyj się. Na świecie jest tyle zniszczenia. Co minutę, co sekundę pojawiają się nowe sprawy, o które można się martwić. Nie masz wrażenia, że nasz świat staje się coraz bardziej fragmentaryczny? Kiedyś wierzyłam, że im będę starsza, tym więcej będę rozumieć. Ale wiesz co? Z każdym rokiem życie staje się dla mnie coraz większą zagadką. Jest coraz bardziej złożone. Trudniejsze. Zamiast radzić sobie lepiej, wciąż widzę chaos. Kawałki rozbitego świata są wszędzie. I nikt nie wie, co z nimi zrobić. Czasem desperacko próbuję się czegoś uchwycić, Nick. Znasz to uczucie, kiedy pragniesz, żeby sprawy poukładały się, jak należy, choć jeden raz? Nie dlatego, że tak być powinno, ale żeby można było wierzyć, że to wciąż możliwe?

– Naprawdę masz wrażenie, że jest coraz gorzej? – zastanawiam się na głos. – Czy ludzkość nie ma się lepiej niż dwadzieścia lat temu? Albo sto?

– Owszem, ludzie poszli do przodu, ale nie jestem pewna, czy świat za nimi nadąza. Nie wiem, czy człowiek i świat stanowią jedność.

– Słuszna uwaga.

– Że co?

– Mówię, że słuszna uwaga.

– Jeszcze nikt nigdy, ot tak, po prostu, nie przyznał mi racji.

– Serio?

– Serio.

Norah opiera się o mnie i tym razem nie jest to efekt nagłego hamowania wagonika metra. I naraz czuję, jak bardzo to wszystko jest przypadkowe – my tutaj, ta noc. Chyba czyta mi w myślach, bo mówi:

– Dziękuję. Doceniam to.

Jej głowa opada mi na ramię. Pasuje idealnie. Podnoszę wzrok, chcę spojrzeć w niebo, ciekaw, czy zobaczę stąd gwiazdy. Nie widzę żadnej, więc przymykam oczy i wyobrażam je sobie wysoko nad głową. Cieszę się, że tym razem Norah nie może zajrzeć mi do głowy, bo chyba nie jestem gotów tak się przed nią odsłaniać. Siedzimy w miejskiej ciszy – czyli w lekkim szumie ulicy. Mój umysł odpływa, wraca do tego, co powiedziała moja towarzyszka.

I wtedy doznaję oświecenia.

– Kawalki to my – mówię na głos.

Norah nie odrywa głowy od mojego ramienia.

– Co? – pyta cicho, chyba ma zamknięte oczy.

– Myślę o tym, co powiedziałaś – wyjaśniam łagodnie. –

O rozbiciu. Może nie musimy składać fragmentów świata w całość.  
Może to my nimi jesteśmy.

Nie odpowiada, ale wiem, że słucha uważnie. Czuję, że właśnie zrozumiałem coś bardzo ważnego, choć jeszcze do końca tego nie rozumiem.

– Może wystarczy, że łączymy się ze sobą. W ten sposób zapobiegamy rozbiciu.

*Tikkun olam.*



## 16. NORAH

Znów milczymy, ale nie czuję się skrępowana. On chyba też nie. To pewnie efekt świtu – jesteśmy jednocześnie okropnie śpiący i pobudzeni. Sobota płynnie przechodzi w niedzielę, trudno oderwać wzrok od chmur wiszących nad kanionem budynków, ciemnoszarych, miejscami zabarwionych żółtawo światłem lamp ulicznych. Na dole, przed wejściami do wieżowców, kręcą się bankierzy i sekretarki. Palą papierosy, a eleganckie samochody czekają przy krawężnikach w oczekiwaniu na pracowników nocnej zmiany. Istoty ze świata finansów zdają się nie zauważać lub celowo ignorować fakt, że czas może się zatrzymać w każdej chwili. Nie widzą potrzeby, by „odpocząć dnia siódmego po całym swoim trudzie”. Idźcie do domów, cieszcie się życiem! Tak jak ja teraz, kiedy was obserwuję.

Otulająca nas cisza jest przyjemna i bezpieczna, ale jestem zbyt zachłanna, by nie skorzystać z okazji i nie próbować poznać Nicka lepiej. Moja taktyka jest prosta: powiem mu coś o sobie, w ten sposób na pewno dowiem się czegoś o nim.

– Flanelowe koszule kupuję w dziale męskim sklepu Marshalls – informuję w odpowiedzi na jego wcześniejsze pytanie.

– Moja mama uwielbia to miejsce – odpowiada.

– Masz mądrą mamę.

Czekam. Czy powie mi o niej coś jeszcze?

W głowie próbuję poukładać to, czego dowiedziałam się na jego temat do tej pory. Jednocześnie moje usta nawijają jakieś głupoty o sklepie z ciuchami. Ale najbardziej zajmuje mnie analiza tego, co powiedział o *tikkun olam*: „Może nie musimy składać fragmentów świata w całość. Może to my nimi jesteśmy”.

Co już wiem o tym chłopaku? Sprawdźmy. Zwolennik ruchu straight edge: nie pije, nie pali, nie bierze. Wytrzymał pół roku w związku z Tris. Basista kapeli queercore’owej, obiecujący tekściarz. Wczuł się głęboko (jak na goja) w koncepcję *tikkun olam*. Cholernie

dobry w całowaniu – ale NIE zgodził się na niezobowiązujący seks w garderobie, proponowany mu przez kompletną idiotkę podczas koncertu Where's Fluffy kilka godzin temu. Mimo niezręcznej sytuacji jakiś czas później wyskoczył jak dzin z butelki w Wisłę (duży plus). Z drugiej strony w metrze nie wykonał żadnych konkretnych ruchów, chociaż okazji było kilka (hamowanie pociągu na każdej stacji, wpadające na siebie ciała), w dodatku więcej niż sprzyjających (przyciemnione światła). I co ja mam z nim zrobić?

Może napuścić na niego Randy'ego z Are You Randy?

Nie ma mowy, żeby Nick był w stu procentach heteroseksualny.

Jakby chcąc potwierdzić moje podejrzenia, Nick wyjmuję z kieszeni džinsów pomadkę do ust i smaruje wargi. Sama używam podobnej, ale bezzapachowej. Jego jest wiśniowa. W głowie zapala mi się czerwona lampka.

Jeśli okaże się gejem, wścieknę się jak cholera. Dlaczego im przypadają same najlepsze osobniki?! No i na pewno wezmę to bardzo, ale to bardzo do siebie. Utrata Nicka na rzecz przeciwnej drużyny byłaby niepowetowaną stratą. Już raz przeżyłam coś podobnego, więcej nie potrzebuję, bardzo dziękuję. Pierwszy był Scottie Gross, któremu poświęciłam całe pięć lat szkoły niedzielnej w podstawówce. Nasz pierwszy pocałunek zaplanowałam na wieczór po uroczystości własnej bat micwy – i pewnie doszłoby do niego, gdyby mojego Scottiego nie dopadł najpierw Ethan Weiner. Druga strata – George Michael, mój muzyczny bohater, który przeszedł trudną drogę od tragedii do sukcesu, ikona serii *Behind the Music* na kanale VH1, niepełnoletnia fantazja o pełnoletnim partnerze – niespełnione marzenie Lolity.

NIE-SPRA-WIED-LI-WE!

Z drugiej strony może podział na „hetero” i „homo” tylko wszystko komplikuje? Może istnieje jedna seksualność, elastyczna, nie do końca przewidywalna, niczym artysta cyrkowy, którym zawsze chciałam zostać; swoją drogą może to jednak dobry pomysł, skoro porzuciłam studia, a do kibucu się nie wybieram? Chciałabym mieć giętkość zawodowej gimnastyczki. Może Tris wpadałaby czasem na moje występy – mogłaby przekazać mi jeszcze kilka mądrości doświadczonej grupie.

Jakakolwiek by była seksualność Nicka, jedno jest pewne: to okaz zbyt idealny, żeby istnieć naprawdę. Pisze genialne piosenki. Jest nieludzko przystojny. Do tego mądry i – jakby tego było mało – wrażliwy. Przeżyłam z nim więcej przygód i chwil zwątpienia w ciągu jednej nocy niż przez całe dotychczasowe życie. Znow kłuje mnie w sercu; czuję, że muszę się dowiedzieć o nim WSZYSTKIEGO, i to już, zaraz. Im więcej od niego dostaję, tym więcej pragnę. Chcę posłuchać o jego planach na przyszłość, o jego rodzinie, muzyce, marzeniach, smutkach – jestem gotowa na całe to sentymentalne gówno.

Zastanawiam się, czy on też uważa, że *Hideous Becomes You*, kawałek Fluffy'ego, to najpiękniejsza piosenka miłosna na świecie i czy kiedyś ją dla mnie zaśpiewa. Ja występ wokalny mam już za sobą, była piosenka o zauważaniu, był też wywód o *tikkun olam* – niby nic, ale to dla mnie naprawdę ważna sprawa, swego rodzaju świętość. Zastanawiam się mimochodem, czy nazwiemy naszego syna Salwator. To chyba zupełnie normalne imię. Czy ludzie niedeklarujący się jako stuprocentowi heteroseksualiści oddają się prokreacji?

Muszę być ostrożna: Jeśli mój mózg szybko nie przejdzie na niższe obroty, wyobraźnia poniesie mnie tak daleko w stronę „co by mogło się wydarzyć”, że nic nie będzie już mogło działać się po prostu, w teraźniejszości.

Nick ma rację, bliźniaczki Olsen tkwią w niezdrowej, wzajemnie zależnej relacji. W pewnym sensie je rozumiem. Z jednej strony mam ochotę wyssać z Nicka jak najwięcej informacji, ale z drugiej chciałabym pogadać o nim z Caroline. Gdyby była tu teraz razem ze mną, rozłożyłybyśmy chłopaka na czynniki pierwsze, wzorem bohaterek *Mojego tak zwanego życia*.

Rayanne: On raczej myśli o tobie. Nie przez cały czas, ale na pewno myśli. Bardzo chciałby lepiej cię poznać, tylko ma na głowie mnóstwo innych rzeczy.

Angela: Ale to takie niesprawiedliwe: ja mam w głowie tylko i wyłącznie jego. Dlaczego to ja poświęcam się drobiazgowym analizom jego osoby, a on w tym czasie na luzie zajmuje się innymi sprawami?

Rickie: Nie wiem, czemu tak jest, ale to, co powiedziałaś, jest bardzo głębokie.

Mam wrażenie, że mogłabym siedzieć i rozmawiać z nim przy dużej Park Avenue całą noc. A nienawidzę tej części miasta.

Niestety, nie jest nam to pisane. Musimy zmienić miejscówkę. Jesteśmy trzeźwi jak świnie, a głupawka, jaką odczuwamy, to efekt niewyspania, ale najwyraźniej zostaliśmy uznani za niebezpiecznych. Z jednego z pobliskich budynków wychodzi grupka ochroniarzy. Wyglądają poważnie, zupełnie poważnie każą też nam się wynosić.

Posłusznie schodzimy z murku fontanny i ruszamy przed siebie, na zachód. Czy Nick też myśli teraz o mnie?

– Twój tata jest szefem wytwórni i pracuje na Dolnym Manhattanie. Czy jest powód, dla którego nie chcesz zdradzić mi jego imienia? Myślisz, że go kojarzę?

– Na pewno go kojarzysz – odpowiadam enigmatycznie. Zanim powiem mu więcej, chcę mieć pewność, że Nick nie wykorzysta naszej znajomości tylko po to, żeby przekazać przeze mnie nagranie demo swojego zespołu.

Na szczęście nie drąży tematu.

– Pewnie poznajesz mnóstwo sław.

– Kiedyś tak, gdy byłam młodsza – przyznaję. – Cały czas jeździliśmy po festiwalach i na koncerty. Od urodzenia mieszkam w tym samym domu w Englewood Cliffs, ale mam wrażenie, że częściowo dorastałam w Nashville, Memphis, Nowym Orleanie, Chicago i Seattle. Byliśmy wszędzie tam, gdzie scena muzyczna robiła się interesująca. Cieszę się, że przez tatę miałam okazję poznać wielu świetnych artystów. Niektórzy z nich to prawdziwe legendy. Ale parę lat temu doszłam do wniosku, że łatwiej jest ich nie znać. To pozwala cieszyć się samą muzyką, bez żadnych uprzedzeń. Bo kiedy słuchasz o ich wygórowanych wymaganiach, wybrykach, beztroskim trybie życia albo dowiadujesz się, że twój tatuś nie przyszedł na szkolne przedstawienie, bo główny wokalista twojego ulubionego zespołu (którego singiel tak bardzo ci się podobał!) robi z jego życia prawdziwe piekło – wtedy zaczynasz mieć wątpliwości, czy chcesz kogoś takiego dalej słuchać.

– Dlatego tak bardzo cenię Where's Fluffy. Zero gwiazdorstwa, czysta muzyka.

– Niby tak, ale muszę cię nieco zmartwić, mój drogi: Lars L. to

rasowy ćpun, Owen O. – alkoholik, a Evan E. jest po prostu walnięty. Skąd wiem? Ojciec próbował podpisać z nimi kontrakt. Ale tak, Fluffy piszą genialne piosenki, robią świetną muzykę. To powinno być najważniejsze, prawda?

Nick szturcha mnie łokciem i uśmiecha się szelmowsko.

– Nie powiedziałaś mi nic, czego nie widać po nich gołym okiem. Wsłuchaj się kiedyś w słowa *High is Better Than Low*. Lepiej być na haju niż w dołku. Jaśniej już chyba nie można.

Czy powinna mnie zastanowić jego znajomość narkotycznego slangu?

– Ale właśnie to lubię w punku – ciągnie. – To muzyka z poczuciem humoru, samokrytyczna, z dystansem. Nie udaje, że jest czymś innym. To taki zdrowo trzepnięty funk z heavymetalowym zawieszeniem.

No dobrze, już się nie martwię.

– Zdradzić ci tajemnicę? – pytam zalotnie.

Nick unosi brew, niczym aktor w starym kinie. Wątpię, żeby skubał brwi czy używał wosku, ale wydają mi się podejrzenie lśniące i kształtne. A może jestem już przewrażliwiona?

– Oczywiście.

– Nie mam daru pisania piosenek, ale chciałabym wymyślać dla nich tytuły. Szczególnie dla muzyków country.

– Pochwal się jakimś.

– *Porzuciłeś moje serce i teraz leży martwe jak przejechany skunks* – recytuję. – Jeśli masz ochotę wymyślić do niego słowa, będę zaszczycona – dodaję z uśmiechem.

Nagrodę „Tytułu wszech czasów” osobiście przyznałabym *Something About What Happens When We Talk* – czyli „To, co dzieje się, kiedy rozmawiamy” Lucindy Williams. Mama i tata tańczą do tego kawałka mocno wtuleni w siebie przy okazji wszelkiej maści prywatnych rocznic (pierwszej randki, pierwszego pocałunku, pierwszego razu, kiedy nie chcę nawet myśleć, co robili, zaręczyn, ślubu i tak dalej. – tak, tak, celebrują je wszystkie), choć uważam, że są na to zdecydowanie za starzy i powinni już dać sobie spokój. Ta piosenka przyszła do mnie w tej chwili, bo tak dobrze rozmawia mi się z Nickiem.

Z całej siły powstrzymuję lekko obsesyjną chęć, by zaśpiewać mu jej fragment: „rozmowa z tobą jest jak narkotyk”. Konwersacje z Talem składały się w dwóch części z dyskusji i w jednej części z normalnej rozmowy. Czułam się wyróżniona, kiedy rzucał mi swoje ulubione „dobrej nocy”. Lubiłam w nim też to, że interesowało go coś więcej niż imprezy. Jednak kiedy wchodziliśmy w dialog, był on zdecydowanie nierówny i szybko zmieniał się w monolog – nie mój. Pozostawało mi słuchać. Z Nickiem jest inaczej

Dochodzimy do Siódmej Alei i obydwójce odruchowo skręcamy na południe. Nie ustaliliśmy, dokąd idziemy. Jest trochę jak wcześniej, w klubie, kiedy trzymaliśmy się mocno za ręce, a ja prowadziłam nas przez tłum do garderoby. Po prostu jesteśmy razem. Cały Times Square zdaje się machać do nas przyjaźnie. Jest bosko. Świat wydaje się pełen możliwości.

Dzwoni mój telefon, to „tat-ko” – tak mam go zapisanego w książce kontaktów. Muszę odebrać, to jedna z niewielu zasad, które zobowiązałam się przestrzegać podczas nocnych eskapad.

– Przepraszam na chwilę – mówię do Nicka. Robi mi się głupio, że nie odebrałam, kiedy dzwoniła Caroline.

– Nie ma sprawy – odpowiada i odchodzi na bok. Nie mam problemu z rozmawianiem przez telefon przy innych, ale doceniam ten gest. Z drugiej strony sama nie wiem, co myśleć o jego dobrym wychowaniu – czy nie jest trochę zbyt grzeczny jak na hetero?...

– Cześć, tato – mówię do słuchawki.

Stoję na skrzyżowaniu świata, gdzie migają czerwono-białe neony samochodowych świateł i żółte taksówki, gdzie przestrzeń wibruje, pulsuje muzyką i ludźmi, gdzie mieszają się niebezpieczeństwo i ekscytacja. Głos ojca sprawia jednak, że nawet w tym dziwnym miejscu czuję się, jakbym znów miała pięć lat, a on miał zaraz położyć mnie, swoją małą księżniczkę, spać.

– Wszystko w porządku, kochanie? Mam tu ciekawe zbiorowisko: dwóch trzeźwych nastoletnich muzyków i zupełnie nietrzeźwą Caroline. Ale brakuje mi Nory.

– Nic mi nie jest, tato. Właściwie to jest mi nawet całkiem dobrze.

– Powiesz mi, jak ma na imię ten szczęściarz?

- Nie.
- Kiedy zamierzasz wrócić do domu?
- Nie wiem.
- A czy kiedykolwiek jeszcze będziesz mnie słuchać?
- Nie.

Westchnienie.

- Proszę, uważaj na siebie – mówi cicho.

Szybko podejmuję decyzję: nie musi wiedzieć, że stoję pośrodku Times Square w towarzystwie chłopaka, którego poznałam kilka godzin temu. Oszczędzę mu tego.

– Zajmiemy się Caroline, o nią się nie martw. Mama robi właśnie jajecznicę dla Thoma i Scota. Miłe z nich dzieciaki.

– Tato?

– Tak?

– Chyba popełniłam głupstwo, odrzucając ofertę Browna.

– Co ty nie powiesz.

– Nie wiem, co teraz robić. Mieliście rację co do Tala... ty, mama, Caroline, wszyscy. Tego błędu już nie popełnię. Ale i tak jestem w kropce.

– Powiem ci, co zrobisz: spokojnie pójdziesz na studia. Twój stary ojciec wyjął list ze skrzynki, kiedy wyszłaś z domu dziś rano. Zastąpił go innym pismem i czekiem z zaliczką na chesne.

Powinnam być mu wdzięczna. Powinnam się cieszyć.

– NIE MIAŁEŚ PRAWA! TO NARUSZENIE PRAWA DO PRYWATNOŚCI! GRZEBANIE W CUDZEJ POCZCIE TO PRZESTĘPSTWO FEDERALNE!

Ojciec chichocze jak dziki.

– Uważaj, bo się przejmę. Nie siedź za długo, mała. Pa!

I się rozłącza.

Może i jest pieprzonym korporacyjnym hipisem, ale kocham mojego staruszka.

Zresztą nie mam czasu się denerwować, bo właśnie zaczyna lać jak z cebra. A co robi Nick? Tańczy jak szaleniec, z rozłożonymi ramionami, z twarzą wystawioną na deszcz. Bije z niego czysta radość.

Nie mówię mu, że skończyłam rozmawiać. Po prostu patrzę.

Jeszcze parę godzin temu, kiedy go obserwowałam, przywodził mi na myśl fragment piosenki The Smiths. Tej, która leciała wcześniej w klubie. Morrisey śpiewał:

*What she asked of me at the end of the day  
Caligula would have blushed*

„Na koniec dnia poprosiła mnie o coś takiego, że nawet Kaligula by się zarumienił”. Chyba nie będę więcej próbowała zgadywać, czy Nick jest homo, czy hetero, czy może gdzieś pośrodku. W głowie mam jedną myśl: chcę z nim zatańczyć w deszczu. Chcę leżeć obok niego w ciemności i patrzeć, jak oddycha, jak śpi. Chcę zastanawiać się, o czym lub o kim śni, i nie czuć się zdołowana, gdy okaże się, że akurat nie o mnie.

Nie wiem, czy zostaniemy przyjaciółmi, czy kochankami, a możemy będziemy się tylko kolegować (to akurat byłoby nie dość, że rozczarowujące, to do tego koszmarne nudne). Ale mam pewność, że połączy nas coś więcej niż ten jeden wieczór.

To mamy jak w banku.



## 17. NICK

Śpiewam w deszczu. *I'm singing in the rain*. To cholernie wspaniałe uczucie. Niespodziewana ulewa? Oddaję się jej cały. Bo co właściwie robić w takiej sytuacji? Szukać schronienia? Przeklinać? Nie – kiedy pada deszcz, nic nie można na to poradzić. Człowiek szczerzy się tylko jak wariat i tańczy. Jeśli deszcz daje ci radość, to nie jest jeszcze z tobą tak źle. Kiedy spada pierwsza kropla, Norah rozmawia przez telefon. Obserwuję ją pilnie: to niezwykle złożona osoba, w jednej chwili krzyczy ze złości, choć jest wyraźnie czymś uradowana, a zaraz potem udaje, że słucha kogoś po drugiej stronie słuchawki, choć widzę, że mi się przygląda. Wreszcie wkłada telefon do kieszeni Salwatora i podchodzi do mnie. Nie wiem, skąd wzięło się powiedzenie „leje jak z cebra” – czy chmury zbierają deszcz do specjalnych wiader i tylko czekają na odpowiednią okazję, żeby sprawić nam prysznic? Dają upust swoim pragnieniom? Patrzę na nią, ona patrzy na mnie i nagle coś we mnie puszcza. Krople moczają moje ubranie. Włosy wpadają mi do oczu. Przede wszystkim czuję jednak niesłychaną lekkość. Jaka ona jest piękna, kiedy nie może się zdecydować, czy się uśmiechnąć. Stoimy na krawędzi Times Square, pełnego światła, kołyszemy się niespiesznie, niebo pęka nad nami. Zapraszam ją do tańca. Łapie mnie za rękę. Stoimy na chodniku, objęci ciasno, jeszcze ciaśniej i wtedy patrzy na mnie; w jej oczach jest pytanie. Nie musi nic mówić, i tak znam odpowiedź.

– Co chciałbym teraz zrobić? To – mówię cicho i składam na jej ustach pocałunek, tu, na Times Square. Całuję ją tak, jak ludzie żegnający się na ulicy, choć to przecież przywitanie. To.

Rozchyłam usta, jej wargi robią to samo. Mam wrażenie, że oddychamy sobą nawzajem. Jest cała mokra, jest tuż obok, pragnę, pragnę, pragnę jej tak mocno. Odsuwa się na moment i znów patrzy na mnie uważnie. Oczy jej się śmieją, ale zaraz poważnieje. Dobrze wiem, co czuje. To kolejne pytanie, na które też mam odpowiedź. Tym razem ona przyciąga mnie za kark, przywiera do mnie mocno, nie zamierzam

jej wypuszczać. Ludzie na nas patrzą – jest ich niewielu i większość nie wygląda na trzeźwych, a jednak rozpraszają moją uwagę. Przychodzi mi do głowy pewien pomysł. Mówię jej o tym, łapię ją za rękę, nasze palce się splatają. Prowadzę ją przez skrzyżowanie, pod światłami i markizami, pod wejście do Marquisa. Patrzy na mnie zdeglustowana. Hotel Marriot na Times Square nie jest miejscówką marzeń.

– Zaufaj mi – proszę i całuję ją ponownie. W windzie są z nami dwie osoby, ale wysiadają na ósmym piętrze. Pytam ją o jej szczęśliwą liczbę i wybieram piętro o tym samym numerze. W korytarzu jest pusto i – co najlepsze – cicho. Z początku nie mogę znaleźć tego, czego szukam, ale wreszcie jest. Tyle że Norah nie może już wytrzymać – jej palce wślizgują się pod brzeg mojej koszulki. To tak podniecające, że na moment zapominam, gdzie jesteśmy i rzucam się na nią bezmyślnie, na korytarzu, choć z dala od przeszklonej części atrium i wind. Staram się tylko omijać drzwi, nie chcemy nikogo obudzić. Opieramy się o ścianę; jej dłonie przesuwają się po mojej skórze, w dół, do paska, i w górę. Jest mi bardzo, bardzo przyjemnie. Moje palce odnajdują guziki na jej koszuli, obejmują jej piersi. Jesteśmy mokrzy od deszczu i gotowi na wszystko. Całujemy się przez dobre pięć minut. Jezu, ależ ona całuje! Najpierw górna warga, potem dolna – idę za jej przykładem i robię to samo. Potem robi coś dziwnego z językiem, chyba nie do końca to, co chciała, ale nieważne, obściskujemy się jak szaleni. Wspominałem już, jak mi dobrze? Po chwili odpuszcza językowe próby i mam wrażenie, że od razu się rozluźnia. Przestaje myśleć, odpuszcza, a ja jestem zachwycony: przestała się starać, zaczęła po prostu być.

Prowadzę ją do drzwi z napisem MASZYNA DO LODU I AUTOMATY Z NAPOJAMI. Parska śmiechem.

– Nie wybrzydź – mówię z uśmiechem. Niby gdzie mamy się podziąć? W pomieszczeniu nie jest nawet tak chłodno, słyszeć tylko ciche buczenie urządzeń.

– Chcesz to zrobić tutaj? Poważnie? – Wygląda na zdziwioną. Przyznaję, że nie myślę teraz logicznie. Nie w takich okolicznościach.

– Za bardzo mi się podobasz – odzywam się i znów się całujemy. Norah znajduje włącznik światła, więc teraz otacza nas feeria kolorów puszek z napojami. W pewnym sensie nasza rozmowa dalej się toczy,

jednak tym razem prawie bez słów. Mówią za nas gesty, szarpnięcia, oddechy, westchnienia i oczekiwania.

– Wszystko dobrze? – pytam.

– A u ciebie? – odpowiada pytaniem.

– Nawet lepiej niż dobrze.

Mniej więcej tak przebiega nasza rozmowa. Boże, ta dziewczyna naprawdę mi się podoba.

– Najwyższa pora, żebyś zrzucił trochę tych mokrych ciuchów – oznajmia i zaczyna ściągać ze mnie koszulę. Męczy się trochę z guzikami, a ja – sam nie wiem czemu – zaczynam ją łaskotać. Widzę, że ją to wkurza, ale i tak wybucha śmiechem. Nagle nabiera powietrza i milknie – pewnie nie chce obudzić gości. Kończy rozpinanie i koszula trafia na ziemię. Nie pozostaję dłużny i zdejmuję z niej kurtkę. Wtedy ona robi coś zupełnie zaskakującego: zabiera ją ode mnie, składa ostrożnie i niemal z nabożeństwem umieszcza na podłodze. Po kurtce czas na mokrą flanelę i T-shirt. Przebiega palcami po włoskach, które rosną mi na piersi. Schodzi niżej, do tych, których szlak kończy się za paskiem. Jeszcze nigdy nie czułem takiego pożądania. Rozpina pasek, wysuwa go ze szlufek, rzuca. Rozpina pierwszy guzik spodni – i tylko pierwszy. Robię to samo z jej džinsami.

– Wszystko dobrze? – pytam ponownie

Tym razem to ona odpowiada twierdząco. Mówi, że jest jej lepiej niż dobrze.

Zwieramy się w uścisku, spięci niewidzialną klamrą. Jest inaczej niż w klubie – tym razem nie próbujemy sobie niczego udowodnić. Pokazujemy za to, że nie ma w nas strachu, że nie musimy o tym tyle myśleć, że nie musimy się hamować ani popędzać.

– Powoli – proszę, gdy jej dłoń dotyka mojego rozporoka. Nie ma pośpiechu. To dzieje się naprawdę. To wyłącznie nasza chwila.

Denerwuję się jak cholera. Cały aż drzę z nerwów. Obejmujemy się, jej dłonie wędrują na moje plecy, a potem w dół, niżej, pod spodnie, pod gumkę bokserek. Biorę ją w ramiona, dotykam jej karku, wsuwam palce w jej włosy. Jedną dłonią przechodzę do przodu, muskam jej piersi, gładzę przestrzeń między nimi, zjeżdżam niżej i znów do tyłu. Tkwimy spleceni. Maszyna do lodu mrczy wymownie

i niespodziewanie ożywa z trzaskiem łamanych kostek. Wybuchamy cichym śmiechem i przez moment przyglądamy się sobie w świetle automatu. Przerwa. Pauza. Stop.

– Co my robimy? – szepcze Norah.

– Nie mam pojęcia.

Przytula się do mnie mocno, czuję jej mokre od deszczu spodnie.

– Bardzo dobra odpowiedź – mówi z uśmiechem.

Mam ochotę ją całować i nie liczyć mijającego czasu. Chciałbym trzymać ją w objęciach tak długo, aż poznałbym na pamięć jej skórę. Chcę, chcę, chcę.

Wtedy ona obejmuje mnie w pasie. Kciuki wsuwa pod pasek spodni.

I niżej.

Jeszcze niżej.

Biorę głęboki wdech.

## 18. NORAH

Kiedy moje życie stało się tak cudowne? Gdy zgodziłam się zostać pięciominutową dziewczyną Nicka czy kiedy zrozumiałam, że „oziębłość” to kwestia wyboru?

W hotelowym schowku jest bardzo, bardzo zimno.

Za to ciało Nicka jest bardzo gorące.

Jego ciepło – moje ciepło – nasze ciepło – sprawia, że niemal zapominam o tym, jak bardzo zmokłam podczas ulewy i że chowamy się teraz w cholernym schowku w Marriotcie ze świecącym znakiem pepsi. Chyba naprawdę wpadłam po uszy, bo przecież gardzę pepsi i piję tylko colę – jestem w stanie z zamkniętymi oczami rozpoznać ich smaki. Mmmmm, smaki. Jego usta smakują tak dobrze, zresztą jego skóra też. Cały jest prze-pysz-ny. Teraz, kiedy zdjął mokrą koszulkę, moje ręce schodzą niżej i niżej, ale nosem wodzę po jego szyi i wyraźnie czuję, że nie pachnie żadnymi perfumami. To, co czułam wcześniej, musiało być odświeżaczem powietrza, którym Toni lubi pryskać w klubowej toalecie. Nick, którego mam przed sobą – obnażony do pasa, dyszący ciężko, czuły i dobry, diabelnie seksowny – pachnie naturalnie, piżmem i deszczem. Nie mogę się nim nasycić.

Teraz mam pewność: Nick jest hetero. Uwierzyłam. Alleluja! Amen! Dzięki, J. Ch.!

Mam ochotę poddać mu się kompletnie, zatonać w nim do końca. Pada na niego światło z automatu z napojami, ale ja czuję, jakby spowila mnie ciemność. Nie mrok smutku, a zapomnienia. Widzę, słyszę, czuję tylko to, co podają mi usta i dłonie, żar naszych splecionych ciał, natarczywość naszych pragnień. Nie istnieje nic poza nim, mną, dotykiem, poszukiwaniem, pragnieniem, potrzebą, wymianą, posiadaniem. Jak dobrze, że ruch straight edge nie zabrania cielesności.

Nick przyciąga mnie stanowczo, nasze usta spotykają się ponownie, wpadam w pocałunek jak w studnię bez dna, czuję jego oddech i bicie serca pod ręką, którą trzymam na jego piersi. Mam

ogromną ochotę dotykać go bez końca, ale jego czułe wargi kompletnie mnie paraliżują. Ręce Nicka zdają się doskonale wiedzieć, co robią. Już teraz wiem, że to amator kobiecych piersi, a nie ud. Jego ruchy są delikatne, powolne, drażniące – zdecydowanie bardziej spokojne od plądrująco-zaborczych ruchów Tala (dobrze go wyszkoliłaś, Tris). Moja klatka piersiowa wypręża się odruchowo, pragnie więcej, więcej, więcej. „Hej, ręce, wracajcie, gdzie idziecie?” – mam ochotę krzyknąć, ale moje usta są zbyt zajęte czym innym. Teraz Nick zawędrował na plecy – szuka sprzączki od stanika. „Kochany, ten model zapina się od przodu” – powinnam mu wyjaśnić, ale chwilowo jest mi zbyt dobrze, żeby przerywać pocałunek. Niech sobie radzi.

Całuję go w usta, potem w podbródek, w szyję. Idę na południe przez jego pierś. Chłopak porzuca poszukiwania sprzączki i zaczyna delikatnie mierzwić mi włosy. Zastanawiam się, czy wie, że dotykanie skóry na głowie działa na mnie niezwykle podniecająco.

Tak bardzo mam na niego ochotę, że nie potrafię się powstrzymać, choć wiem, że moglibyśmy z tym poczekać. Ciekawość, chęć sprawdzenia nie-oziębłej Nory w akcji jest jednak silniejsza. Podnoszę się i wspinam na palce, by wyszeptać mu do ucha, co chciałabym z nim zrobić. Ku własnemu zaskoczeniu wyrażam swoje chęci w zupełnie niewyuzdany sposób.

– Serio? – Nick dziwi się szeptem. Chyba nie jest przekonany, że to dobry pomysł, ale jego oddech przyspieszył, więc jestem dziwnie pewna, że też ma ochotę na krótką jazdę próbną.

– Serio – odpowiadam równie cicho.

W tym momencie mój umysł opuszcza hotelowy schowek, jakby chciał powiedzieć: „Nie mogę na to patrzeć. Jesteś dorosła. Wiesz, co robisz”.

Trzymam go w obu dłoniach – łał, nie wiedziałam, że jestem dwuręczna – czuję go, czuję go, czuję go tak mocno. Słyszę, jak dyszy – ciężko i delikatnie jednocześnie, jakby szeptem. Jego palce przebiegają po moich mokrych włosach. Pragnę go. Pragnę tego. On i to stanowią jedność, a ja jestem okropnie chciwa i chcę wszystkiego naraz.

– Norah – szepcze w taki sposób, że choć w pomieszczeniu jest lodowato, we mnie bucha żywy płomień. Nagle rozumiem, o co chodziło

w tych wszystkich harlequinach, które podczytywałyśmy z Caroline w podstawówce.

Przejeżdżam językiem po pasku włosków, który ginie w jego bokserkach. Moje dłonie są tuż obok. Poruszone serce zdaje się zwalniać. Mam na to wielką ochotę, ale jestem też absolutnie przerażona. Czuję się gotowa – a nawet WIĘCEJ niż gotowa – ale boję się, że coś schrzanię.

– Norah – powtarza chłopak i wtedy myślę, że może nie da się tego zrobić źle. Nie z nim. Mam nadzieję, że mi ufa. Moje serce znów wali jak szalone. Zaczynam rozpinać mu rozporek, ale podnoszę głowę, szukając wzroku Nicka. Jego oczy są przymknięte, więc proszę go po cichu: Poprowadź mnie. Powiedz, jak mam to zrobić.

Chcę, żebyśmy obydwójmy słuchali swoich intuicji. Nick otwiera oczy i widzę w nich wdzięczność. To, co czuję pod dłonią, upewnia mnie, że on też jest już gotów. Nie ma na co czekać. Uwaga, nadchodzę! Albo i nie.

Ktoś otwiera drzwi i zapala światło. Jestem autentycznie wkurzona. O dziwo, nie mam nawet ochoty zapaść się pod ziemię ze wstydu – ale chcę umrzeć, bo tak bardzo pragnęłam Nicka! Co za przebrzydły dupek śmiał przerwać nam w takiej chwili?!

W wejściu do pomieszczenia z napojami stoi para staruszków. Ona ma na sobie wyszywany szlafrok, a na nogach tanie papcie i wygląda zupełnie jak siostra mojej babci, ciocia Hilda. Ciotka mnie nie cierpi, bo uważa, że mam niewyparzoną gębę, po tym jak stwierdziłam, że ciasto babci smakuje mi bardziej od upieczonego przez nią. Mężczyzna ma na sobie bokserki, zwykłą koszulkę i – ja piernicę, nie wierzę – podwiązki do skarpet na łydkach. Myślałam, że takie rzeczy można zobaczyć tylko w muzeum mody. Ma pomarszczoną twarz i wygląda jak wujek filmowego E.T.; w rękę trzyma wiaderko. Po cholere tym dziadkom lód o tej porze?

Ich siwe głowy potrzebują dłuższej chwili, by zrozumieć, czego są świadkami.

– Ojej – mówi wreszcie klon ciotki Hildy.

– O rety – wtóruje jej mąż.

Próbuję sobie wyobrazić, co właśnie zobaczyli w polaroidowym

fleszu włączonego światła. W duchu modlę się, żeby cierpieli na choćby lekką postać demencji. Oto Nick: bez koszulki, jeszcze w spodniach, ale z rozpiętym rozporkiem, stoi oparty o automat z pepsi. A to Norah: wilgotne, potargane przez Nicka włosy, w mokrych spodniach z rozpiętym guzikiem, również bez koszulki, na szczęście w czarnym, koronkowym biustonoszu. Na kolanach. M-A-M-Y W-A-S.

Łudzę się, że ciotka Hilda zwróci uwagę na to, jak starannie złożyłam kurtkę Salwatora. Na pewno pomyśli, że jestem porządną osobą.

Nasze milczenie trwa całą wieczność. W końcu Nick nie wytrzymuje.

– Czy byliby państwo tak uprzejmi i zgasili światło, gdy będziecie państwo wychodzić?

– O rety – powtarza po mężu kobieta, ale posłusznie pstryka wyłącznik. Tuż przed wyjściem rzuca mi ostatnie spojrzenie i mam dziwne wrażenie, że to spojrzenie porozumiewawcze. W którymś momencie swojego życia ta kobieta czuła przeciw to, co ja w tej chwili. Kiedy puszcza do mnie oko, zyskuję pewność, że ciocia Hilda i wujcio E.T. też nie próżnowali podczas swojego wakacyjnego wypadu do Nowego Jorku.

Wróciła ciemność, ale magia prysła. Jestem o tym przekonana, bo Nick nie mówi już szeptem.

– Nie wiem, czy naprawdę byliśmy na to gotowi.

Niby jest zupełnie poważny – do tego ma absolutną rację – ale obydwójce wybuchamy śmiechem. Bawi nas absurdalność tego, co się stało. Chyba śmiejemy się też z pewną ulgą, że ten absurd udaremnił rozwój sytuacji.

Ciocia Hilda wpuściła mój rozum, kiedy wychodziła ze schowka. Sięgam po koszulkę i Salwatora, Nick też się ubiera. Naprawdę jestem wdzięczna, że zostaliśmy przyłapani. Pragnę tego chłopaka, i to bardzo, ale wszystko dzieje się trochę za szybko. Pociąg wyjedzie w końcu ze stacji. Po co ten pośpiech?

Znów mamy na sobie mokre ubrania, wciąż się chichramy, ale jednocześnie, jakby przy okazji, zaczynamy się całować, oparci o maszynę do robienia lodu. Nick popycha mnie niechcący i automat



zaczyna wypluwać lodowate kostki prosto na podłogę, zalewają nas niczym lawina, łapie nas kolejny atak śmiechu i uciekamy ze schowka.

Całujemy się na korytarzu, przy ścianie.

Całujemy się w windzie. Jeździmy w górę i w dół, wczepieni w siebie. Poza kabiną czas płynie normalnie, ale w środku się zatrzymał. Mamy swój własny grafik: całowanie, chichotanie, oddychanie, branie, dawanie, pragnienie.

Nie poznaję samej siebie. To Norah-ryzykantka, Norah-poszukiwaczka przygód. Przecież jestem miłą, żydowską dziewczyną z Englewood Cliffs w stanie New Jersey. Może i mam niewyparzoną gębę, ale nikt wcześniej nie przyłapał mnie na schadzce w hotelu. I to w Marriocie! Lecz oto jestem tutaj i nie zamieniłabym tego na nic w świecie. Jakie zaklęcie rzucił na mnie Nick?

Nie poznaję tej Nory, ale zdążyłam ją polubić. Mam nadzieję, że zostanie ze mną na chwilę. Z chęcią udzielię jej azylu.

Winda otwiera się na parterze, gdzie witają nas pracownicy hotelowej ochrony. Kiedy eskortują nas na zewnątrz, mam wielką ochotę wdać się z nimi w dyskusję na temat swobód obywatelskich. Nie robię tego tylko dlatego, by nie tracić czasu.

Wychodzimy na zewnątrz, trzymamy się za ręce i chichoczymy jak głupki, wciąż mokrzy od deszczu i potu. Kręci nam się w głowie, bo świt zdążył przejść w poranek, jesteśmy w centrum świata i w centrum własnego mikroszechświata. Do tego jest wiosna, powietrze pachnie świeżością. Boże, pobłogosław Manhattan. Dochodzi szósta rano w niedzielę, a śmieciarki i tak suną rzędem po ulicy. Pracownicy w jaskrawopomarańczowych uniformach sprzątają pozostałości nocy. Nawet wiosenna ulewa nie zmyła całkowicie Eau de Times Square, z nutą moczu/śmieci/wymiocin. Mimo to jest idealnie, tu i teraz.

– Dokąd teraz? – pyta Nick.

– Do domu – odpowiadam.

Musimy znaleźć Jessie i opuścić wyspę.

Mam tyle do zrobienia. Porozmawiać z Caroline. Zaplanować studia. Poznać Nicka. Wygooglować nowe pozycje seksualne w Internecie.

Ułożyć listę piosenek. W głowie mam już jedną. Nagram ją dla

Nicka, kiedy trochę się wyśpię. Zatytułuję ją „Deszczowo pociągowo”, a będą na niej same kawałki ze słowem „deszcz” i „pociąg” w tytule. Nick wyglądał w deszczu tak bosko. Do tego pewnego dnia chciałabym zrobić to z nim w pociągu, byle nie w chicagowskiej kolejce podmiejskiej, jak w filmie *Ryzykowny interes* z Tomem Cruise’em. Sama scena była dość podniecająca, ale też bardzo niehigieniczna. Nie – my wybierzemy się w podróż na drugie wybrzeże, w prywatnym przedziale sypialnym, niczym para w starym filmie. Będziemy zwracać się do siebie per „najdroższy” i „najdroższa” i czytać sobie na głos książki, a wagon będzie się toczył przez Wielkie Równiny. Mam już pierwsze typy muzyczne do składanki: *I Wish It Would Rain* The Temptations, *Train in Vain (Stand By Me)* The Clash, *It’s Raining* Irmy Thomas, *Blue Train* Johnny’ego Casha i *Runaway Train* Rosanne Cash (taka jestem sprytna!), *Come Rain or Come Shine* Diny Washington lub cover tej piosenki w wykonaniu Raya Charlesa (trudny wybór – zadecyduję później). Na zakończenie dołożę *Friendship Train* Gladys Knight & The Pips, bo przecież to o przyjaźń najbardziej w tym wszystkim chodzi, nieprawdaż?

Wędrujemy Siódmą Aleją. Nie wiem, czy idziemy na piechotę do Lower East Side, czy łapiemy metro.

– Nick? – zagaduję.

Chłopak unosi złączone dłonie i przelotnie całuje mnie w palce.

– Tak? – pyta.

– Muszę wyznać ci coś ważnego – odpowiadam cicho. – Chodzi o to, co się stało.

Zatrzymujemy się. Nie wypuszcza mojej ręki, ale luzuje nieco uchwyt. Widzę w jego oczach niepewność. „No, to teraz mi powie, że ma opryszczkę” – myśli pewnie, ewentualnie: „Będzie teraz udawać, że nie było jej dobrze”. Niemal widzę, jak na czoło ze zdenerwowania występują mu krople potu.

– Co się stało? – szepcze.

Patrzę mu prosto w oczy. Biorę głęboki wdech i po prostu mówię to, co musi zostać powiedziane:

– Jestem w ciąży. Nie wiem tylko, kto jest ojcem: ty czy E.T.

Nawet nie próbuję zachować powagi. Wiem, że uśmiech jest

silniejszy ode mnie i nie zamierzam z nim walczyć.

Nick również się nie opiera. Parska śmiechem i przyciąga mnie do siebie mocno. Śmieję się razem z nim, ale część mnie chciałaby, żeby przestał, bo to doniosła sprawa. Nic śmiesznego.

Zupełnie poważnie obawiam się, że właśnie się zakochałam.

## 19. NICK

Kiedy noc można uznać za skończoną? Czy wtedy, gdy słońce zaczyna, czy gdy przestaje wschodzić? A może kiedy kładziesz się spać albo łapiasz się na tym, że musisz coś zrobić? Gdy klub się zamyka i wszyscy idą do domu? Normalnie nie dzielę się z nikim takimi rozterkami, ale tym razem postanawiam spytać o zdanie Norę.

– To ty decydujesz, kiedy noc ma się skończyć – odpowiada. – Reszta to kwestia wysokości słońca nad horyzontem. Ma to niewiele wspólnego z nami.

Idziemy Siódmą Aleją, mijamy pogrążone we śnie, rozświetlone świtem miasto. Taksówkarze z nocnej zmiany zwalniają na nasz widok, ale zaraz przyspieszają, bo widzą, w jaki sposób trzymamy się za ręce. Nigdzie nam się nie spieszy.

Jestem wyczerpany. Nie mam siły nawet na to, by zaprzeczać temu zmęczeniu. Czuję jego ciężar w kościach – i w myślach. Większość energii zużywam na marzenie o tym, żeby mieć więcej siły.

– Uwielbiam takie światło – wyznaje Norah. Przebudzone słońcem budynki są różowe. Kiedy idą spać, ubierają się w pomarańcz i granat.

Wyglądamy okropnie. Potargane, wilgotne włosy. Cienie pod oczami. Wymięte ubrania – niedające się ukryć dowody cielesnych zbrodni. (Tak naprawdę nawet nie próbowaliśmy ich wygładzić. Jesteśmy z nich dumni).

– Mogę cię o coś zapytać? – mówię.

– Jasne.

– To będzie osobiste pytanie, dobrze? Jeśli nie chcesz, nie musisz odpowiadać.

– Spokojnie.

– Okej.

Przez chwilę nie wiem, jak zacząć. Widzę, że ona zaczyna się niepokoić. Uśmiecham się w duchu.

– Uwaga, nadchodzi pytanie – chrząkam z udawaną powagą.

– Tak, Nick?

– Norah, czy ty...

Chyba zaczyna się irytować.

– No, o co chodzi?

– Czy... mogłabyś może... zdradzić mi swoje nazwisko?

– Hilton – odpowiada bez chwili wahania.

– Pytam poważnie.

– Hyatt?

– Norah...

– Marriott? A może Olsen? Jestem ich trzecią siostrą, tą, którą próbowały zepchnąć na drugi plan.

– Dostrzegam pewne podobieństwo.

– Wal się. Nazywam się Silverberg.

– Fajnie.

– Fajnie, bo teraz już wiesz, kim on jest?

Nawet o tym nie pomyślałem.

– Szczerze mówiąc, twoje nazwisko nic mi nie mówi. Chyba niezbyt dobrze orientuję się w tym biznesie. Nie przeszkadza ci to?

– Wręcz przeciwnie. – Uśmiecha się. – Teraz twoja kolej.

– O’Leary.

– Masz irlandzkie korzenie?

– I tak, i nie. Mój dziadek chyba wygrał to nazwisko na loterii.

W moich żyłach płynie

irlandzko-brytyjsko-francusko-włosko-słowiańsko-duńska krew. Moja podobizna mogłaby zdobić banknoty euro.

– Jesteś euromieszkańcem?

– Tak. Prawdopodobnie z wyłączeniem księstwa Luksemburga.

– Dobrze wiedzieć.

Skręcamy w Szóstą, a potem w Broadway.

– Dasz mi swój numer? – proszę.

Norah wyjmuje z kieszeni kurtki mój własny telefon.

– Weź go. Numer jest już w kontaktach.

– A ty chcesz mój? – pytam, choć to wbrew wszelkim zasadom stosunków damsko-męskich.

– Zadzwoń do mnie – odpowiada dziewczyna. – Teraz – dodaje,

kiedy patrzę na nią pytająco.

Włączam telefon. Od razu zauważam, że co nieco tu pozmieniała. Numer Tris jest teraz podpisany jako „Wredna Pinda”. Pod N jak Norah nie znajduję jednak tego, czego szukam. Ale kiedy widzę pozycję „Salwator”, wiem, że trafiłem pod właściwy adres.

Wybieram numer. Słyszę dzwonek.

– Halo? – odbiera, choć stoi niecały metr ode mnie.

– Dzień dobry, czy mógłbym rozmawiać z Salwatorem?

– Obawiam się, że obecnie nie ma go przy telefonie. Czy mam przekazać wiadomość?

Zerkam na kurtkę i uśmiecham się do siebie. Już dawno się pożegnaliśmy. Nie wyobrażam sobie, żeby miała do mnie wrócić.

– Proszę mu powiedzieć, że mam nadzieję, że podoba mu się nowy dom – odpowiadam.

Dziewczyna patrzy na mnie badawczo.

– Jesteś pewien?

– Tak.

– Dzięki.

Kończymy rozmowę i łapiemy się za ręce. Przechodzimy przez Union Square, mijając umęczone grupki sobotnich balowiczów. Mijamy sklep muzyczny Virgin Megastore, księgarnię Strand i kościół Trinity Church. Idziemy ulicą Astor Place, mijamy charakterystyczny, czarny sześcian, wchodzimy w St Marks Place, pełną klubowiczów, którzy potykają się o własne nogi, oślepieni dziennym światłem. Potem zostaje już tylko Druga Aleja i jesteśmy przy Houston. Teraz widzę, że Norah też pada z nóg. Koncentrujemy się na poprawnym stawianiu kroków. Jesteśmy tu we dwoje. W ciszy obserwujemy otoczenie i siebie nawzajem.

Kiedy docieramy do Ludlow, przypominam sobie piosenkę, którą zacząłem wymyślać parę godzin temu, choć wydaje się, że od tej chwili minęło kilka tygodni. Czy w ciągu jednej nocy naprawdę może wydarzyć się aż tyle? Kawalek był ledwo napoczęty, ale mam już dla niego zakończenie – brak mi jeszcze konkretnych słów, ale będzie to coś o powrotach, dziwnym, różowym świetle i ciszy niedzielnego poranka. To nasza piosenka, to jej piosenka. Jej, czyli Nory. Norah,

Norah, Norah – i nie trzeba rymów. Wystarczy samo brzmienie jej imienia.

Czy to dobrze, że ta piosenka dobiega końca? Kiedyś uważałem, że każda noc, każda ważna chwila to osobny utwór. Ale teraz rozumiem, że nasze życie składa się z wielu pieśni. Gdy jedna się kończy, druga się zaczyna. Przechodzimy płynnie od tekstu do tekstu, od akordu do akordu. Nie ma wielkiego finału. To niekończąca się lista.

Podejrzewam, że Norze spodobałaby się moja piosenka. Chciałbym zaśpiewać ją dla niej teraz i tutaj, na Ludlow Street. Ale mogę poczekać do następnego razu. Jestem pewien, że on nastąpi. Nie mogłem się go doczekać już w chwili, gdy ją poznałem. Przez całą noc zastanawiałem się, jak będzie wyglądało nasze kolejne spotkanie, a potem następne i jeszcze następne. Wiem, że to coś naprawdę wyjątkowego.

Jessie czeka grzecznie przy krawężniku, gotowa zawieźć nas do domu.

– Już blisko – mówi dziewczyna.

Stop. Całujemy się mocno. Na środku Ludlow. W nowym dniu.

Moje serce przyspiesza. Jestem tu i teraz, ale częściowo także w przyszłości. Obejmuję ją i czuję wszystko naraz: pragnienie, nadzieję, pewność. To my bierzemy w swoje ręce muzykę i układamy ją w tym, co nazywamy czasem. Pulsujemy razem z nią w każdej sekundzie. A przywłaszczając ją sobie, sprawiamy, że chwila staje się ponadczasowa. Nie ma publiczności. Nie ma instrumentów. Są za to ciała, myśli, szepty i spojrzenia. To jak nastrój gorączki przed koncertem, tylko to ma sens. Serce bije tak mocno, bo chce osiągnąć właśnie ten stan.

## 20. NORAH

Mogę zatrzymać kurtkę, mogę zatrzymać kurtkę, sialalalalala, Nick mnie kocha, a na pewno bardzo, ale to bardzo lubi, sialalalalala, będziemy z Salvatorem tacy szczęśliwi, nigdy nie wrzucę tej kurtki do pralki, wyłącznie pralnia chemiczna, sialalalalala.

Wsiadamy do Jessie. Yugo! Sialalalalala.

Siedzę na siedzeniu pasażera obok Nicka i jest zupełnie tak, jak wcześniej, tylko że zupełnie inaczej. Ja nie waham się już, czy mam ochotę spędzić czas w jego towarzystwie, w jego „wehikule”, ale widocznie Jessie ma wątpliwości co do mnie. Ponownie odmawia zapłonu. Nick przekręca kluczyk, wciska gaz, chyba nawet się modli, ale pojazd jak stał, tak stoi.

– Cholera – denerwuje się chłopak, wyjmując kluczyk i patrzy na mnie przeprasza.

Nie jestem w stanie się powstrzymać i wybucham śmiechem. Jak on wygląda! Pogniecione ciuchy, włosy sterczące we wszystkich kierunkach świata (zasługa moja i deszczu), przekrwione ze zmęczenia oczy, szczęka zaciśnięta ze złości na Jessie.

– Wyglądasz jak ta piosenka *Where's Fluffy, You Have That Just Fucked Look, Yoko*. „Wyglądasz, jakbyś właśnie się pieprzyła, Yoko” – mówię rozbawiona. Wydaje mi się, że pamiętam ten tytuł ze składanki, którą Nick zrobił dla Tris przy okazji rozstania. Moim zdaniem to najlepszy kawałek Fluffy'ego z czasów sprzed Evana E. Na bębnach grał wtedy Gus G., który rozstał się z zespołem w napadzie gniewu po tym, jak Lars L. zwolnił menedżerkę grupy, która była dziewczyną Gusa.

– Oj, wyluzuj – uśmiecha się chłopak. – Dev uważa, że *I Wanna Hold Your Hand* to najlepsza piosenka świata, bo zawiera esencję tego, o czym jest każdy popowy przebój. Każdy chłopak chce złapać za rękę jakąś dziewczynę – mówi to zupełnie serio, po czym puszcza drażek zmiany biegów i łapie mnie za rękę. – Coś w tym chyba jest.

– Nie cierpię Beatlesów – wyznaję. – Oprócz kawałka *Something*.



To dopiero dobra piosenka o miłości, choć nie napisał jej ani John, ani Paul, tylko George. On jeden miał prawdziwy talent. Ale chłopcy z Liverpoolu jako całość? Moim zdaniem są kompletnie przereklamowani.

Nick wypuszcza moją dłoń i patrzy na mnie, jakby obawiał się, że zwariowałam albo jakbym miała zaraz to zrobić.

– Udam, że tego nie słyszałem.

Ach, muzycy i ich słabość do The Beatles – niezmienna i nieuleczalna. Daję mu buziaka w szyję, w ramach przeprosin.

– Naprawdę napisałeś dla mnie piosenkę? – przypominam sobie.

– Tak, ale jeszcze nie jest gotowa. Nie mów więcej o Beatlesach z taką pogardą, bo mogę nigdy jej nie skończyć.

– A mogę jej posłuchać? Nawet w niedokończonej wersji?

– Nie.

– Nigdy? Czy nie teraz?

– Nie teraz. Nie bądź zachłanna.

Skubany, zdążył nieźle mnie poznać.

Przekręca kluczyk w stacyjce. I jeszcze raz, i znowu.

– Cholera – mruczy pod nosem.

– Jakie mamy możliwości? – pytam.

– Możemy poszukać kogoś z kablami. Możemy też zostawić ją tutaj, złapać inny transport do domu, wyspać się i potem zacząć się martwić jej stanem. Mogę tu przyjechać później z Thomem i Scotem, oni mają kable. Mógłbym też... przyznać, że złamała mi serce po raz ostatni, i oddać ją w dobre ręce.

Biedaczysko. Najpierw Tris, teraz Jessie.

– Obiecuję, że nigdy nie złamię ci serca – szepczę mu do ucha. Na pewno spieprzę po drodze mnóstwo spraw, ale to jedno mogę mu przyrzec.

– Ee... dzięki? – odpowiada szeptem, wyraźnie zaskoczony.

Czuję, że zabrnęłam za daleko – powinnam się zamknąć. Ale Nick chyba myśli inaczej, bo głaszcze mnie po karku, przyciąga do siebie i całuje mnie po raz nie-wiem-już-który. Przychodzi mi do głowy, żeby jeszcze raz spróbować sztuczki z językiem, yin i yang, ssanie i naciąganie. Tym razem to on zaczyna bawić się moim wędzidełkiem,

zupełnie sam z siebie. Proszę, proszę – chyba załapaliśmy wspólny rytm. Moje czakry są zdecydowanie otwarte, a szyby Jessie coraz bardziej zaparowane.

Z trudem, ale odrywam się od niego. Mam świadomość, że jeśli tak dalej pójdzie, to nigdy nie wrócimy do domu.

– Mam pomysł – oznajmiam. – Ty próbuj dalej przekonać Jessie do przejażdżki, a ja pójdę do sklepu po drugiej stronie ulicy i zapytam o pomoc.

Wysiadam z auta. Jakiś bezdomny nuci *Ride Like the Wind* Christophera Crossa. Rzucam mu ostatniego dolara i błagam, żeby przestał. Wchodzę do sklepu; niby mam tu szukać kogoś z kablami zapłonowymi, ale tak naprawdę zastanawiam się, czy nie zadzwonić do taty – albo, nawet lepiej, do jego asystenta – i poprosić o przysłanie samochodu; w ten sposób Caroline i ja wielokrotnie wracałyśmy do domu. Jeden telefon i byłoby po sprawie. Ale nie dzwonię. Zamiast tego szcękam zębami w dziale produktów mrożonych. Nie wiem tylko, czy to dlatego, że nie chcę, by Nick pomyślał, że jestem rozpieszczoną księżniczką, czy dlatego, że chcę spędzić z nim jak najwięcej czasu.

Poprosił o mój numer, ale nie powiedział wcale, kiedy zadzwoni. Znamy się zaledwie od paru godzin, ale poznaliśmy się całkiem dogłębnie – że się tak wyrażę. Mam nadzieję, że kolejne spotkanie nastąpi niedługo, co nie zmienia faktu, że nie wiem dokładnie kiedy. Nie mam ochoty czekać w niepewności.

Wyciągam telefon i przeglądam historię połączeń. Numer Nicka. Zastanawiam się, czy zapisać go w książce kontaktów. Jeśli to zrobię, a on nie zadzwoni, serce mi pęknie, a do tego będzie zwijać się w mękach za każdym razem, kiedy na ekranie mignie mi jego imię. Prawdopodobnie będę zmuszona wyrzucić ten telefon. Z głośników przy sklepowej kasie leci piosenka. Rozpoznaję ją bez problemu: to staruszka Alanis, ulubienica taty. Dziś w nocy przeszłam to, co ojciec określa mianem „Norowo-Alanisowej nastoletniej transformacji”: byłam jak drapieżna lwica z *You Oughta Know* i mruczałam jak kotka z *Thank U*. Alanis i ja postanawiamy zgodnie: numer Nicka należy zapisać, pomimo moich obaw. Mam ochotę wklepać go jako NieHomo, ale podejrzewam, że mógłby się wkurzyć. Tatuśko Salvatora jest za długie. Nick musi

wystarczyć. To takie proste imię. I takie urocze. Dzwonię do niego.

– Znalazłaś kogoś z kablami? – pyta z nadzieją.

– Jeszcze nie pytałam. Powiedz, jeśli zamierzasz do mnie zadzwonić, kiedy to będzie?

– Nie lubisz niespodzianek?

– Nie cierpię.

– Nie wierzę.

– Posłuchaj mnie uważnie – przerywam przekomarzanki. – Czy Tris dzwoniła czasem do ciebie z tylnego siedzenia, kiedy jechaliście gdzieś samochodem? Bo tego numeru nauczyła się ode mnie. Nie ma monopolu na wiedzę w tych sprawach.

– Jaka Tris? – udaje zdziwienie... i rozłącza się. W duchu gratuluje sobie decyzji o zapisaniu jego numeru.

Mam nadzieję, że Nick ma przy sobie jakąś kasę, bo ja właśnie oficjalnie się splukałam: ostatnie grosze poszły na kolejną paczkę zwilgotniałych oreo.

– CZY KTOŚ Z WAS MA SAMOCHÓD Z PIEPRZONYMI KABLAMI ZAPŁONOWYMI? – krzyczę na cały sklep, płacąc za ciastka.

Cisza. Ale przynajmniej próbowałam. Przed powrotem do auta odsłuchuję jeszcze wiadomość, którą zostawiła mi wcześniej na poczcie Caroline. Musiała zadzwonić tuż przed położeniem się spać, bo brzmi jak słodki, radosny miś. „Norah? Norah, Norah, Norah” – nuci szeptem, jakby śpiewała kołysankę. „Thom i Scot powiedzieli mi, że jesteś na randce z ich kumplem! Ten Nick był całkiem ładniusi, chociaż miał paskudne buty. Musiał ci się spodobać, skoro nie odbierasz. Znam cię i wiem, że wiesz, że to ja do ciebie dzwonię. Chciałam właściwie powiedzieć, że zwykle to ty troszczysz się o mnie i choć na początku czułam się dość niepewnie – obudziłam się w ciemnościach na pace furgonetki zaparkowanej przy jakimś cholernym parkingu, z dwoma obcymi facetami w szoferce – to jestem z ciebie dumna, bo choć raz zajęłaś się sobą, a nie mną. Mam nadzieję, że świetnie się bawisz, naprawdę. Jeśli jutro po południu będę miała kaca i będę cię przeklinać za porzucenie mnie na pastwę losu, puść mi tę wiadomość. Dobrze, pipko? Kocham cię”. Uśmiecham się do siebie. Wiadomość

zapamiętana.

Wracam do Jessie.

– Przykro mi, chłopcze – mówię ze smutkiem i częstuję Nicka ciastkiem na pocieszenie.

– Nie cierpię oreo – odpowiada.

– Będę udawać, że tego nie słyszałam.

Chłopak wysiada z auta i podnosi maskę. Sprawdza silnik, a ja w tym czasie przeglądam płyty, które leżą na podłodze. Niektóre tytuły zupełnie mnie nie dziwią – jest tu Green Day, są The Clash czy The Smiths, ale spomiędzy oczywistych oczywistości mrugają do mnie inni znajomi: Ella Fitzgerald i Frank Sinatra, a nawet stary dobry Dean Martin, Curtis Mayfield, Minor Threat, Dusty Springfield, Belle and Sebastian. Przerzucam jego płyty i to, czego dowiaduję się o jego guście muzycznym, przyprawia mnie o orgazm. Wielokrotny. Nawet jeśli Nick nigdy do mnie nie zadzwoni, wiem, że spotkałam muzyczną bratnią duszę. Na tylnym siedzeniu znajduję przenośny magnetofon. Mam ochotę na muzyczną pobudkę.

Mój towarzysz wraca do auta.

– Niestety, musimy wymyślić inny plan na powrót – oznajmia. – Jessie nigdzie się nie wybiera – dodaje i wyciąga portfel. – Żeby było zabawniej, nie mam więcej kasy. Ale mam kartę metra! Przykro mi, Norah.

Ale mnie wcale nie jest przykro, bo jego słowa przypomniały mi moją ulubioną piosenkę kapeli Le Tigre.

– *My! My MetroCard!* – nucę pod nosem.

– *OH FUCK / Giuliani* – wtóruje mi Nick.

– *HE'S SUCH / A fucking jerk!* – kończymy razem.

– Zostawmy Jessie w spokoju. Prześpię się i wymyślę, co z nią zrobić. Metrem dojedziemy do Port Authority. Znam gościa, który codziennie rano jeździ stamtąd do Hoboken. Gra w Pretty Girls Named Jen, hardkorowej grupie screamo z Jersey City – znasz ich? Zresztą nieważne. Wiem, że podrzuci nas za friko, a w Hoboken stoi wóz mojej siostry, którym zawiozę cię do domu. Pozostaje nam dostać się do stacji metra linii A, a ja nie wiem, czy mam na to siły. A ty?

Jest już tak późno (wcześnie?), że zamiast iść spać, mogę równie

dobrze obudzić się i przywitać nowy dzień. Moja odpowiedź zawiera dwa słowa.

– BEASTIE BOYS! – wołam i wciskam play na odtwarzaczu. Wyjemy dziko i śpiewamy razem z chłopakami: *I like to party, not drink Bacardi*, bujamy się do *Triple Trouble*, bo z głośników płynie czysty funk, coraz głośniej i głośniej. Nick macha głową i ja macham głową, Jessie kiwa się razem z nami. Zero snu, czysta energia.

Ruszamy w długi spacer do stacji Canal Street – praktycznie biegniemy – znów trzymamy się za ręce, śmiejemy się, całujemy, wykrzykujemy kolejne piosenki. *Mom, you're just jealous it's the BEASTIE BOYS* i tym podobne. W podskokach zbiegamy po schodach stacji. Graffiti na murze zadaje nam pytanie: „Wszyscy, co drogą zdążacie, przyjrzyjcie się, patrzcie”. Lamentacje Jeremiasza, 1:12[2]. „Wybacz, Panie – kimkolwiek jesteś – ale naprawdę nie mam pojęcia, na co tu patrzeć” – odpowiadam w duchu. Jednocześnie wyobrażam sobie, że jedziemy do Chinatown, gdzie kupuję koszulkę w stylu „Przetrwałam całą noc balowania”, najlepiej w spersonalizowanej wersji: „Nick i Norah byli w Marriotcie i to stamtąd mam ten głupi T-shirt”. Tak jakbym się bała, że bez pamiątki tego typu nikt mi nie uwierzy w to, co przeżyłam.

Nick przeciąga kartę metra przez czytnik. Słyszymy zbliżający się pociąg i obydwójce wiemy, że trzeba się spieszyć – jest niedzielny poranek i nie wiadomo, kiedy przyjedzie następny. Chłopak przechodzi i podaje mi kartę. Na wyświetlaczu czytnika pojawia się napis: BRAK ŚRODKÓW. Najwyraźniej chłopak zużył ostatni bilet.

– Cholera! – Tupię ze złości.

– Cholera! – powtarza mój towarzysz.

Nick wyciąga rękę przez bramkę i patrzy mi prosto w oczy.

– Nie martw się. Po prostu skacz.

Waham się, choć wiem, że moja niepewność może nas kosztować spóźnienie. Jeśli skoczę, to stanie się naprawdę. On będzie naprawdę. Złamię dla niego prawo i to połączy nas na wieki. Będziemy jak Bonnie i Clyde – a dobrze wiem, jak skończyli.

– Dawaj, Norah! – Słyszę, że się niecierpliwi, i po raz nie-wiem-który zaczynam mu trochę współczuć. „Biedaczysko” – myślę

w duchu. Wiem, że jestem fajna, ale zdaję sobie sprawę, że potrafię działać na nerwy. Chłopak nie ma pojęcia, na co się porywa. Może powinnam zadzwonić po kierowcę ojca.

– Norah?

Jeśli go posłucham, to będzie jak skok w środek pogo pod sceną. Niebezpieczeństwo. Radość. Przerażenie. Trzy w jednym. To zwykła obrotowa bramka, ale co, jeśli gdzieś utknę? Niektórzy przypłacają pogo życiem.

Ogłuszający pisk hamulców. Pociąg wjechał na peron.

– Jedziemy na tym samym wózku czy nie? – pyta Nick.

Jeśli pokonam dzielącą nas przeszkodę, to będzie prawdziwy akt wiary.

Łapię go za rękę. Jest taka ciepła. Biorę głęboki oddech.

Gotowa.

Rozbieg.

Skok!

2 Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Biblia Tysiąclecia, Warszawa–Poznań 1991, Lm 1,12.



# RACHEL COHN i DAVID LEVITHAN

napisali wspólnie trzy książki. *Nick i Norah. Playlista dla dwojga* była bestsellerem w USA i doczekała się ekranizacji z Michaeliem Cerą (*Juno, Bogaci bankruci*) i Kat Dennings (*Thor, Dwie splukane dziewczyny*) w rolach tytułowych. Kolejna, zatytułowana *Naomi & Ely's No Kiss List* też została sfilmowana. *Księga wyzwań Dasha i Lily* być może także trafi na duży ekran, pewne jest zaś, że będzie miała literacką kontynuację.

Poza powieściami napisanymi w tym zgranym duecie Rachel i David mają na koncie wiele innych utworów. Cohn jest autorką m.in. powieści *Beta, You Know Where to Find Me, Very LeFreak*. Dorobek Levithana to kilkanaście książek dla młodzieży, w tym liczne bestsellery, do których należy powieść *Will Grayson, Will Grayson* napisana wspólnie z Johnem Greenem.





# NICK i NORAH

## PLAYLISTA DLA DWOJGA

*„Wiem, że to dziwne pytanie, ale czy miałabyś coś przeciwko udawaniu mojej dziewczyny przez następnych pięć minut?”*

Nick jest bywalcem nowojorskiej sceny rockowej – muzyką próbuje uleczyć złamane serce. Norah także przeżyła zawód miłosny. Pozornie tych dwoje nie łączy nic poza gustem muzycznym, jednak ich przypadkowe spotkanie kończy się szaloną pierwszą randką, która ma szansę zmienić życie obojga.

*Nick i Norah* to rozpisany na dwa młode głosy rockandrollowy romans. Seksowna, zabawna, ale i wzruszająca opowieść, której bohaterowie próbują zapomnieć o swoich miłosnych zawodach, pragną dowiedzieć się, kim właściwie są, ale przede wszystkim... chcą trafić na występ ukochanego zespołu! Dokąd zaprowadzi ich ta pełna przygód i dobrej muzyki noc?



[www.bukowylas.pl](http://www.bukowylas.pl)

Wyłączny  
dystrybutor





